

ONI CHCA, ŻEBYM ZAPOMNIAŁA.
JA ZAWSZE BĘDĘ PAMIĘTAĆ.



TAHEREH MAFI

POSKROM
MNIE

PRZEŁOŻYŁA
AGNIESZKA BRODZIK



**POSKROM
MNIÉ**

TAHEREH MAFI

POSKROM MNIE

PRZEŁOŻYŁA
AGNIESZKA BRODZIK



KENJI

Z jej gardła wydobywa się wrzask.

Po prostu krzyczy, myślę sobie. To są tylko słowa. Jednak ona drze się, ile sił w płucach, z agonią, która wydaje się niemal przesadzona, a jej skutki niemożliwe. Jest zupełnie tak, jakby Juliette implodowała.

Nie wierzę własnym oczom.

Zawsze wiedziałem, że Juliette jest potężna – i że nie odkryliśmy jeszcze do końca jej siły – ale nigdy by mi do głowy nie przyszło, że jest zdolna do czegoś takiego.

Czegoś takiego:

Sufit pęka. Wstrząsy rozchodzą się jak błyskawice po ścianach, podłodze, dzwonią mi od nich zęby. Ziemia trzęsie mi się pod nogami. Ludzie zamierają, chociaż przechodzą ich dreszcze, cała sala wibruje. Żyrandole kołyszą się zbyt szybko, światło niepokojąco migocze. A potem, z jednym ostatnim wstrząsem, trzy ogromne lampy odrywają się i roztrzaskują o podłogę.

Kryształy rozpryskują się we wszystkich kierunkach. W sali brakuje połowy światła i nagle trudno dokładnie śledzić wydarzenia. Spoglądam na Juliette i widzę, jak patrzy z rozchylonymi ustami, jakby замуrowało ją na widok tych zniszczeń. Wtedy zdaję sobie sprawę, że musiała przestać krzyczeć jakiś czas temu. Ona nie może tego zatrzymać. Zdażyła już posłać swoją energię w świat i teraz...

Ta energia musiała znaleźć jakieś ujście.

Wstrząsy niosą się z nowym ferworem po parkiecie, tworząc pęknięcia w ścianach, fotelach i... ludziach.

Właściwie nie wierzę w to, dopóki nie zobaczę krwi. Przez sekundę mam wrażenie, jakby to było złudzenie, te wszystkie nieruchome ciała na fotelach, z otwartymi klatkami piersiowymi. To wygląda jak jakaś sztuczka – jak kiepski żart, jak słaba produkcja teatralna. Kiedy jednak pojawia się krew, kiedy gęsta i czerwona ciecz przecieka przez ubrania i tapicerkę, spływa po zastygłych dłoniach, wiem, że nigdy się z tego nie otrząsnę.

Juliette właśnie w jednej chwili zamordowała sześćset osób.

Ten widok nigdy nie przestanie mnie dręczyć.

Przeciskam się między cichymi, zdumionymi, wciąż oddychającymi ciałami przyjaciół. Słyszę ciche, nieustające skomlenie Winstona i Brendana przekonującego go bez końca, że rana nie jest tak poważna, jak wygląda, że będzie dobrze, że przeszedł już gorsze rzeczy i jakoś przeżył...

I wiem, że moim priorytetem jest być teraz z Juliette.

Kiedy do niej docieram i biorę ją w ramiona, jej zimne, niereagujące ciało przywodzi mi na myśl tamten moment, kiedy znalazłem ją stojącą nad Andersonem, z pistoletem wycelowanym w jego pierś. Była taka przerażona – taka zdumiona – tym, co zrobiła, że nie mogła nic z siebie wykrztusić. Wyglądała, jakby schowała się gdzieś w sobie – jakby znalazła mały pokój w swojej głowie i zamknęła się w środku. Dopiero po chwili byłem w stanie ją stamtąd wyciągnąć.

A wtedy nawet nikogo nie zabiła.

Staram się sprawić, żeby jakoś odtajała, błagam, by wróciła do siebie, żeby popędziła z powrotem do rzeczywistości.

– Wiem, że to jakiś obłąd, ale musisz się z tego otrząsnąć, J. Obudź się. Wyjdź ze swojej głowy. Musimy się stąd wydostać.

Ona nawet nie mruga.

– Księżniczko, proszę – mówię, potrząsając nią trochę. – Musimy iść, natychmiast...

Ponieważ nadal się nie rusza, postanawiam, że nie mam innego wyjścia, jak zrobić to za nią. Zaczynam ciągnąć ją do tyłu. Jej odretwiąłe ciało jest cięższe, niż się spodziewałem, a z jej ust wydostaje się cichy, świszczący dźwięk, jakby szloch. Rozpala się we mnie lęk. Daję znak Castle'owi i reszcie, żeby szli, żeby ruszyli beze mnie, ale kiedy się rozglądam, szukając Warnera, zdaję sobie sprawę, że nigdzie go nie ma.

W tej samej chwili ktoś ciosem pozbawia mnie tchu.

Pokój wiruje. W oczach mi ciemnieje, znowu się rozjaśnia, a potem mrok zostaje tylko na brzegach w przyprawiającej o zawroty głowy chwili, która trwa zaledwie sekundę. Brakuje mi równowagi. Zataczam

się.

I wtedy, nagle...

Juliette znika.

Nie metaforycznie. Dosłownie znika. W jednej sekundzie jest w moich ramionach, a w następnej trzymam powietrze. Mrugam szybko, przekonany, że tracę rozum, ale kiedy się rozglądam, widzę, że ludzie na widowni zaczynają się poruszać. Ich koszule są porwane, twarze podrapane, lecz wszyscy żyją. Powoli się podnoszą, zdumieni, a mnie w tym samym momencie ktoś mocno popycha. Unoszę wzrok i widzę przeklinającego na mnie Iana, który każe mi się ruszać, dopóki mamy jeszcze szansę, a ja chcę zaprotestować, wytłumaczyć mu, że straciliśmy Juliette – że nie widziałem Warnera – lecz on mnie nie słyszy, po prostu popycha mnie do przodu, poza scenę, a kiedy z widowni zamiast pomruków niesie się ryk, wiem, że nie mam już innego wyjścia.

Muszę iść.

WARNER

– Zabiję go – mówi, a jej drobne dłonie zaciskają się w pięści. – Zabiję go...

– Ella, nie bądź niemądra – mówię i odchodzę.

– Pewnego dnia – ciągnie, idąc za mną, w jej oczach lśnią łzy. – Jeśli nie przestaniesz cię krzywdzić, przysięgam, że to zrobię. Zobaczysz.

Śmieję się.

– To nie jest zabawne! – protestuje.

Odwracam się do niej.

– Nikt nie może zabić mojego ojca. On jest niezniszczalny.

– Nikt nie jest niezniszczalny – odpowiada.

Ignoruję ją.

– Dlaczego twoja mama nic nie robi? – dopytuje, łapiąc mnie za rękę.

Kiedy spoglądam jej w oczy, wydaje się inna. Wystraszona.

– Dlaczego nikt nie próbuje go powstrzymać?

Rany na moich plecach zdążyły się zablźnić, lecz z jakiegoś powodu wciąż bolą. Ella to jedyna osoba, która wie o ich istnieniu i o tym, jak w dniu moich urodzin dwa lata temu ojciec zaczął mnie krzywdzić. W zeszłym roku, kiedy wszystkie rodziny przyjechały odwiedzić nas w Kalifornii, Ella wpadła do mojego pokoju, chcąc wiedzieć, gdzie się podziały Emmaline i Nazeera. Przyłapała mnie na oglądaniu swoich pleców w lustrze.

Błagałem ją, żeby nic nie mówiła, żeby nie zdradziła nikomu, czego była świadkiem, ale ona się rozplakała i powiedziała, że musimy kogoś o tym powiadomić, że poinformuje o tym matkę.

– Jeśli powiesz swojej matce – rzuciłem do niej wtedy – będę miał jeszcze więcej kłopotów. Proszę, zachowaj to dla siebie, dobrze? On więcej tego nie robi.

Jednak zrobił.

I tym razem był jeszcze bardziej rozszłoszczony. Oznajmił, że mam już siedem lat, więc jestem za duży, żeby płakać.

– Nie możemy tego tak zostawić – mówi teraz Ella nieco drżącym głosem. Kolejna łza spływa po jej twarzy, ale dziewczyna szybko ją wyciera. – Musimy komuś powiedzieć.

– Przestań – ucinam. – Nie chcę więcej o tym rozmawiać.

– Ale...

– Ella, proszę.

– Nie, musimy...

– Ella – rzucam, przerywając jej. – Myślę, że coś jest nie tak z moją mamą.

Otwiera szeroko oczy. Jej gniew mija.

– Słucham?

Całymi tygodniami bałem się wymówić te słowa na głos, bo uczyniłyby mój strach realnym. Nawet teraz czuję, jak serce mi przyspiesza.

– Co masz na myśli? – dopytuje Ella. – Co jest z nią nie tak?

– Jest... chora.

Ella mruga, stropiona.

– Jeśli jest chora, możemy ją wyleczyć. Moi rodzice ją wyleczą. Są bardzo mądrzy, wszystko potrafią naprawić. Jestem pewna, że wyleczą twoją mamę.

Potrząsam głową, serce mi teraz dudni jak opętane, słyszę jego tętnienie.

– Nie, Ella, nie rozumiesz... Mnie się wydaje...

– Co takiego? – Chwyta mnie za rękę. Ścisną. – Co się dzieje?

– Tata ją chyba zabija.

KENJI

Wszyscy uciekamy.

Baza znajduje się niedaleko stąd i najlepszym rozwiązaniem jest dotrzeć do niej piechotą. Jednak gdy tylko wypadamy na otwartą przestrzeń, cała nasza grupa – czyli ja, Castle, Winston, ranny Brendan, Ian i Alia – staje się niewidzialna. Ktoś wykrzykuje do mnie zdyszane podziękowania, ale to nie moja sprawka.

Zaciskam pięści.

Nazeera.

Te ostatnie parę dni z nią przyprawiały mnie o zawroty głowy. Nie powinienem był jej ufać. Najpierw mnie nienawidzi, potem nienawidzi mnie jeszcze bardziej, a później, zupełnie nieoczekiwanie, stwierdza, że wcale nie jestem dupkiem i chce się ze mną kumplować? Nie mogę uwierzyć, że dałem się na to nabrać. Nie mogę uwierzyć, że taki ze mnie kretyn. Od samego początku mną manipulowała. Pojawia się nagle znikąd, jakimś cudem niby ma takie same zdolności jak ja, a potem – dokładnie w tym samym czasie, kiedy udaje serdeczną przyjaciółkę Juliette – zostajemy ofiarami ataku na sympozjum i Juliette w pewnym sensie morduje sześćset osób?

Nie ma mowy. Nie łykam tego.

Nie ma mowy, żeby to wszystko było tylko zbiegiem okoliczności.

Juliette wzięła udział w tamtym sympozjum właśnie dlatego, że Nazeera ją do tego zachęcała. To Nazeera przekonała Juliette, że to dobry pomysł. A pięć sekund przed tym, jak Brendan został postrzelony, Nazeera kazała mi uciekać. I jeszcze niby mamy te same supermoce.

Ściema.

Nie mogę uwierzyć, że dałem się omamić ładną buzią. Powinienem był uwierzyć Warnerowi, kiedy mówił, że ona coś ukrywa.

Warner.

Boże. Nawet nie wiem, co się z nim stało.

Zaraz za progiem bazy nasza niewidzialność znika. Nie mam pewności, czy to oznacza, że Nazeera sobie poszła, ale nie możemy zwolnić, żeby się o tym przekonać. Szybko transmituję własną niewidzialność na resztę grupy; wystarczy, że utrzymam ją jeszcze przez chwilę, aż dostaniemy się w bezpieczne miejsce, bo sam powrót do bazy to za mało. Żołnierze będą zadawać pytania, a w tej chwili nie znam na nie odpowiedzi.

Wkurzą się.

Docieramy wspólnie na piąte piętro, do naszej miejscówki w Sektorze 45. Warner dopiero co dokończył jej budowę. Opróżnił na potrzeby naszej siedziby całe piętro i ledwo zdążyliśmy się rozgościć, kiedy wszystko przepadło. Na razie wolę o tym nawet nie myśleć.

Robi mi się od tego niedobrze.

Liczę nas, gdy zbieramy się w największej wspólnej sali. Mamy cały pierwotny skład, wszystkich pozostałych przy życiu członków Omega Point. Adam i James wpadają, żeby sprawdzić, co się stało, Sonya i Sara natomiast zostają chwilę, by posłuchać, a potem zabierają Brendana do skrzydła medycznego. Winston znika za nimi.

Po Juliette i Warnerze nie ma ani śladu.

Szybko dzielimy się wrażeniami. Zaraz udaje nam się potwierdzić, że wszyscy widzieliśmy praktycznie to samo: krew, chaos, zamordowanych ludzi, a potem nieco mniej krwawą wersję tego samego. Nikogo to nie zdziwiło tak bardzo, jak mnie, ponieważ, jak to ujął Ian: „Tutaj ciągle dzieje się coś dziwnego, nadnaturalnego, to wcale nie takie niezwykle”. Jednak najważniejsze jest coś innego.

Nikt nie widział, co się stało z Warnerem i Juliette.

Nikt oprócz mnie.

Przez kilka sekund tylko patrzemy po sobie. Serce dudni mi mocno w piersi. Czuję się, jakbym płonął, jednak nie ogniem, lecz oburzeniem.

Zaprzeczeniem.

Alia odzywa się jako pierwsza.

– Chyba nie myślicie, że nie żyją, prawda?

– Pewnie nie żyją – odpowiada Ian.

Skaczą na równe nogi.

– STOP. Właśnie, że żyją.

– Skąd ta pewność? – pyta Adam.

– Wiedziałbym, gdyby było inaczej.

– Słucham? Niby skąd?

– Po prostu bym wiedział, okej? – wypalam. – Wiedziałbym. I żyją. – Biorę głęboki oddech na opanowanie. – Nie poddamy się panice – mówię na tyle spokojnie, na ile tylko zdołam. – Musi istnieć logiczne wytłumaczenie. Ludzie tak po prostu nie znikają, prawda?

Wszyscy się na mnie gapią.

– Wiecie, co mam na myśli – rzucam z irytacją. – Przecież nikt z nas nie myśli, że Juliette i Warner mogliby, no, uciec we dwoje. Przed sympozjum nie rozmawiali ze sobą. Dlatego więcej sensu ma to, że zostali porwani. – Robię pauzę. Jeszcze raz się rozglądam. – Prawda?

– Albo zginęli – odzywa się Ian.

– Jeśli nadal będziesz tak mówił, Sanchez, gwarantuję, że przynajmniej jedna osoba dzisiaj umrze.

Ian głośno wzdycha.

– Słuchaj, nie chcę być dupkiem. Wiem, że trzymaliście się blisko. Ale bądźmy szczerzy: z nami tak nie było. I może z tego powodu jestem mniej zaangażowany emocjonalnie, jednak jednocześnie podchodzę do tego z większym dystansem.

Czeka, dając mi szansę na odpowiedź.

Milczę.

Ian znowu wzdycha.

– Chciałem tylko powiedzieć, że może pozwalasz, by emocje wzięły górę. Wiem, że nie życzysz im śmierci, ale istnieje naprawdę duża szansa, że zginęli. Warner był dla Przywrócenia zdrajcą. Jestem zaskoczony, że nie próbowali go zabić wcześniej. A Juliette... to chyba oczywiste, prawda? Zamordowała Andersona i ogłosiła się nową przywódczynią Ameryki Północnej. – Unosi znacząco brwi. – Już od kilku miesięcy byli na celowniku.

Zaciskam szczęki. Rozluźniam. Znowu zaciskam.

– Czyli – ciągnie cicho Ian – trzeba podejść do tego z głową. Jeśli nie żyją, musimy się zastanowić nad kolejnymi posunięciami. Dokąd pójdziemy?

– Czekaj, co masz właściwie na myśli? – pyta Adam, prostując się. – Jakie kolejne posunięcia? Myślisz, że musimy stąd odejść?

– Bez Warnera i Juliette raczej nie będziemy tutaj bezpieczni. – Lily chwyta rękę Iana, a mnie ten gest wsparcia przyprawia o mordercze myśli. – Żołnierze przyrzekli lojalność im dwojgu, a w szczególności Juliette. Bez niej nie jestem pewna, czy dokądkolwiek za nami pójdą.

– A jeśli Przywrócenie zamordowało Juliette – dodaje Ian – to oczywiście dopiero początek. Mogą w każdej chwili przybyć, żeby odzyskać Sektor 45. Największe szanse na przetrwanie będziemy mieli wtedy, gdy zastanowimy się, co będzie najlepsze dla naszej grupy. Ponieważ z pewnością znaleźliśmy się na celowniku, moim zdaniem powinniśmy uciekać. I to szybko. – Pauza. – Może nawet jeszcze dzisiaj.

– Stary, oszalałeś? – Opadam z impetem na krzesło. Mam ochotę wrzeszczeć. – Nie możemy tak po prostu uciec. Musimy ich poszukać. Musimy natychmiast zaplanować misję ratunkową!

Wszyscy tylko na mnie patrzą. Jakby to mi odbiło.

– Castle? – rzucam i nie udaje mi się zachować neutralnego tonu. – Nie zechciałbyś się podzielić swoim zdaniem?

Jednak Castle kuli się i patrzy na sufit, na nic. Sprawia wrażenie otumanionego.

Nie mam czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

– Kenji – odzywa się cicho Alia. – Przykro mi, ale Ian ma rację. Uważam, że nie jesteśmy już tutaj bezpieczni.

– Nie odejdziemy – mówimy jednocześnie z Adamem.

Obracam się, zaskoczony. Przeszywa mnie nadzieja, szybko i silnie. Może Adam czuje do Juliette więcej, niż daje po sobie poznać. Może nas wszystkich zaskoczy. Może wreszcie przestanie się ukrywać, przestanie tchórzliwie czekać w tle. Może, myślę sobie, Adam wrócił.

– Dziękuję – mówię i wskazuję na niego gestem, który daje pozostałym jasny znak: *Widzicie? To się*

nazywa lojalność.

– James i ja nie będziemy dłużej uciekać – wyjaśnia Adam, z jego oczu bije chłód. – Rozumiem, że wy musicie odejść, ale ja i mój brat zostajemy. Byłem żołnierzem tego sektora. Mieszkałem w bazie. Może mi odpuszczają.

Marszczę brwi.

– Przecież...

– Nie będziemy dłużej uciekać – tłumaczy Adam. Głośno. Zdecydowanie. – Możecie snuć swoje plany bez nas. I tak musimy już udać się do łóżek. – Adam wstaje, odwraca się do brata. – Czas spać.

James wbija wzrok w podłogę.

– James – mówi Adam ostrzegawczym tonem.

– Chcę zostać i posłuchać – odpowiada chłopiec, krzyżując ręce na piersi. – Możesz się położyć beze mnie.

– James...

– Mam pewną teorię – odzywa się dziesięciolatek. Ostatnie słowo wymawia w taki sposób, jakby było dla niego czymś nowym, jakby było ciekawym dźwiękiem w jego ustach. – I chciałbym podzielić się nią z Kenjim.

Adam wydaje się tak spięty, że aż mi się to udziela. Chyba nie zwracałem na niego wystarczającej uwagi, bo dopiero teraz widzę, że wygląda na zmęczonego. Gorzej. Wygląda na zniszczonego. Jakby mógł lada chwila się zapaść, pęknąć.

James spogląda na mnie szeroko otwartymi oczami, wyraźnie podekscytowany.

Wzdycham.

– Jaką masz teorię, mały człowieku?

Twarz Jamesa promienieje.

– Tak sobie myślałem, że może to całe udawane zabijanie miało, no, odwrócić naszą uwagę.

Unoszę brew.

– Na przykład gdyby ktoś chciał porwać Warnera i Juliette – tłumaczy dalej. – Sam mówiłeś wcześniej, że takie coś byłoby idealnym odwróceniem uwagi, prawda?

– No, tak – odpowiadam, marszcząc czoło. – Chyba tak. Ale po co Przywrócenie miałoby obmyślać taki plan? Czy oni w którymkolwiek momencie ukrywali swoje zamiary? Gdyby jakiś najwyższy przywódca chciał porwać Juliette albo Warnera, dlaczego nie miałyby po prostu pojawić się tutaj z całym oddziałem pierdolonych żołnierzy i zabrać to, czego chce?

– Wyrażaj się – rzuca oburzony Adam.

– Sorki. Proszę o wykreślenie słowa „pierdolonych” z zapisu naszej rozmowy.

Adam potrząsa głową. Wygląda, jakby miał mnie zaraz udusić. Jednak James się uśmiecha, a tylko to się naprawdę liczy.

– Nie, nie wydaje mi się, by wtargnęli w ten sposób, nie, skoro jest tutaj tylu żołnierzy – mówi James z błyszczącymi oczami. – Nie, jeśli mieli coś do ukrycia.

– Myślisz, że mieli coś do ukrycia? – wtrąca Lily. – Przed nami?

– Nie wiem – przyznaje James. – Czasami ludzie ukrywają różne rzeczy. – Ukradkiem zerka na Adama, a mnie od razu przyspiesza ze strachu tętno i już mam odpowiedzieć, kiedy uprzedza mnie Lily.

– No wiesz, to możliwe – odzywa się. – Ale Przywrócenie w przeszłości niekoniecznie przejmowało się wizerunkiem. Dawno temu przestali udawać, że obchodzi ich opinia publiczna. Teraz koszą ludzi na ulicy, bo taką mają ochotę. Nie wydaje mi się, by zależało im, by coś przed nami ukryć.

Castle wybucha śmiechem, głośno, a my wszyscy odwracamy się, by na niego spojrzeć. Czuję ulgę, bo wreszcie zareagował, jednak wydaje się jakiś nieobecny. I zły. Właściwie nigdy wcześniej nie widziałem go rozzłoszczonego.

– Ukrywają przed nami całe mnóstwo rzeczy – rzuca ostro. – I przed sobą nawzajem. – Wzdycha przeciągle i w końcu wstaje. Uśmiecha się ostrożnie do chłopca. – James, jesteś naprawdę mądry.

– Dziękuję – odpowiada dziesięciolatek, patrząc na niego ze zdziwieniem.

– Castle? – rzucam bardziej szorstko, niż planowałem. – Czy mógłbyś powiedzieć nam, proszę, co się dzieje? Czy ty coś wiesz?

Znowu słyhać jego westchnienie. Castle drapie się po brodzie.

– No dobrze, Nazeera – odzywa się, zwracając do pustego miejsca, jakby mówił do ducha. – Śmiało. Kiedy w pokoju materializuje się Nazeera, nie tylko ja wyglądam na wkurzonego. Okej, może jednak tylko ja.

Ale za to cała reszta jest co najmniej zaskoczona.

Gapią się na nią, na siebie, a potem każdy z nich – absolutnie każdy – odwraca się do mnie.

– Stary, wiedziałeś o tym? – pyta Ian.

Marszczę brwi.

Niewidzialność jest moja. Moja, cholera jasna.

Nikt nigdy mi nie mówił, że muszę się nią dzielić. A już na pewno nie z kimś takim jak Nazeera, kłamliwą manipulatką...

Śliczną. Śliczną kłamliwą manipulatką.

Ja pierdolę.

Odwracam się i wbijam wzrok w ścianę. Nie może dłużej rozpraszać mnie swoją urodą. Wie, że mi się podoba – moje zauroczenie jest, jak twierdzi Castle, oczywiście dla każdego w promieniu dziesięciu kilometrów – i wyraźnie wykorzystywała moją głupotę dla własnych korzyści.

Cwana. Szanuję jej taktykę.

To jednak oznacza, że muszę trzymać przy niej gardę. Koniec wgapienia się w nią. Koniec myślenia o niej. Koniec wyobrażania sobie jej uśmiechu. Albo tego, jaka była szczerze rozbawiona tego samego wieczoru, gdy nawrzeszczała na mnie za zadawanie rozsądnych pytań. Które, swoją drogą...

Moim zdaniem to wcale nie było takie szalone zastanawiać się na głos, dlaczego córka najwyższego przywódcy mogła bezkarnie nosić nielegalną chustę. Później powiedziała mi, że nosi ją symbolicznie, od czasu do czasu, że nie może tego robić non stop, bo to wbrew prawu. A jednak kiedy ja to zauważyłem, nawrzeszczała na mnie. A potem jeszcze raz, gdy byłem zbity z tropu.

Nadal jestem.

Teraz nie ma zasłoniętych włosów, ale najwyraźniej nikt oprócz mnie tego nie zauważył. Może już widzieli ją w takim wydaniu. Może tylko ja jeszcze z nią o tym nie rozmawiałem, a oni już słyszeli tę historię o noszeniu chusty symbolicznie i okazjonalnie.

Nielegalnie, poza zasięgiem wzroku taty.

– Kenji – odzywa się, a jej głos brzmi tak ostro, że unoszę spojrzenie, odrywając je od ściany wbrew wyraźnym rozkazom wydanym samemu sobie. Wystarczają dwie sekundy kontaktu wzrokowego, żeby moje serce znowu oszalało.

Te usta. Te oczy.

– Słucham? – Krzyżuję ręce na piersi.

Nazeera wygląda na zaskoczoną, jakby nie spodziewała się, że będę obrażony, a mnie to nie obchodzi. Powinna wiedzieć, że jestem wkurzony. Że bycie niewidzialnym to moja zdolność. Że zdaję sobie sprawę ze swojej małości i mam to gdzieś. Poza tym nie ufam jej. No i dlaczego niby wszystkie dzieci najwyższych przywódców tak dobrze wyglądają? Zupełnie jakby to było celowe, jakby wszyscy pochodzili z próbki czy coś.

Potrząsam głową, żeby przerwać ten strumień świadomości.

– Powinieneś tego wysłuchać na siedząco, naprawdę – zauważa ostrożnie Nazeera.

– Nic mi nie będzie.

Marszczy brwi. Przez sekundę wydaje się niemal urażona, ale zanim zdążę źle się z tym poczuć, wzrusza ramionami. Odwraca wzrok.

A po jej następnych słowach prawie się rozpadam.

JULIETTE

Siedzę na pomarańczowym krześle w korytarzu słabo oświetlonego budynku. Krzesło zostało wykonane z taniego plastiku, jego krawędzie są ostre, niewyglądzone. Podłoga to błyszczące linoleum, które w paru miejscach klei mi się do butów. Wiem, że oddycham zbyt głośno, ale nie mogę nad tym zapanować. Przysiadłam na dłoniach i macham nogami.

I wtedy w zasięgu wzroku pojawia się chłopiec. Jego ruchy są tak ciche, że zauważam go dopiero wtedy, gdy zatrzymuje się bezpośrednio przede mną. Opiera się o ścianę, a wzrok skupia na jakimś punkcie w oddali.

Przyglądam mu się przez chwilę.

Wydaje się być w podobnym wieku, lecz ma na sobie garnitur. W tym chłopaku jest coś dziwnego; jest taki blady i sztywny, trochę jakby bliski śmierci.

– Cześć – mówię i próbuję się uśmiechnąć. – Chcesz usiąść?

On nie odwzajemnia uśmiechu. Nawet na mnie nie patrzy.

– Wolę stać – odpowiada cicho.

– Okej.

Oboje milkniemy na jakiś czas.

– Jesteś zdenerwowana – odzywa się w końcu.

Kiwam głową. Pewnie mam oczy trochę zaczerwienione od płaczu, ale miałam nadzieję, że nikt nie zauważy.

– Też jesteś tutaj, żeby dostać nową rodzinę?

– Nie.

– Och. – Odwracam wzrok. Przystaję machać nogami. Czuję, jak dolna warga zaczyna mi się trząść, więc mocno ją przygryzam. – No to dlaczego tu jesteś?

Chłopak odpowiada wzruszeniem ramion. Widzę, jak ukradkowo zerka na trzy puste krzesła obok mnie, jednak nie siada.

– Ojciec kazał mi tu przyjść.

– Kazał ci przyjść tutaj?

– Tak.

– Dlaczego?

Gapi się na swoje buty i marszczy brwi.

– Nie wiem. – A potem, zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, zadaje swoje: – Skąd jesteś?

– Co masz na myśli?

Wtedy unosi wzrok i pierwszy raz patrzy mi w oczy. Jego są niezwykle, bardzo jasne i zielone.

– Masz akcent – zauważa.

– Och, no tak. – Wpatruję się w podłogę. – Urodziłam się w Nowej Zelandii. To tam mieszkałam, dopóki moi rodzice nie zginęli.

– Moje kondolencje.

Potakuję. Znowu macham nogami. Już mam mu zadać kolejne pytanie, kiedy w końcu otwierają się drzwi. Wychodzi przez nie wysoki mężczyzna w granatowym garniturze. Niesie teczkę.

To pan Anderson, pracownik pomocy społecznej, który się mną opiekuje.

– Wszystko załatwione – oznajmia z szerokim uśmiechem. – Twoja nowa rodzina nie może się doczekać spotkania. Mamy jeszcze kilka rzeczy do zrobienia, ale to nie potrwa dłu...

Nie mogę już wytrzymać.

Zaczynam płakać, łzy płyną po nowej sukience, którą mi kupił, a potem spływają na pomarańczowe krzesło i lepką podłogę. Szloch wstrząsa moim ciałem.

Pan Anderson odstawia swoją teczkę i się śmieje.

– Skarbie, nie ma nad czym płakać. To cudowny dzień! Powinnaś być szczęśliwa!

Nie jestem w stanie się odezwać.

Czuję się, jakbym utknęła, jakbym nie mogła oderwać się od krzesła. Jakby moje płuca się skleiły. Udaje mi się jakoś zapanować nad płaczem, ale nagle dostaję czkawki, łzy płyną cicho po policzkach.

– Chcę... chcę wrócić do domu...

– Przecież właśnie o to chodzi, żebyś pojechała do domu.

I wtedy...

– Tato.

Unoszę wzrok na dźwięk jego głosu. Jest taki cichy i poważny. To ten chłopiec z zielonymi oczami. Okazuje się, że pan Anderson to jego ojciec.

– Boi się – mówi chłopiec. I chociaż zwraca się do swojego taty, patrzy na mnie. – Naprawdę się boi.

– Boi? – Pan Anderson patrzy to na mnie, to na syna. – A czego miałyby się bać?

Pocieram twarz. Próbuję powstrzymać łzy, lecz nic z tego.

– Jak ma na imię? – pyta chłopiec. Wciąż nie odwraca ode mnie wzroku i tym razem odwzajemniam jego spojrzenie. Ma w oczach coś takiego, co sprawia, że czuję się bezpiecznie.

– To jest Juliette – oznajmia pan Anderson i patrzy na mnie. – Jest postacią tragiczną. – Wzdycha. – Podobnie jak jej imienniczka.

KENJI

Nazeera miała rację. Powinienem był usiąść.

Patrzę na swoje dłonie, jak wstrząsa nimi dreszcz. Prawie wypuszczam ściskany w palcach plik zdjęć. Zdjęć, które Nazeera przekazała nam, mówiąc, że Juliette nie jest tą osobą, za którą się uważa.

Nie mogę oderwać od nich wzroku.

Mała ciemnoskóra dziewczynka i druga, o jasnej karnacji. Biegną przez łąkę, obie uśmiechają się, odsłaniając drobne ząbki, ich długie włosy fruną na wietrze, na ich łokciach kołyszą się koszyki z truskawkami.

Nazeera i Emmaline na polu truskawek, głosi podpis z tyłu.

Mała Nazeera, ściskana z dwóch stron przez dwie białe dziewczynki. Wszystkie trzy śmieją się tak bardzo, że wyglądają, jakby miały się zaraz przewrócić.

Ella, Emmaline i Nazeera, głosi podpis.

Zbliżenie na dziewczynkę uśmiechającą się prosto do obiektywu aparatu, jej oczy są duże i niebiesko-zielone, jej twarz okalają miękkie brązowe włosy.

Ella w bożonarodzeniowy poranek, głosi podpis.

– Ella Sommers – oznajmia Nazeera.

Twierdzi, że jej prawdziwe personalia to Ella Sommers, że jest siostrą Emmaline Sommers i córką Maximilliana i Evie Sommersów.

– Coś jest nie tak – tłumaczy Nazeera. – Coś się dzieje.

Ponoć sześć tygodni temu obudziła się, pamiętając Juliette, to znaczy Ellę...

– Pamiętałam ją. Właściwie przypomniałam ją sobie, więc wcześniej musiałam zapomnieć. A kiedy przypomniałam sobie o Elli, wróciły też wspomnienia o Emmaline. Nagle wiedziałam, że dorastałyśmy razem, że nasi rodzice się przyjaźnili. Pamiętałam to wszystko, ale nie rozumiałam, przynajmniej nie od razu. Myślałam, że może myślę sny ze wspomnieniami. Właściwie te drugie wracały tak powoli, że przez jakiś czas wydawało mi się, że to halucynacje.

Tłumaczy, że te halucynacje, jak je nazwała, były nieodparte, dlatego zaczęła drążyć temat, szukać informacji.

– Dowiedziałam się tego samego co wy. Że dwie dziewczynki, Ella i Emmaline, zostały oddane Przywróceniu i tylko Ella wyszła spod ich kurateli, dlatego nadano jej nowe personalia. Została przeniesiona w nowe miejsce, adoptowana. Jednak nie wiecie, że rodzice dziewczynek byli członkami Przywrócenia. Byli lekarzami, naukowcami. Nie wiedzieliście, że Ella, którą poznaliście jako Juliette, jest córką Evie Sommers, obecnej najwyższej przywódczyni Oceanii. Wychowywałyśmy się razem. Podobnie jak pozostałe dzieci najwyższych przywódców została przystosowana do tego, by służyć Przywróceniu.

Ian głośno przeklina, a Adam jest zbyt zdumiony, żeby mu zwrócić uwagę.

– To nie może być prawda – odzywa się. – Juliette... Dziewczyna, z którą chodziłem do szkoły, była... – Potrząsa głową. – Znałem ją przez lata. Nijak nie przypominała ciebie czy Warnera. Była cicha, nieśmiała, urocza. Zawsze bardzo miła. Nie chciała nikogo skrzywdzić. Jedyne, czego pragnęła, to więzi z innymi ludźmi. Temu chłopcu w sklepie próbowała pomóc. Tylko potem po prostu... wszystko skończyło się źle, została wciągnięta w całą tę kabałę, a ja próbowałem... – mówi z nagłą rozpaczą – próbowałem jej pomóc, zaopiekować się nią. Chciałem ją przed tym wszystkim uchronić. Chciałem...

Widzę, jak gryzie się w język. Prostuje.

– Ona w ogóle taka nie była – podejmuje znowu wątek, gapiąc się w podłogę. – Dopóki nie zaczęła spędzać czasu z Warnerem. Po tym, jak go poznała... Nie wiem, co się z nią stało. Zatraciła się, kawałek po kawałku. W końcu stała się kimś zupełnie innym. – Unosi wzrok. – Ale nie była taka jak wy. Nie taka jak Warner. Nie uwierzę, że jest córką najwyższej przywódczyni. Nie jest urodzoną morderczynią. A poza tym – dodaje, biorąc głęboki wdech – gdyby pochodziła z Oceanii, miałyby akcent.

Nazeera patrzy na niego, przechylając głowę.

– Dziewczyna, którą poznałeś, przeżyła poważną fizyczną i emocjonalną traumę – tłumaczy. – Siłą usunięto jej wspomnienia. Przetransportowano ją na drugi kraniec świata jako obiekt badawczy i przekonano, by zamieszkała z przemocowymi rodzicami adopcyjnymi, którzy ją bili. – Nazeera potrząsa powoli głową. – Przywrócenie, a w szczególności Anderson, zadbało o to, żeby Ella nie pamiętała powodu tego cierpienia, ale brak wspomnień nie zmienia faktu, że to wszystko się wydarzyło. Jej ciało było wielokrotnie wykorzystywane i dręczone przez różne potwory w ludzkiej skórze. A to odcisnęło swoje piętno. – Nazeera spogląda Adamowi prosto w oczy. – Może nie rozumiesz. Przeczytałam wszystkie raporty. Włamałam się do dokumentacji ojca. Znalazłam wszystko. Krzywdy, jakie wyrządzili Elli przez te dwanaście lat, są niewyobrażalne. Jednak nie uważam, by stała się kimś, kim wcześniej nie była. Zgaduję, że wreszcie zebrała dość siły, żeby przypomnieć sobie, kim była od samego początku. I jeśli tego nie pojmujesz, cieszę się, że jednak się między wami nie ułożyło.

W jednej chwili napięcie w pomieszczeniu staje się niemal duszące.

Adam wygląda, jakby zaraz miał zapłonąć żywym ogniem. Jakby dosłownie miały mu wybuchnąć gałki oczne. Jakby to była jego nowa supermoc – wybuchanie.

Chrząkam. Zmuszam się, żeby coś powiedzieć – cokolwiek – i przerwać tę ciszę.

– Czyli, eee, wszyscy wiedzieliście o Adamie i Juliette, co? Nie miałem o tym pojęcia. Ha, ciekawe.

Nazeera nieśpiesznie się odwraca i spogląda mi w oczy.

– Żartujesz, prawda? – rzuca, gapiąc się na mnie jak na kogoś głupszego niż but.

Chyba lepiej nie drażnić.

– Skąd wzięłaś te zdjęcia? – pyta Alia, znacznie zręczniejszymi zmianami tematu. – Skąd mamy mieć pewność, że są prawdziwe?

Z początku Nazeera tylko na nią patrzy. I wydaje się zrezygnowana, gdy tłumaczy:

– Nie wiem, jak was przekonać, że są prawdziwe. Mogę powiedzieć tylko tyle, że są.

Zapada cisza.

– Dlaczego w ogóle cię to obchodzi? – odzywa się Lily. – Dlaczego mamy uwierzyć, że los Juliette, czy Elli, jest dla ciebie jakkolwiek ważny? Co takiego miałybyś zyskać, pomagając nam? Dlaczego miałybyś zdradzić swoich rodziców?

Nazeera opada na oparcie krzesła.

– Wiem, że w waszych oczach wszystkie dzieci najwyższych przywódców to beztroscy, amoralni psychopaci, którzy z radością przyjmują przypisaną im przez rodziców rolę militarnych robotów, ale życie jest bardziej skomplikowane. Wydali nas na świat szaleńcy z morderczymi zapędami, którzy chcą przejąć kontrolę nad całą ludzkością. To prawda. Ale jednej rzeczy chyba nikt nie rozumie. Nasi rodzice postanowili być tymi szaleńcami, a nas do tego zmuszono. I to, że zostaliśmy wyszkoleni na zabójców, nie oznacza jeszcze, że nam się to podoba. Żadne z nas nie wybrało sobie tego życia. Żadnemu z nas nie sprawiało przyjemności uczenie się technik tortur przed nauką prowadzenia auta. Czy tak trudno sobie wyobrazić, że czasami nawet źli ludzie szukają sposobu, by wydostać się ze swojego mroku?

W oczach Nazeery lśnią emocje, a jej słowa przebijają kamizelkę ratunkową mojego serca. Znowu nurkuję pod powierzchnię uczuć.

Cholera.

– Czy naprawdę tak trudno uwierzyć, że może mi zależeć na dobru tych dziewczyn, które kiedyś kochałam jak siostry? – ciągnie. – I że przejmuję się tym, jakimi kłamstwami nakarmili mnie rodzice? Albo losem niewinnych ludzi, których zamordowali na moich oczach? A może nawet zrobiłam coś znacznie prostszego, może pewnego dnia otworzyłam oczy i zdałam sobie sprawę, że jestem częścią systemu, który nie tylko niszczy nasz świat, ale morduje też jego mieszkańców?

Cholera.

Czuję to. Czuję, jak moje serce się wypełnia, po brzegi. W piersi robi się ciasno, jakby napuchła, jakby płuca przestały się w niej mieścić. Nie chcę zakochać się w Nazeerze. Nie chcę odczuwać jej bólu, sympatyzować z nią ani w ogóle czegokolwiek czuć. Chcę zachować trzeźwość umysłu. Wyluzować.

Z trudem przypominam sobie żart, który usłyszałem niedawno od Jamesa, jakąś głupią grę słów – coś związanego z muffinkami, co było tak głupie, że prawie się popłakałem. Skupiam się na tym wspomnieniu, na tym, jak James śmiał się z własnego suchara i prychnął tak głośno, że z ust wypadł mu kęs jedzenia.

Uśmiecham się i spoglądam na niego, a on wygląda, jakby miał zaraz zasnąć.

Jeszcze chwila i ucisk w piersi zaczyna odpuszczać.

Teraz szczerze się uśmiecham, zastanawiając się, czy to dziwne, że nawet wołę kiepskie żarty od tych dobrych, a wtedy odzywa się Ian...

– Rzecz nie w tym, że wydajesz się bezwzględna. Chodzi o to, że te zdjęcia pojawiły się w bardzo dogodnym momencie. Miałś je w pogotowiu, żeby się z nami podzielić. – Wpatruje się w pojedynczą fotografię, którą trzyma w ręku. – Te dzieciaki mogą być kimkolwiek.

– Dobrze się przyjrzyj – mówi Nazeera, wstając, żeby lepiej widzieć zdjęcie w jego dłoni. – Kto to jest twoim zdaniem?

Nachylam się – Ian siedzi niedaleko mnie – i zaglądam mu przez ramię. Nie ma sensu dłużej zaprzeczać, podobieństwo jest niesamowite.

Juliette. Ella.

Jest jeszcze malutkim dzieckiem, ma cztery, może pięć lat, stoi uśmiechnięta przed obiektywem. Trzyma bukiet dmuchawców, jakby chciała wręczyć je fotografowi. A z boku widać też drugą osobę. Chłopca z jasnymi włosami. Są tak jasne, że właściwie białe. Chłopiec patrzy intensywnie w pojedynczego dmuchawca w swojej dłoni.

Prawie spadam z krzesła. Juliette to jedno, ale to...

– Czy to jest Warner? – pytam.

Adam unosi gwałtownie głowę. Patrzy to na mnie, to na Nazeerę, a potem podchodzi, żeby spojrzeć na zdjęcie. Jego brwi wędrują aż pod linię włosów.

– Nie wierzę – rzuca.

Nazeera wzrusza ramionami.

– Nie wierzę – powtarza Adam. – Nie ma takiej opcji. To niemożliwe. Nie ma mowy, żeby znali się tak długo. Warner nie miał pojęcia, kim jest Juliette, dopóki się tutaj nie pojawiła. – Gdy Nazeera wydaje się nieporuszona, Adam dodaje: – Mówię poważnie. Wiem, że twoim zdaniem nie mam o niczym pojęcia, ale w tej kwestii się nie mylę. Byłem przy tym. Warner dosłownie przeprowadził ze mną rozmowę kwalifikacyjną na stanowisko jej współwłaściciela. Nie wiedział, kim ona jest. Nigdy wcześniej jej nie spotkał. Nie widział jej twarzy, a przynajmniej nie z bliska. W dużej mierze wybrał mnie do tej roli dlatego, że łączyła nas przeszłość, jego zdaniem to było użyteczne. Godzinami mnie o nią wypytywał.

Nazeera wzdycha powoli, jakby otaczali ją sami idioci.

– Kiedy znalazłam te zdjęcia – tłumaczy Adamowi – nie rozumiałam, dlaczego przyszło mi to z taką łatwością. Nie rozumiałam, dlaczego ktoś miałby przechowywać takie dowody tuż pod moim nosem, na wyciągnięcie ręki. Ale wiem, że moi rodzice się nie spodziewali, że kiedykolwiek będę ich szukać. Rozleniwili się. Uznali, że nawet jeśli na nie natrafię, nie będę wiedziała, na co właściwie patrzę. Gdybym zobaczyła je dwa miesiące temu, założyłabym, że ta dziewczyna – wyjmuje zdjęcie przedstawiające ją samą, chyba młodego Haidera oraz chudą błękitnooką dziewczynę z brązowymi włosami – była tylko koleżanką z sąsiedztwa, którą znałam przelotnie i której nie zapamiętałam. Tylko że teraz pamiętam. Wszystko pamiętam. Dzień, w którym rodzice powiedzieli nam, że Ella i Emmaline utonęły. Płakałam wtedy w każdy wieczór. Pamiętam, jak zabrali nas do miejsca, które dla mnie wyglądało jak szpital. Matka powiedziała, że niedługo pocuję się lepiej. I pamiętam, że potem już nic nie pamiętałam. Dosłownie jakby mój mózg zapadł się w sobie. – Unosi brwi. – Rozumiesz, co próbuję ci wytłumaczyć, Kent?

On patrzy na nią spode łba.

– Rozumiem, nie jestem idiotą.

Nazeera się uśmiecha.

– Tak, rozumiem, co chcesz powiedzieć – ciągnie Kent, wyraźnie zirytowany. – Twierdzisz, że wszyscy mieliście usunięte wspomnienia. Twierdzisz, że Warner nawet nie wie, że się znali.

Nazeera unosi palec.

– Nie wiedział – poprawia Adama. – Dowiedział się dopiero tuż przed sympozjum. Próbowałam go ostrzec... Castle'a też – dodaje, zerkając na niego, ale on wbija wzrok w ścianę. – Próbowałam ich ostrzec, że coś jest nie tak, że dzieje się coś ważnego i nie do końca rozumiem, co i dlaczego. Warner mi oczywiście nie uwierzył. Nie jestem pewna, czy Castle tak samo. Jednak nie miałam czasu, żeby pokazać im dowody.

– Zaraz, czekaj – rzucam, marszcząc brwi. – Powiedziałaś Warnerowi i Castle'owi? Przed

symposium? Powiedziałaś im o tym wszystkim?

– Próbowałam – odpowiada Nazeera.

– Dlaczego po prostu nie porozmawiałaś z Juliette? – pyta Lily.

– Masz na myśli Ellę.

Lily przewraca oczami.

– Jasne, Ellę. Nieważne. Dlaczego nie ostrzegłaś jej bezpośrednio? Dlaczego powiedziałaś innym?

– Nie byłam pewna, jak zniesie takie wieści – wyjaśnia Nazeera. – Starałam się ją wybać od czasu, kiedy się tutaj pojawiłam, ale nie mogłam rozgryźć, co właściwie o mnie myśli. Moim zdaniem nie do końca mi ufała. A po tym wszystkim, co się wydarzyło – waha się – miałam wrażenie, że każdy moment był nieodpowiedni. Została postrzelona, dochodziła do siebie, potem zerwali z Warnerem i jakoś tak... nie wiem, straciła kontrolę. Mentalnie znalazła się w nefajnym miejscu. Musiała przetrwać już kilka trudnych wiadomości i nie radziła sobie z tym najlepiej. Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy będzie w stanie udźwignąć kolejne. Martwiłam się, co zrobi.

– Na przykład zamorduje sześćset osób – mamrocze pod nosem Ian.

– Hej – rzucam ostro. – Nikogo nie zamordowała, okej? To była jakaś iluzja.

– Odwrócenie waszej uwagi – stwierdza twardo Nazeera. – James jako jedyny dostrzegł, do czego to służyło. – Wzdycha. – Myślę, że to było ukartowane, żeby Ella wydała się wybuchowa i rozchwiana. Tamta scena z symposium z pewnością podkopie jej pozycję w Sektorze 45, podsycając strach żołnierzy, którzy przysięgli jej lojalność. Zostanie opisana jako niezrównowazona. Irracjonalna. Słaba. No i okazało się, że łatwo ją porwać. Przywrócenie chciało się pozbyć Elli, ale myślałam, że prędzej zrównają cały sektor z ziemią. Myliłam się. Zastosowali znacznie bardziej efektywną taktykę. Nie musieli zabijać całego regimentu dobrych żołnierzy oraz populacji posłusznych pracowników. Wystarczyło zdyskredytować Ellę w roli ich przywódczyni.

– I co teraz? – pyta Lily.

Nazeera się waha, po czym mówi ostrożnie:

– Gdy już ukarzą obywateli i zduszą całą nadzieję na rebelię, Przywrócenie zbuntuje wszystkich przeciwko wam. Wyznaczy nagrodę za wasze głowy albo gorzej, zagrozi, że zabije bliskich żołnierzy i cywilów, którzy was nie wydadzą. Miałaś rację – zwraca się do Lily. – Żołnierze i cywile obiecywali lojalność Elli, a skoro zabrakło zarówno jej, jak i Warnera, poczują się porzuceni. Nie mają powodu, żeby ufać reszcie waszej grupy. – Pauza. – Powiedziałabym, że macie dwadzieścia cztery godziny, zanim was zaatakują.

W pomieszczeniu zapada cisza. Na chwilę chyba wszyscy przestają oddychać.

– Kurwa – rzuca Ian, chowając głowę w dłoń.

– Natychmiastowa relokacja to w tej chwili najlepsze rozwiązanie – odpowiada dziarsko Nazeera. – Ale nie wiem, na ile będę mogła wam w tym pomóc. Od was będzie zależeć, dokąd się udacie.

– Co w takim razie tutaj robisz? – wypalam zirytowany. Teraz trochę lepiej ją rozumiem i wiem, że próbuje nas wspierać, ale to nie zmienia faktu, że wciąż czuję się parszywie. Ani tego, że wciąż nie wiem, co o niej myśleć. – Pokazałaś się tylko po to, by powiedzieć nam, że umrzemy? To wszystko? – Potrząsam głową. – Bardzo pomocne, dzięki.

– Kenji – odzywa się wreszcie Castle. – Nie ma powodu, by naskakiwać na naszą gościńię. – Jego głos jest spokojny, kojący. Brakowało mi tego. – Faktycznie w czasie swojego pobytu tutaj próbowała ze mną rozmawiać, ostrzec mnie. A jeśli chodzi o strategię ratunkową – oznajmia, zwracając się do całej grupy – dajcie mi trochę czasu. Mam przyjaciół. Jak dobrze wiecie, nie jesteśmy jedyną grupą oporu. Nie ma powodów do paniki. Jeszcze nie.

– Jeszcze nie? – rzuca Ian z niedowierzaniem.

– Jeszcze nie – powtarza Castle, po czym dodaje: – Nazeero, co z twoim bratem? Udało ci się go przekonać?

Nazeera bierze głęboki oddech, luzując nieco ramiona.

– Haider wie – wyjaśnia nam wszystkim. – Sam też zaczął przypominać sobie różne rzeczy na temat Elli, ale jego wspomnienia nie są tak silne i nie rozumiał, co się z nim dzieje. Aż do zeszłego wieczoru, kiedy postanowiłam podzielić się z nim tym, co odkryłam.

– Zaraz, czekaj – wypala Ian. – Ty mu ufasz?

– W wystarczającym stopniu – odpowiada Nazeera. – Poza tym uznałam, że ma prawo wiedzieć. On też znał Ellę i Emmaline. Jednak nie dał się do końca przekonać. Nie wiem, jaką podejmie decyzję, jeszcze nie, ale zdecydowanie wydawał się wstrząśnięty, co chyba jest dobrym znakiem. Poprosiłam, żeby trochę pogrzebał, dowiedział się, czy inni też zaczęli sobie przypominać. Obiecał, że to zrobi. Na razie to wszystko, co mam.

– A gdzie są pozostałe dzieci przywódców? – pyta Winston, marszcząc brwi. – Wiedzą, że wciąż jesteś tutaj?

Twarz Nazeery przybiera ponury wyraz.

– Wszyscy powinniśmy złożyć raport zaraz po zakończeniu sympozjum. Haider w tej chwili powinien być w drodze powrotnej do Azji. Próbowałam przekonać rodziców, że zostaję dłużej, żeby zrobić dodatkowy rekonesans, ale chyba nie uwierzyli. Z pewnością niedługo się odezwą. Wtedy się tym zajmę.

– Czyli... Czekaj. – Zerkam to na nią, to na Castle'a. – Zostajesz z nami?

– Właściwie tego nie planowałam.

– Och, to dobrze.

Nazeera patrzy na mnie, unosząc brew.

– Wiesz, co mam na myśli – dodaję.

– Nie wydaje mi się – odpowiada z niespodziewaną irytacją. – Tak czy inaczej, chociaż tego nie planowałam, chyba będę musiała zostać.

Otwieram szeroko oczy.

– Słucham? Dlaczego?

– Ponieważ rodzice okłamywali mnie, odkąd byłam dzieckiem. Ukradli mi wspomnienia i przepisali moją historię na nowo. A ja chcę wiedzieć dlaczego. Poza tym – bierze głęboki wdech – myślę, że wiem, dokąd zabrano Ellę i Warrena. Chciałabym pomóc.

WARNER

– Cholera jasna.

Słyszę ledwo powstrzymywany gniew w głosie ojca, po czym jakiś donośny trzask. I znowu przekleństwo.

Waham się, stojąc pod drzwiami.

A potem słyszeć niecierpliwe:

– Czego chcesz?

Praktycznie warknął. Walczę z instynktownym strachem. Przywdziewam maskę obojętności. Neutralizuję swoje emocje. A potem ostrożnie wchodzę do jego biura.

Ojciec siedzi za biurkiem, ale widzę tylko tył jego fotela i niedopitą whiskey w szklance w lewej dłoni. Dokumenty leżą w nieładzie. Przycisk do papieru leży na podłodze, w ścianie widać wgniecenie.

Coś poszło nie tak.

– Chciałeś się ze mną zobaczyć – mówię.

– Po co? – Ojciec odwraca się do mnie. – Po co chciałem cię zobaczyć?

Nie odpowiadam. Nauczyłem się, by nie przypominać mu nigdy, że o czymś zapomniał.

W końcu wzdycha.

– Tak, racja. Będziemy musieli porozmawiać o tym później.

– Później? – Tym razem z trudem ukrywam emocje. – Powiedziałeś, że dasz mi odpowiedź dzisiaj...

– Coś mi wypadło.

Gniew rozpala się w mojej piersi. Zapominam się.

– Coś ważniejszego od umierającej żony?

Mój ojciec nie daje się sprowokować. Sięga tylko po stertę papierów na biurku i rzuca:

– Idź sobie.

Nie ruszam się z miejsca.

– Muszę wiedzieć, co się wydarzy – mówię. – Nie chcę jechać z tobą do stolicy. Wolę zostać tutaj, z mamą...

– Chryste – wypala, gwałtownym ruchem odstawiając szklankę. – Czy ty się słyszysz? – Patrzy na mnie z obrzydzeniem. – To zachowanie jest niezdrowe. Niepokojące. Nie miałem pojęcia, że szesnastoletni chłopak może mieć taką obsesję na punkcie swojej matki.

Rumieniec wylewa mi się na szyję i nienawidzę siebie za to. Nienawidzę też ojca za to, że przez niego czuję nienawiść do siebie.

– Nie mam obsesji – odpowiadam cicho.

Anderson potrząsa głową.

– Jesteś żaloszny.

Przyjmuję ten emocjonalny cios i zakopuję głęboko. Z pewnym trudem udaje mi się odpowiedzieć obojętnym tonem:

– Chcę tylko wiedzieć, co się wydarzy.

Anderson wstaje, chowa dłonie do kieszeni. Wygląda przez ogromne okno swojego biura na ciągnące się za nim miasto.

Widok jest ponury.

Autostrady stały się muzeami na świeżym powietrzu, przedstawiającymi szkielety zapomnianych wozów. Wszędzie widać góry śmieci, które tworzą całe łańcuchy. Ulice są zasłane truchłami ptaków, z nieba od czasu do czasu spadają jakieś martwe ciała. W oddali panoszą się nieokiełznane pożary, silne wiatry podsycają ich płomienie. Miasto trwale zasłoniła gruba warstwa mgły, a resztki chmur są szare, ciężkie od deszczu. Zaczęliśmy już proces ustalania regulacji co do tego, jaki teren nadaje się do zamieszkania, a jaki nie. Całe sekcje miasta zostały odcięte. Na przykład większość mieszkańców terenu nadbrzeżnego ewakuowano, bo ulice i domy zostały zalane, a dachy powoli zaczęły się zapadać.

W porównaniu do tego wszystkiego wnętrze biura mojego ojca wydaje się rajem. Tutaj każda rzecz jest wciąż nowa; drewno nadal pachnie jak drewno, każda powierzchnia błyszczy. Raptem cztery miesiące temu Przywrócenie zyskało władzę w drodze głosowania i w tym momencie mój ojciec jest dowódcą

i regentem jednego z naszych nowych sektorów.

Sektora 45.

Nagły podmuch wiatru uderza w okno i czuję, jak wibracje niosą się po pomieszczeniu. Mrugają światła. Ojciec nawet się nie wzdryga. Świat może i się rozpada, ale Przywrócenie radzi sobie lepiej niż kiedykolwiek. Ich plany są realizowane szybciej, niż się spodziewali. I chociaż ojciec jest już brany pod uwagę jako kandydat na najwyższego przywódcę Ameryki Północnej, najwyraźniej żaden sukces nie jest w stanie go ukoić. Ostatnio jest jeszcze bardziej wybuchowy niż zwykle.

– Nie mam pojęcia, co się wydarzy – mówi w końcu. – Nie wiem nawet, czy nadal chcą mnie awansować.

Nie potrafię ukryć swojego zaskoczenia.

– Dlaczego?

Anderson się uśmiecha, bez radości, patrząc przez okno.

– Miałem kogoś niańczyć i nie wypaliło.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz.

– Czyli jednak się nie przeprowadzamy? Nie jedziemy do stolicy?

Anderson się odwraca.

– Nie ekscytuj się tak. Powiedziałem, że jeszcze nie wiem. Najpierw muszę się zastanowić, jak rozwiązać problem.

– A na czym polega problem? – pytam cicho.

Anderson wybucha śmiechem. Marszczą mu się kąciki oczu i przez chwilę wygląda jak człowiek.

– Powiem tylko tyle, że twoja dziewczyna znowu psuje mi dzień. Jak zwykle.

– Moja dziewczyna? – Marszczę brwi. – Tato, my nie jesteśmy parą. Nie obchodzi mnie, co mówi

Lena...

– Inna dziewczyna – wypala Anderson i wzdycha. Teraz nie patrzy mi w oczy. Zabiera akta z biurka, otwiera je i przegląda zawartość.

Nie udaje mi się zadać kolejnego pytania.

Nagle ktoś głośno puka do drzwi. Na znak od mojego ojca do środka wchodzi Delalieu. Wydaje się dość zaskoczony moim widokiem i przez chwilę milczy.

– No? – Mój tata wydaje się niecierpliwy. – Jest tutaj?

– T-tak, sir. – Delalieu chrząka. Znowu zerka na mnie. – Mam ją przyprowadzić na górę czy woli pan spotkać się z nią gdzieś indziej?

– Przyprowadź ją.

Delalieu się waha.

– Jest pan pewien, sir?

Patrzę to na ojca, to na Delalieu. Coś jest nie tak.

Ojciec spogląda mi w oczy, mówiąc:

– Powiedziałem, żebyś ją tutaj przyprowadził.

Delalieu kiwa głową i znika.

Moja głowa jest jak kamień, ciężka i beużyteczna, oczy odpłynęły w głąb czaszki. Udaje mi się zachować świadomość jedynie przez kilka sekund naraz. Czuję zapach i smak metalu. Jakiś prastary ryk najpierw wzbiera, potem cichnie, potem znowu wzbiera.

Dudnienie kroków, ciężkich, gdzieś w pobliżu mojej głowy.

Głosy, lecz stłumione, jakby dobiegały z odległości lat świetlnych. Nie mogę się poruszyć. Czuję się, jakbym został pogrzebany, pozostawiony na pożarcie robakom. Słabe pomarańczowe światło migocze mi za oczami i przez sekundę... przez zaledwie sekundę...

Nie.

Nic.

Zdaje się, jakby mijały całe dni. Wieki. Świadomości wystarcza mi tylko na tyle, by zdać sobie sprawę, że naszpikowali mnie środkami uspokajającymi. Cały czas mi je podają. Mam sucho w ustach, jestem tak odwodniony, że odczuwam ból. Mógłbym zabić za odrobinę wody. Zabić.

Kiedy mnie przenoszą, czuję się ciężki, obcy dla samego siebie. Łąduję twardo na zimnej podłodze,

ból jakby z dystansu niesie się rykoszetem po moim ciele. Wiem, że dotrze do mnie aż za szybko. Już za moment środki przestaną działać i zostanę sam na sam ze swoimi kośćmi i tym pyłem w ustach.

Szybkie, mocne kopnięcie w brzuch i gwałtownie unoszę powieki, czerń pożera moje rozchylone, łykające powietrze usta, przesącza się za gałki oczu. Jednocześnie czuję się ślepy i brakuje mi tchu, a potem szok wreszcie mija i moje członki się poddają. Wiotczeją.

Iskra gaśnie.

KENJI

– Powiesz mi, z łaski swojej, co się właściwie dzieje?

Zamieram w pół kroku, słysząc głos Nazeery. Właśnie wracałem do swojego pokoju, żeby się na moment zdrzemnąć, spróbować zapanować nad tym potwornym bólem głowy, który obijał mi się o czaszkę.

Wreszcie mogliśmy zrobić sobie przerwę.

Krótki odpoczynek po godzinach wykańczających, stresujących rozmów o następnych krokach, planach i chyba kradzieży samolotu. Przygniotło mnie to wszystko. Nawet Nazeera, mimo dostępu do tylu informacji, nie była w stanie zapewnić mnie, że Juliette – przepraszam, Ella – i Warner wciąż żyją, a jedynie szansa, że ktoś gdzieś właśnie ich torturuje na śmierć, to dla mnie w tej chwili zbyt wiele. Mieliśmy dzisiaj gównoburzę nad wszystkie gównoburze. Prawdziwy kałszkwał. Nie zniosę tego dłużej. Nie wiem, czy usiąść i płakać, czy coś podpalić.

Castle powiedział, że zaryzykuje wyprawę do kuchni, żeby sprawdzić, czy da się załatwić nam jakieś jedzenie, a to były najlepsze wieści, jakie słyszałem przez cały dzień. Obiecał też, że postara się jeszcze na chwilę uspokoić żołnierzy – na tak długo, byśmy mogli przemyśleć, co dokładnie zrobimy – ale nie jestem pewien, czy mu się to uda. Było źle już wtedy, gdy J została postrzelona. Godziny, które spędziła w skrzydle szpitalnym, były stresujące także dla nas. Naprawdę myślałem, że żołnierze się zbuntują. Ciągłe któryś zatrzymywał mnie na korytarzu, wyrzaskując coś o tym, jak to powinna być niezniszczalna, że nie taki był plan, że nie zgodzili się ryzykować życia dla zwyczajnej nastolatki, którą można postrzelić, a miała być fenomenem, kimś ponadludzkim...

Uspokojenie ich zajęło wieczność.

Ale teraz?

Mogę sobie tylko wyobrażać, jak zareagują na wieść o tym, co się wydarzyło na sympozjum. Najprawdopodobniej dojdzie do buntu.

Wzdycham głośno.

– Czyli co, tak po prostu mnie zignorujesz?

Nazeera stoi zaledwie krok ode mnie. Wyczuwam jej obecność, jej niecierpliwie oczekiwanie. Nadal nie odezwałem się ani słowem. Nadal się nie odwróciłem. To nie tak, że nie chcę z nią rozmawiać – w sumie to chyba bym chciał. Może innego dnia. Lecz w tej chwili skończyło mi się paliwo. Skończyły mi się żarty Jamesa. Skończyły mi się sztuczne uśmiechy. W tej chwili jestem tylko bólem, zmęczeniem i trudnymi emocjami, nie mam w sobie ani krztyny siły na kolejną poważną rozmowę. Naprawdę nie mogę, nie w tej chwili.

I prawie udało mi się uciec. Jestem już pod drzwiami swojego pokoju. Położyłem dłoń na klamce.

Mógłbym sobie po prostu pójść, myślę.

Mógłbym być kimś takim, mógłbym być jak Warner. Mógłbym być dupkiem i po prostu odejść bez słowa. Sorki, jestem zbyt zmęczony, dzięki, ale nie chce mi się gadać.

Zostaw mnie w spokoju.

Zamiast tego zwieszam głowę, opieram dłonie i czoło o zamknięte drzwi.

– Nie mam siły, Nazeera.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś na mnie zły.

Opuszczam powieki. Mój nos odbija się od drewna.

– Nie jestem na ciebie zły. Jestem śpiący.

– Ale byłeś zły. Byłeś zły, bo mam tę samą zdolność co ty. Prawda?

Jęczę.

– Prawda? – powtarza, tym razem ze złością.

Nie odpowiadam.

– Niewiarygodne. To najbardziej małostkowa, absurdałna, niedojrzała...

– No cóż.

– Masz w ogóle pojęcie, jakie to było dla mnie trudne, żeby ci o tym powiedzieć? Masz jakieś pojęcie... – Słyszę, jak prycha z gniewu. – Możesz przynajmniej patrzeć na mnie, kiedy do ciebie mówię?

– Nie mogę.

– Słucham? – Wydaje się zaskoczona. – Jak to nie możesz?

– Nie mogę na ciebie patrzeć.

Nazeera się waha.

– Dlaczego nie?

– Jesteś zbyt ładna.

Śmieje się, ale ze złością, jakby miała mnie zaraz uderzyć w twarz.

– Kenji, staram się pomówić z tobą na serio. To dla mnie ważne. Pierwszy raz w całym swoim życiu pokazałam innym ludziom, co potrafię. Pierwszy raz mam kontakt z podobnymi do siebie. A poza tym – ciągnie – myślałam, że mieliśmy zostać przyjaciółmi. Może dla ciebie to nic ważnego, ale dla mnie tak, bo ja nie nawiązuję tak łatwo przyjaźni. A w tej chwili sprawiasz, że zaczynam żałować.

Wzdycham tak głośno, że prawie robię sobie krzywdę.

Odsuwam się od drzwi, patrzę w ścianę.

– Posłuchaj – mówię i przetykam ślinę. – Przykro mi, że zraniłem twoje uczucia. Po prostu... Był taki moment, zanim właściwie zaczęłaś mówić, kiedy pomyślałem, że, no, kłamałaś na temat tego wszystkiego. Nie rozumiałem, co się dzieje. Myślałem, że może nas wystawiłaś. Kilka rzeczy wydawało się zbyt szalonych, żeby mogło być zbiegiem okoliczności. Ale potem rozmawialiśmy przez kilka godzin i zmieniłem zdanie. Już nie jestem zły. Przepraszam. Mogę już iść?

– Oczywiście, tylko... – Urywa, jakby była stropiona, i dotyka mojej ręki. Nie, nie tyle dotyka, co ją chwyta. Oplata palcami moje gołe przedramię i delikatnie ciągnie.

Kontakt jest ciepły i bezpośredni. Jej skóra jest miękka. Mój umysł wydaje się przygaszony. Kręci mi się w głowie.

– Przestań – mówię.

Opuszcza dłoń.

– Dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć? – pyta.

– Już ci to wytłumaczyłem, a ty się ze mnie śmiałaś.

Milknie na tak długo, że zastanawiam się, czy sobie nie poszła.

– Myślałam, że żartujesz – odzywa się w końcu.

– No cóż, nie żartowałem.

Znowu cisza.

– Zawsze mówisz dokładnie to, co myślisz?

– Przez większość czasu – odpowiadam i uderzam lekko głową o drzwi. Nie rozumiem, dlaczego ta dziewczyna nie zostawi mnie w spokoju.

– A o czym myślisz w tej chwili? – pyta.

Jezu Chryste.

Unoszę wzrok, patrzę w sufit z nadzieją, że pojawi się tam jakaś dziura czasoprzestrzenna i mnie wciągnie, że uderzy we mnie piorun albo może nawet porwą mnie kosmici. Wszystko, byle się stąd wydostać, opuścić tę chwilę, tę niekończącą się, wykańczającą rozmowę.

Ponieważ nie dzieje się żaden cud, moja frustracja rośnie.

– Myślę o tym, jak bardzo chciałbym się przespać – odpowiadam ze złością. – Myślę o tym, jak bardzo chciałbym zostać sam. I powiedziałem ci to już tysiąc razy, a ty nie zostawiasz mnie w spokoju, chociaż już przeprosiłem za to, że zraniłem twoje uczucia. Więc w gruncie rzeczy chyba myślę o tym, że nie rozumiem, co jeszcze tutaj robisz. Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, by wiedzieć, co się dzieje w mojej głowie?

– Słucham? – wypala z zaskoczeniem. – Wcale nie...

Wreszcie się odwracam. Trochę nie panuję nad sobą, jakby mój mózg zalała powódź. Tak wiele się dzieje. Tak wiele czuję. Żal, strach, zmęczenie. Pożądanie.

Nazeera na widok mojej twarzy robi krok do tyłu.

Jest idealna. We wszystkim. Długie nogi i krągłości. Szalenie piękna twarz. Nikt nie powinien takiej mieć. Błyszczące oczy w kolorze miodu i skóra, która wygląda jak zmierzch. Jej włosy są tak ciemnobrązowe, że niemal czarne. Gęste, ciężkie, proste. Przypomina mi coś, jakieś uczucie, którego nawet nie umiem nazwać. I jest w niej coś takiego, że głupieję. Jestem otumaniony, mógłbym po prostu gapić się na nią i byłbym szczęśliwy w bańce tego uczucia. A potem niespodziewanie zdaję sobie sprawę, że znowu gapię

się na jej usta.

Nigdy tego nie planuję. Jakoś samo tak wychodzi.

Ona ciągle dotyka swoich warg, stuka w ten przeklęty diamentowy kolczyk, który ma niżej, a ja jak ten kretyn podążam wzrokiem za każdym jej ruchem. Stoi przede mną z rękami skrzyżowanymi na piersi, przeciąga nieświadomie kciukiem po krawędzi dolnej wargi, nie mogę przestać na to patrzeć. Ona nagle zdaje sobie sprawę, dokąd kieruję swoje spojrzenie, i się wzdryga. Opuszcza ręce wzdłuż boków, mruga. Nie mam pojęcia, co jej chodzi po głowie.

– Zadałem ci pytanie – mówię, ale tym razem trochę ostro, trochę natarczywie. Wiedziałem, że trzeba było gapić się w ścianę.

Jednak ona tylko na mnie patrzy.

– Dobra, nieważne – rzucam. – Ciągle błagasz, żebym z tobą porozmawiał, ale gdy tylko ja zadam ci jakieś pytanie, ty milczysz. Wspaniale.

Znowu się odwracam, sięgam do klamki.

A potem, stojąc twarzą do drzwi, mówię:

– Wiesz co, zdaję sobie sprawę, że nie radzę sobie z tym najlepiej i może nigdy nie będę gościem, któremu takie rzeczy przychodzą z łatwością. Ale nie uważam, że masz prawo mnie tak traktować, jak jakiegoś kretyna i zero. Tylko dlatego, że nie wiem, jak być dupkiem.

– Słucham? Kenji, nie...

– Przestań – wypalam, gwałtownie się od niej odsuwając. Ona cały czas dotyka mojej ręki, jakby nie zdawała sobie z tego sprawy. Doprowadza mnie to do szaleństwa. – Nie rób tak.

– Czego mam nie robić?

Wreszcie ze złością obracam się na pięcie. Oddycham ciężko, moja klatka piersiowa za szybko pracuje.

– Przestań mieszać mi w głowie – tłumaczę. – Nie znasz mnie. Nic o mnie nie wiesz. Twierdzisz, że chcesz zostać moją przyjaciółką, ale odnosisz się do mnie jak do idioty. Cały czas mnie dotykasz, jakbym był dzieckiem, jakbyś próbowała mnie pocieszyć, jakbyś nie miała bladego pojęcia, że jestem już dorosłym kolesiem, który może coś poczuć, kiedy go w ten sposób chwytasz. – Nazeera próbuje coś powiedzieć, ale jej przerywam. – Nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz i jak głupi twoim zdaniem jestem, bo w tej chwili nie mam już siły, okej? Mam dość. Więc jeśli chcesz miłego Kenjiego, może powinnaś wpaść rano, bo teraz nie mam ani krztyny pieprzonej cierpliwości do bycia miłym.

Nazeera zamiera. Jest w szoku. Patrzy na mnie z lekko rozchylonymi ustami, a ja myślę sobie: to koniec, właśnie w ten sposób umrę, zaraz wyciągnie nóż i mnie rozkroi, poprzekłada moje organy, zrobi ze mnie marionetkę, a moje wnętrzności posłużą za sznurki. Cóż za piękny finał.

Jednak kiedy Nazeera wreszcie się odzywa, nie wydaje się rozżłoszczona. Raczej jakby brakowało jej tchu.

Jest zdenerwowana.

– Nie uważam cię za dziecko – mówi.

Nie mam pojęcia, co na to odpowiedzieć.

Robi krok do przodu, przyciska dłonie płasko do mojej klatki piersiowej, a ja zmieniam się w posąg. Jej ręce wydają się smażyć moje ciało, nawet przez koszulkę czuję gorące napięcie.

Mam wrażenie, że to sen.

Nazeera przesuwa dłońmi po mojej piersi i ten prosty ruch jest tak przyjemny, że nagle dopada mnie strach. Dziewczyna przyciąga mnie jak magnes. Zamieram. Boję się obudzić.

– Co robisz? – szepczę.

Ona wciąż wbija wzrok w moją klatkę piersiową i powtarza:

– Nie uważam cię za dziecko.

– Nazeera.

Unosi głowę, żeby spojrzeć mi w oczy. Po plecach przebiega mi dreszcz, gorący i bolesny.

– Za idiotę też nie.

Niesłusznie.

Bo zdecydowanie jestem głupi.

Tak strasznie głupi. Nie mogę teraz o niczym myśleć.

– Okej – odpowiadam kretyńsko. Nie wiem, co począć z rękami. To znaczy, doskonale wiem, co z nimi począć, tylko martwię się, że jeśli ją dotknę, ona się roześmieje, a potem pewnie pozbawi mnie życia.

I wtedy się uśmiecha, tak szeroko, że czuję, jakby serce miało mi eksplodować, narobić mi bałaganu w piersi.

– Czyli nie zamierzasz nic robić? – odzywa się, wciąż uśmiechnięta. – Myślałam, że ci się podobam. Myślałam, że właśnie o to w tym wszystkim chodziło.

– Podobasz mi się? – Mrugam, zaskoczony. – Ja cię nawet nie znam.

– Och – rzuca i jej uśmiech znika. Zaczyna się odsuwać i nie patrzy mi w oczy, a wtedy coś mnie nachodzi...

Chwytam jej dłoń, otwieram drzwi pokoju i zamykam nas oboje w środku.

Ona całuje mnie pierwsza.

Na moment opuszczam swoje ciało, jakbym nie mógł uwierzyć, że to się dzieje. Nie rozumiem, co takiego zrobiłem, by to się stało możliwe, ponieważ zgodnie z moimi obliczeniami spieszyłem to na sto różnych sposobów i właściwie jeszcze jakieś pięć minut temu byłem pewien, że Nazeera jest na mnie wściekła.

A potem samemu sobie każę się zamknąć.

Jej pocałunek jest delikatny, jej dłonie nieśmiało dotykają mojej piersi, ale obejmują ją w pasie i całuję, naprawdę ją całuję, po czym jakimś sposobem znajdujemy się przy ścianie, jej dłonie są na moim karku. Nazeera otwiera dla mnie usta, wzdycha i ten cichy dźwięk doprowadza mnie do szaleństwa, zalewa moje ciało żarem i pożądaniem tak silnym, że ledwo mogę ustać na nogach.

Odrywamy się od siebie, oboje dyszymy, a ja patrzę na nią jak kretyń, mój mózg jest wciąż zbyt odrętwiwały, żeby rozgryźć, jak się tutaj znalazłem. Ale w sumie kogo to obchodzi. Całuję Nazeerę jeszcze raz i to mnie prawie zabija. Jest mi cudownie, jej usta są miękkie. Idealne. Cała jest idealna, idealnie wpasowuje się w moje objęcia, jakbyśmy byli dla siebie stworzeni, jakbyśmy robili to już tysiąc razy. Nazeera pachnie szamponem, czymś słodkim. Może to perfumy. Nie wiem. Cokolwiek to jest, mam to teraz w głowie. Zabija moje komórki nerwowe.

Kiedy odsuwamy się od siebie, Nazeera wygląda inaczej, jej oczy są ciemniejsze, spojrzenie głębsze. Odwraca się i kiedy znowu na mnie patrzy, na jej twarzy gości uśmiech i przez sekundę myślę, że możemy myśleć o tym samym. Oczywiście nie mam racji, i to bardzo, bo ja sobie właśnie myślałem o tym, że jestem największym szczęściarzem na planecie, a ona...

Ona kładzie dłoń na mojej piersi i mówi cicho:

– Naprawdę nie jesteś w moim typie.

Te słowa pozbawiają mnie tchu. Opuszczam ręce i nagle robię niepewny krok do tyłu.

Ona się wzdyga, zasłania twarz dłońmi.

– To nie... rany... Nie chodzi mi o to, że nie jesteś w moim typie. – Potrząsa mocno głową. – Tylko o to, że normalnie... Zazwyczaj nie robię takich rzeczy.

– Jakich rzeczy? – pytam, wciąż urażony.

– No, takich – odpowiada, wskazując nas gestem. – Nigdy... No wiesz, nie całuję się z chłopakami, których ledwo znam.

– Okej. – Marszczę brwi. – Chcesz odejść?

– Nie. – Otwiera szerzej oczy.

– W takim razie czego właściwie chcesz?

– Nie wiem – odpowiada i jej spojrzenie znowu łagodnieje. – Chyba po prostu chciałabym przez chwilę na ciebie popatrzeć. Nie kłamałam wtedy, gdy mówiłam o twojej twarzy – ciągnie, uśmiechając się. – Masz świetną twarz.

Nagle kolana mi miękną. Naprawdę muszę usiąść. Podchodzę do łóżka i padam na plecy, moja głowa trafia w poduszkę. Przyjemnie znaleźć się w pozycji horyzontalnej. Gdyby nie to, że w moim pokoju jest przepiękna kobieta, od razu bym zasnął.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nic nie próbuję tym osiągnąć – mówię, głównie do sufitu. – Nie próbuję zaciągnąć cię do łóżka. Po prostu strasznie chciałem się położyć. Dziękuję za komplement. Zawsze uważałem, że ludzie nie doceniają mojej twarzy.

Nazeera zanosi się głośnym śmiechem i siada obok mnie, na samej krawędzi, blisko mojej ręki.

– Jesteś inny, niż się spodziewałam – stwierdza.

Patrzę na nią.

– A czego się spodziewałaś?

– Nie wiem. – Potrząsa głową. Uśmiecha się do mnie. – Chyba się nie spodziewałam, że tak mi się spodobaś.

Coś mnie ściska w piersi. Zbyt mocno. Z wysiłkiem się podnoszę i siadam, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Chodź tutaj – mówię. – Jesteś za daleko.

Zrzuca buty i przesuwa się bliżej, siadając po turecku. Nie odzywa się ani słowem. Tylko na mnie patrzy. A potem ostrożnie dotyka mojej twarzy, na linii szczęki. Zamykam oczy, w mojej głowie pływają jakieś bzdurne myśli. Opadam do tyłu, opieram głowę o ścianę za nami. Wiem, że to nie świadczy zbyt dobrze o mojej pewności siebie, że tak mnie zaskoczyła cała ta sytuacja, ale nic na to nie poradzę.

Nigdy bym nie pomyślał, że będę takim szczęściarzem.

– Kenji – odzywa się cicho Nazeera.

Otwieram oczy.

– Nie mogę być twoją dziewczyną.

Mrugam, zaskoczony. Trochę się prostuję.

– Okej – rzucam.

Nie przyszło mi właściwie jeszcze do głowy, że mógłbym czegoś takiego chcieć, lecz teraz, gdy o tym myślę, wiem, że chcę. Związek to jest dokładnie to, czego chcę. Chcę mieć dziewczynę. Chcę czegoś prawdziwego.

– To by się nie udało, wiesz? – Przechyla głowę i patrzy na mnie, jakby to było oczywiste, jakbym tak samo dobrze jak ona rozumiał, dlaczego między nami nigdy się nie ułoży. – Nie jesteśmy... – Wskazuje gestem nasze ciała, ale nie rozumiem, co chce przez to przekazać. – Różnimy się od siebie, okej? Poza tym ja nawet tutaj nie mieszkam.

– Racja – odpowiadam, lecz usta nagle mi drętwieją. Tracę czucie na całej twarzy. – Nawet tutaj nie mieszkasz.

A potem, kiedy próbuję rozgryźć, jak pozbierać resztki zrównanych z ziemią nadziei i marzeń, ona wspina mi się na kolana. W jednej chwili temperatura rośnie niemal do wrzenia. Moje ciało się przegrzewa. Odmawia współpracy.

Nazeera przytula twarz do mojego policzka i całuje mnie łagodnie, tuż pod linią szczęki, a ja czuję, jak wtapiam się w ścianę, jak rozpływam się w powietrzu.

Już nie rozumiem, co się dzieje. Podobam jej się, ale nie chce ze mną być. Nie zostanie moją dziewczyną, ale usiadła mi na kolanach i całuje mnie tak, że tracę zmysły.

Jasne. Okej.

Pozwalam jej dotykać mnie tak, jak sobie tego zażyczy, ona kładzie dłonie na moim ciele i całuje mnie, gdzie chce i jak chce. Dotyka mnie w taki władczy sposób, jakbym już do niej należał, a mnie to nie przeszkadza. Właściwie to mi się podoba. I pozwalam jej przejąć kontrolę na tak długo, jak tylko mogę znieść. Nazeera podciąga mi koszulkę, przesuwa dłońmi po mojej nagiej skórze i opowiada o tym, jak bardzo podoba jej się moje ciało, a ja czuję się, jakbym... nie mógł oddychać. Jest mi zbyt gorąco. Jestem jak w malinie, ale moje zmysły są wyostrzone, odbieram tę chwilę w niemal zwierzęcy sposób.

Nazeera pomaga mi ściągnąć koszulkę, po czym tylko na mnie patrzy, najpierw na twarz, potem na klatkę piersiową. Dotyka moich ramion, zsuwa dłonie po rękach.

– Wow – rzuca cicho. – Zajebicie wyglądasz.

Ta kropla przelewa czarę.

Podnoszę ją i kładę na łóżku, ona wciąga gwałtownie powietrze i przygląda mi się z zaskoczeniem. I zaraz jej spojrzenie staje się głębsze, ciemniejsze, oczy wodzą za moimi ustami i postanawiam pocałować jej szyję, bark.

– Nazeera – szepczę, ledwo rozpoznając swój głos. – Tak strasznie cię pragnę, że chyba mnie to zabije.

Nagle ktoś wali w moje drzwi.

– Stary, dokądżeś polazł? – woła Ian. – Castle jakieś dziesięć minut temu przyniósł obiad.

Podnoszę się gwałtownie. Prawie sobie naciągam mięsień. Nazeera wybucha głośnym śmiechem

i chociaż zasłania usta dłonią, żeby go zagłuszyć, nie jest dość szybka.

– Eee, halo? – odzywa się znowu Ian. – Kenji?

– Zaraz przyjdę – odpowiadam.

Słyszę, jak się waha – jego kroki brzmią niepewnie – a potem odchodzi. Opuszczam twarz w dłoń. Nagle wszystko do mnie wraca. Przez kilka minut ten moment z Nazeerą wydawał mi się całym światem, mile widzianą ucieczką od wojny, śmierci, trudności. Lecz teraz, kiedy mój mózg dostał trochę tlenu, czuję się jak kretyn. Nie wiem, co właściwie sobie myślałem.

Przecież Juliette może być martwa.

Wstaję z łóżka. Szybko wkładam koszulkę, starając się nie patrzeć w oczy Nazeery. Z jakiegoś powodu nie mogę. Nie żałuję naszego pocałunku – po prostu niespodziewanie dopadły mnie wyrzuty sumienia, jakbym robił coś niewłaściwego. Coś egoistycznego i niepoprawnego.

– Przepraszam – mówię. – Nie wiem, co mnie napadło.

Nazeera wciąga buty. Zaskoczona unosi wzrok.

– Co masz na myśli?

– To, co przed chwilą... – Wzdycham głośno. – Nie wiem, chyba na moment zapomniałem o tym wszystkim, co powinniśmy zrobić. O tym, że Juliette może być w tej chwili torturowana. Warner może nie żyć. A my będziemy musieli się spakować i uciekać, opuścić to miejsce. Boże, tyle się dzieje, a ja... zapomniałem się na moment. Przepraszam.

Nazeera teraz stoi. Wydaje się zdenerwowana.

– Dlaczego ciągle mnie przepraszasz? Przestań to robić.

– Masz rację. Przepraszam. – Krzywię się. – To znaczy... No, wiesz, co mam na myśli. Tak czy inaczej, powinniśmy już iść.

– Kenji...

– Słuchaj, powiedziałaś, że nie chcesz związku, prawda? Nie chcesz być moją dziewczyną. Twoim zdaniem to – powtarzam na migi to, co mówiła wcześniej, wskazując gestem nas dwoje – nie ma sensu. W takim razie... – Biorę wdech. Przeciagam dłonią po włosach. – Tak wygląda niebycie moją dziewczyną. Okej? Mam w swoim życiu zaledwie parę osób, którym naprawdę na mnie zależy, a w tej chwili najbliższa mi osoba prawdopodobnie jest mordowana przez bandę psychopatów, więc powinienem jej szukać, działać.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteście z Warnerem tak blisko – rzuca cicho Nazeera.

– Słucham? – Marszczę brwi. – Nie, chodziło mi o Juliette. To znaczy Ellę. Nieważne.

Nazeera otwiera szeroko oczy.

– Tak czy inaczej, przepraszam. Chyba powinniśmy zachować dystans. Ty nie szukasz niczego poważnego, a ja i tak nie wiem, jak utrzymywać niezobowiązujące relacje. Zawsze kończy się tym, że za bardzo mi zależy, jeśli mam być szczery, więc to pewnie nie był dobry pomysł.

– Aha.

– No nie? – Patrzę na nią z niespodziewaną nadzieją, że coś przegapiłem, coś poza chłodnym dystansem w jej oczach. – Czy nie powiedziałaś mi właśnie, że za bardzo się różnimy? Że ty nawet tutaj nie mieszkasz?

Nazeera się odwraca.

– Tak.

– A czy w ciągu ostatnich trzydziestu sekund zmieniłaś zdanie? W kwestii tego, czy chcesz być moją dziewczyną?

– Nie – odpowiada, nadal wpatrując się w ścianę.

Ból przeszywa mi kręgosłup, zbiera się w piersi.

– W takim razie dziękuję za szczerość – mówię, kiwając głową. – Muszę iść.

Nazeera wymija mnie, wychodzi za drzwi.

– Ja też.

JULIETTE

Już od godziny siedzę na tylnym siedzeniu w radiowozie. Nie płakałam, jeszcze nie. I nie wiem, na co właściwie czekam, ale wiem, co zrobiłam, i wydaje mi się, że wiem też, co się teraz wydarzy.

Zabiłam chłopca.

Nie rozumiem, jak to się stało. Nie rozumiem, dlaczego to się stało. Wiem tylko tyle, że to byłam ja, że to były moje dłonie. Ja to zrobiłam. Ja.

Ciekawe, czy przyjadą moi rodzice.

Zamiast nich do mojego okna podchodzi trzech mężczyzn w mundurach wojskowych. Jeden z nich otwiera drzwi i celuje we mnie karabinem maszynowym.

– Wsiadaj – warczy. – Ręce do góry.

Serce mi wali, przerażenie wypycha mnie z auta tak szybko, że tracę równowagę i ląduję ciężko na kolanie. Nie muszę sprawdzać, czy krwawię; już przeszywa mnie ból świeżej rany. Przygryzam usta, żeby nie krzyknąć, duszę w sobie łzy.

Nikt nie pomaga mi się podnieść.

Chciałabym im powiedzieć, że mam dopiero czternaście lat i nie wiem może wszystkiego o świecie, ale coś tam wiem. Oglądałam seriale o takich sprawach. Wiem, że nie mogą mnie sądzić jak dorosłej. Wiem, że nie powinni mnie tak traktować.

Wtedy jednak przypominam sobie, że świat się zmienił. Mamy teraz nowy rząd, który nie przejmuje się takimi rzeczami. Może to wszystko straciło znaczenie.

Moje serce zaczyna bić jeszcze szybciej.

Wpychają mnie na tylne siedzenie czarnego samochodu i ledwo się obejrzę, a już wiozą mnie w nowe miejsce: wygląda jak zwyczajny biurowiec. Jest wysoki, stalowoszary. Wydaje się stary i zniszczony – niektóre okna mają popękane szyby – a całość stanowi smutny widok.

Kiedy jednak wchodzę do środka, ze zdumieniem odkrywam oślepiające, błyszczące wnętrze. Rozglądam się, patrząc na marmurowe podłogi, luksusowe dywany i meble. Sufity są wysokie, całość utrzymana w nowoczesnym, eleganckim stylu. Wszędzie szkło, marmur i stal nierdzewna.

Nigdy wcześniej nie byłam w równie pięknym miejscu.

Nie dają mi szansy wszystkiemu się przyjrzeć, bo zaraz wita mnie chudy i starszy mężczyzna z rzadkimi brązowymi włosami.

Dwaj żołnierze robią krok do tyłu, a nieznajomy do przodu.

– Panna Ferrars? – odzywa się.

– Tak?

– Proszę ze mną.

Waham się.

– Kim pan jest?

Przygląda mi się przez chwilę, a potem chyba podejmuje decyzję.

– Możesz do mnie mówić Delalieu.

– Okej – odpowiadam ledwie szeptem.

Podążam za Delalieu do przeszklonej windy i patrzę, jak przykładą kartę do czytnika. Kiedy ruszamy w górę, zbieram się na odwagę, by coś powiedzieć.

– Gdzie jestem? – pytam. – Co się dzieje?

Jego odpowiedź wydaje się odruchowa.

– Jesteś w siedzibie dowództwa Sektora 45. Masz się spotkać z regentem. – Delalieu mówi, nie patrząc na mnie, ale w jego głosie nie pobrzmiwa żadna groźba.

Dlatego zadaję kolejne pytanie:

– Dlaczego?

Rozlega się dźwięk dzwonka i drzwi windy się otwierają. Delalieu w końcu się odwraca, żeby na mnie spojrzeć.

– Za chwilę się dowiesz.

Idę za nim przez korytarz i czekam w milczeniu przed drzwiami, kiedy on puka. Gdy się otwierają, on

zagląda do środka, oznajmia swoje przybycie, a potem daje mi znak, żebym poszła za nim.

Przekraczam próg i jestem zaskoczona.

Przed wielkim, drewnianym biurkiem stoi przystojny mężczyzna w mundurze, zapewne regent. Ma ręce skrzyżowane na piersi i patrzy mi prosto w oczy, a ja pod wpływem tego spojrzenia nagle się rumienię.

Nigdy wcześniej nie widziałam kogoś równie pięknego.

Spuszczam wzrok ze wstydu i przyglądam się swoim sznurówkom. Cieszę się, że mam długie włosy. Przydają się jako ciemna, ciężka zasłona, która skrywa moją twarz.

– Spójrz na mnie.

Polecenie zostało wypowiedziane ostro i wyraźnie. Unoszę nerwowo wzrok, patrzę regentowi w oczy. Ma gęste brązowe włosy i burzę w spojrzeniu. Przygląda mi się tak długo, że mój strach narasta. Widzę w nim gniew. Ciemność. Jest w nim coś naprawdę przerażającego i moje serce zaczyna walić jak młot.

– Szybko dorastasz – mówi.

Wbijam w niego wzrok, stropiona, lecz on dalej studiuje moją twarz.

– Czternaście lat – ciągnie cicho. – Taki trudny wiek. – Wreszcie wzdycha. Przestaje na mnie patrzeć.

– Zawsze serce mi się kraje, gdy muszę zniszczyć coś tak pięknego.

– Nie... nie rozumiem... – rzucam i nagle czuję mdłości.

On znowu unosi na mnie wzrok.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co dzisiaj zrobiłaś?

Zamieram. Słowa wzbierają mi w gardle, lecz utykają gdzieś po drodze.

– Tak czy nie? – dopytuje.

– T-tak – odpowiadam szybko. – Tak.

– A wiesz, dlaczego to zrobiłaś? W jaki sposób?

Potrząsam głową, moje oczy napęlniają się łzami.

– To był wypadek – szepczę. – Nie wiedziałam... Nie wiedziałam, że to...

– Czy ktoś jeszcze wie o twojej przypadłości?

– Nie. – Patrzę na niego szeroko otwartymi oczami, chociaż łzy rozmazują mi obraz. – To znaczy, no, właściwie to nie, tylko rodzice. Ale nikt nie rozumie, co jest ze mną nie tak. Nawet ja tego nie rozumiem...

– Chodzi ci o to, że nie zaplanowałaś tego? Nie zamierzałaś zabić tego chłopca?

– Nigdy w życiu! – krzyczę, a potem zasłaniam usta dłońmi. – Nie, nie wiedziałam – tłumaczę już po cichu. – Próbowałam mu pomóc. Upadł na podłogę i... Nie wiedziałam. Przysięgam, że nie wiedziałam.

– Kłamiesz.

Nadal potrząsam głową, drżącymi rękami wycierając łzy.

– To był wypadek. Przysięgam, że nie chciałam... Wcale nie...

– Sir. – To Delalieu. Jego głos.

Nie zdawałam sobie sprawy, że wciąż jest w pokoju.

Pociągam nosem, wycieram szybko twarz, lecz dłonie wciąż mi się trzęsą. Raz jeszcze próbuję zdusić łzy. Zebrać się w sobie.

– Sir – powtarza Delalieu, tym razem bardziej stanowczo. – Może powinniśmy przeprowadzić tę rozmowę gdzieś indziej.

– Nie widzę takiej potrzeby.

– Nie chciałbym się narzucać, sir, ale naprawdę uważam, że byłoby lepiej kontynuować na osobności.

Zbieram się na odwagę i odwracam, żeby na niego spojrzeć. I właśnie wtedy dostrzegam jeszcze jedną osobę.

Chłopaka.

Wciągam powietrze, wydając niemal niesłyszalne westchnienie. Pojedyncza łza spływa mi po policzku i wycieram ją, nie odwracając wzroku od nieznanego. Nie mogę się powstrzymać – nie umiem na niego nie patrzeć. Ma taką twarz, jakiej nigdy w prawdziwym życiu nie widziałam. Jest jeszcze przystojniejszy niż regent. Piękniejszy. Mimo to jest w nim coś niepokojącego, coś zimnego i obcego, co sprawia, że trudno się na niego spogląda. Jest niemal zbyt doskonały. Ma wyraźnie zarysowaną szczękę i kości policzkowe, do tego prosty nos. Cały wydaje się ostry jak nóż. Jest blady. Jego tęczyówki są zdumiewające, krystalicznie zielone, a włosy gęste i złociste. Patrzy na mnie, jego oczy są szeroko otwarte pod wpływem emocji, których nie potrafię rozgrzyźć.

Ktoś chrząka.

Czar pryska.

Czuję ciepło na twarzy i uciekam wzrokiem, zażenowana, że nie zrobiłam tego wcześniej.

Słyszę, jak regent mamrocze coś ze złością pod nosem.

– Niewiarygodne – mówi. – Zawsze to samo.

Patrzę na niego.

– Aaron, wyjdź stąd – wypala ostro.

Chłopak – najwyraźniej Aaron – się wzdryga. Przez sekundę wpatruje się w regenta, po czym przenosi spojrzenie na drzwi. Jednak pozostaje na miejscu.

– Delalieu, proszę wyprowadzić mojego syna, skoro najwyraźniej zapomniał, jak się to robi.

To jego syn.

Niesamowite. To wyjaśnia, skąd ma taką twarz.

– Tak, sir. Oczywiście, sir.

Emocje Aarona pozostają niemożliwe do odczytania. Zauważam, że jeszcze raz na mnie patrzy, a kiedy widzi moje spojrzenie, marszczy brwi. Jednak nie dostrzegam w nim złości.

Mimo to odwracam wzrok.

W drodze do wyjścia przechodzą obok mnie, a ja udaję, że nie zauważam, kiedy on szepcze:

– Kim ona jest?

– Ella? Wszystko w porządku?

Mrugam, powoli pozbywając się czerni zasłaniającej mi obraz. Gwiazdy eksplodują i gasną, próbuję się podnieść, dywan zostawia ślady na skórze mojej dłoni, metal wpija się w ciało. Mam na sobie świecące kajdany, których niebieski blask wysysa życie z mojej skóry i sprawia, że moje własne dłonie wydają mi się złowrogie.

Kobieta w drzwiach gapi się na mnie. Uśmiecha.

– Uznaliśmy z twoim ojcem, że możesz być głodna – oznajmia. – Przygotowaliśmy ci obiad.

Nie mogę się ruszyć. Moje stopy wydają się zabetonowane, róż i fiolet na ścianach i podłodze atakują mnie z każdego kąta. Stoję pośrodku tego dziwnego muzeum, które niegdyś prawdopodobnie było moją sypialnią – gapię się na kogoś, kto być może jest moją biologiczną matką – i czuję, że zaraz zwymiotuję. Światło nagle jest zbyt jaskrawe, głosy zbyt głośne. Ktoś idzie w moją stronę i ten ruch wydaje się wyolbrzymiony, kroki dudnią szybko w moich uszach. Obraz pojawia się i znika, ściany zdają się drżeć. Podłoga się kołysze, przechyla do tyłu.

Upadam twardo.

Przez chwilę słyszę tylko bicie własnego serca. Głośne, tak strasznie głośne, napiera na mnie, atakuje kakofonią tak niepokojącą, że zginam się wóół, przyciskam twarz do dywanu i krzyczę.

Wpadam w histerię, drżą mi kości, kobieta mnie podnosi, przysuwa do siebie, ale ja się wyrrywam, nie przestaję krzyczeć...

– Gdzie się wszyscy podziali?! – wrzeszczę. – Co się ze mną dzieje? Gdzie jestem? Gdzie jest Warner i Kenji? O mój Boże... o mój Boże... ci wszyscy ludzie... zabiłam tych wszystkich ludzi...

Wymiociny powoli wzbierają mi w gardle, duszą mnie, próbuję bez skutku pozbyć się obrazów, potwornych i przerażających obrazów rozłupanych ciał, krwi spływającej po wyszarpanych ranach, a wtedy coś przeszywa mój umysł, coś ostrego i oślepiającego. Nagle na kolanach pozbywam się marnych resztek zawartości żołądka, opróżniając go do różowego kosza.

Nie mogę oddychać.

Moje płuca są przepracowane, brzuch wciąż grozi buntem, z trudem wciągam powietrze i z drżącymi rękami próbuję wstać. Odwracam się, pokój robi to szybciej niż ja, widzę rozmazane plamy różu, rozmazane plamy fioletu.

Zataczam się.

Ktoś znowu mnie łapie, tym razem jakieś nowe ręce, i mężczyzna nazywający mnie córką obejmuje mnie jak własne dziecko, mówiąc:

– Skarbie, nie musisz już o nich myśleć. Jesteś bezpieczna.

– Bezpieczna? – odsuwam się, patrzę dzikim wzrokiem. – Kim jesteście?

Kobieta chwyta moją dłoń. Zaciska palce, chociaż próbuję się wyswobodzić.

– Jestem twoją matką – oznajmia. – Doszłam do wniosku, że już czas, byś wróciła do domu.

Złapałam ją za koszulkę.

– Co zrobiliście z moimi przyjaciółmi?! – wrzeszczę, a potem potrząsam nią i robię to tak mocno, że przez sekundę wydaje się szczerze przerażona, ale potem próbuję ją podnieść i rzucić w ścianę, lecz przypominam sobie, że moje moce zostały odcięte, że muszę polegać na samym gniewie i adrenalinie, więc odwracam się, nagle wściekła i z minuty na minutę coraz bardziej pewna tego, że mam halucynacje, że to halucynacje, kiedy

niespodziewanie

ona uderza mnie w twarz.

Mocno.

Mrugam, zaskoczona, lecz udaje mi się zachować równowagę.

– Ello Sommers – rzuca ostro – masz się natychmiast wziąć w garść. – Obrzuca mnie taksującym spojrzeniem błyszczących gniewem oczu. – Co to za idiotyczna szopka? Martwisz się o przyjaciół? Tamci ludzie nie są twoimi przyjaciółmi.

Policzek mi płonie i nie czuję połowy ust, mówiąc:

– Tak, są moimi przy...

Znowu mnie bije.

Zamykam oczy. Otwieram. Nagle kręci mi się w głowie.

– Jesteśmy twoimi rodzicami – oznajmia ostrym szeptem. – Sprowadziliśmy cię z ojcem do domu.

Powinnaś być wdzięczna.

Wyczuwam smak krwi. Unoszę rękę, dotykam warg. Palce mam czerwone.

– Gdzie jest Emmaline? – Krew spływa mi do ust, wypluwam ją na podłogę. – Ją też porwaliście? Wie, co zrobiliście? Wie, że oddaliście nas Przywróceniu? Sprzedaliście nasze ciała reżimowi?

Trzeci cios nadchodzi szybko.

Czuję, jak dzwoni mi w czaszce.

– Jak śmiesz. – Twarz mojej matki robi się karmazynowa. – Jak śmiesz... Nie masz bladego pojęcia, co zbudowaliśmy przez te wszystkie lata... Ile poświęciliśmy dla naszej przyszłości...

– Spokojnie, Evie – odzywa się ojciec, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Wszystko będzie dobrze. Ella po prostu potrzebuje chwili, żeby stanąć na nogi, to wszystko. – Zerka na mnie. – Prawda, Ella?

Wtedy mnie to uderza. Wszystko. Uderza mnie nagle przerażającą, destabilizującą siłą...

Zostałam porwana przez parę szaleńców i być może już nigdy nie zobaczę swoich przyjaciół. Właściwie może już nie żyją. Zabici przez moich rodziców. Wszyscy.

Nagle zaczynam się dusić.

Łzy wypełniają mi gardło, usta, oczy...

– Gdzie jest Warner? – pytam, oddychając z trudem. – Co z nim zrobiliście?

Niespodziewanie na twarzy Evie pojawia się morderczy wyraz.

– Ty i ten przeklęty chłopak. Jeśli jeszcze raz usłyszę jego imię...

– Gdzie jest Warner?! – wrzeszczę znowu. – Gdzie on jest? Gdzie jest Kenji? Co z nimi zrobiliście?

Evie w jednej chwili zdaje się wykończona. Szczypie się w nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym.

– Kochanie – odzywa się, ale nie patrzy na mnie, tylko na mojego ojca. – Zajmiesz się tym, proszę? Strasznie boli mnie głowa i muszę wykonać kilka pilnych telefonów.

– Oczywiście, moja droga. – Ojciec wyciąga z kieszeni strzykawkę i szybko wbija mi igłę w szyję.

KENJI

Coraz bardziej podoba mi się ta świetlica.

Kiedyś za każdym razem, kiedy ją mijalem, zastanawiałem się, dlaczego w ogóle Warner uznał, że musi być tak wielka. Mamy tutaj mnóstwo miejsc siedzących i przestrzeni, ale wcześniej wydawało mi się to marnotrawstwem. W sekrecie marzyłem, by Warner wykorzystał te metry kwadratowe na większe pokoje.

Lecz teraz już rozumiem.

Kiedy wchodzimy do środka z Nazeerą, dziesięć minut spóźnieni, wszyscy już pałaszują pizzę. Jest nawet Brendan, siedzi w kącie, niańczony przez Castle'a i Alię, a ja prawie powalam go na ziemię. Oczywiście tak naprawdę to nie, bo jest jasne, że wciąż nie doszedł do siebie, ale czuję ulgę, widząc go w dobrym stanie. Wydaje się przede wszystkim zmęczony, jednak nie widzę żadnego temblaka ani nic, więc domyślam się, że dziewczyny nie natrafiły na żadne problemy. To świetny znak.

Widzę, jak Winston przechodzi przez salę, więc doganiam go i poklepuję po plecach.

– Hej – rzucam, kiedy się odwraca. – Wszystko w porządku?

Chłopak niesie dwa papierowe talerzyki, które ledwo utrzymują ciężar pizzy, i uśmiecha się do mnie szeroko, mówiąc:

– Gówniany dzień. Wszystko było do dupy, nie licząc tego, że Brendan się wylizał i mamy pizzę.

Poza tym niech ten dzień spieprza.

– Tak, totalnie to kumam. – A potem, po krótkiej pauzie, dodaje: – Domyślam się, że w końcu nie porozmawiałeś z Brendanem?

Winston nagle się rumieni.

– Powiedziałem, że czekam na właściwy moment. Czy twoim zdaniem to jest właściwy moment?

– Słuszna uwaga. – Wzdycham. – Chyba po prostu miałem nadzieję na jakieś dobre wieści. W tej chwili każdemu z nas by się przydały.

Winston patrzy na mnie ze współczuciem.

– Wiadomo coś na temat Juliette?

Potrząsam głową. Nagle mi niedobrze.

– Nikt ci nie wspomniał, że jej prawdziwe imię to Ella?

– Słyszałem – odpowiada Winston, unosząc brwi. – Ta cała historia to kompletne wariactwo.

– No. Gówniany ten dzień.

– Pieprzyć go – rzuca Winston.

– Nie zapomnij o jutrze. Jutro też będzie gówniany dzień.

– Słucham? Dlaczego? – Papierowe talerzyki w dłoniach Winstona robią się przezroczyście od tłuszczu z pizzy. – Co ma się jutro wydarzyć?

– Podobno mamy stąd uciekać – odpowiadam. – Żeby ratować tyłki. Zakładam, że miło nie będzie.

– Cholera. – Winston niemal wypuszcza talerzyki z rąk. – Poważnie? Brendan potrzebuje więcej czasu na odpoczynek. – Po sekundzie dodaje: – A dokąd się wybieramy?

– Zdaje się, że na drugą stronę kontynentu – rzuca Ian, przechodząc obok.

Podaje mi kawałek pizzy. Dziękuję mu pod nosem i gapię się na jedzenie, myśląc o tym, czy zdołam zmieścić całą porcję naraz do ust. Pewnie nie.

– Wiesz coś, o czym my nie wiemy? – odzywa się Winston do Iana, a okulary ześlizgują mu się po nosie. Próbuje je poprawić przedramieniem, lecz nic z tego, więc Ian robi to za niego.

– Wiem o wielu rzeczach, których ty nie wiesz – odpowiada. – Na przykład to, że Kenji jakieś pięć sekund temu migdalił się z Nazeerą.

Szczęka prawie spada mi na podłogę, ale w ostatniej chwili przypominam sobie, że mam w ustach jedzenie. Szybko przełykam, za szybko, i się krztuszę. Jeszcze się dusząc, patrzę dokoła spanikowany, że Nazeera to słyszała. Dopiero kiedy widzę ją po drugiej stronie sali, pogrążoną w rozmowie z Sonyą i Sarą, wreszcie się uspokajam.

Patrzę spode łba na Iana.

– Powaliło cię?

Winston ma tyle przyzwoitości, żeby nakrzyczeć na mnie szeptem:

– Migdałiłeś się z Nazeerą? Przecież nie było nas raptem kilka godzin!

– Wcale się z nią nie migdałiłem – kłamię.

Ian bierze kęs pizzy.

– Nie oceniam, stary. Świat płonie. Zabaw się, póki możesz.

– My wcale... – Wzdycham, odwracam wzrok. – To nie tak. Właściwie to nic się nie stało. My tylko, no... – Macham bezładnie rękami, a ten gest w zasadzie nic nie znaczy.

Ian unosi brwi.

– Okej – odzywa się Winston, patrząc na mnie spode łba. – Później pogadamy o tej sprawie z Nazeerą. – Odwraca się do Iana. – Co się dzieje jutro?

– Uciekamy – odpowiada Ian. – Bądź gotów do wyjścia o świcie.

– Tak, to słyszałem, ale dokąd się wybieramy?

Ian wzrusza ramionami.

– Castle ma jakieś wieści – wyjaśnia. – Tylko tyle wiem. Czekał, aż Kenji i Nazeera się ubiorą, żeby zdradzić nam wszystkim szczegóły.

Przechylam głowę i patrzę na Iana, posyłając mu groźne spojrzenie.

– Między mną i Nazeerą nic się nie wydarzyło. Daruj sobie.

– Dobra – odpowiada, sięgając po pizzę. – To ma sens. W końcu dziewczyna nawet nie jest zbyt ładna.

Talerz wypada mi z ręki. Pizza ląduje na podłodze. Chociaż wcale tego nie chcę, czuję nagłą potrzebę, by walnąć Iana w zęby.

– Czyś ty... Czyś ty zwariował? Nawet nie... Nazeera jest najładniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu, a ty twierdzisz, że nawet nie jest zbyt ładna? Czyś ty do reszty...

– Widzisz? – przerywa mi Ian, zerkając na Winstona.

– Nieźle – wypala Winston, wpatrując się z powagą w kawałek pizzy na podłodze. – Tak, Kenji zdecydowanie ściemnia.

Przeciągam dłonią po twarzy.

– Nienawidzę was.

– Tak czy inaczej – odzywa się Ian – słyszałem, że wieści Castle’a są w jakiś sposób związane z Nourią.

Szybko unoszę głowę.

Nouria.

Prawie zapomniałem. Tego ranka, krótko przed sympozjum, bliźniaczki powiedziały mi, że odkryły coś dotyczącego trucizny ukrytej w pociskach, którymi została trafiona Juliette. I to coś doprowadziło je do Nourii.

Jednak od tamtej pory tyle się wydarzyło, że nie miałem kiedy się tym zająć. Zapytać, co dokładnie się stało.

– Słyszałeś o tym? – pyta mnie Ian, unosząc brew. – Podobno wysłała wiadomość. Tak twierdzą dziewczyny.

– Tak – odpowiadam, marszcząc brwi. – Słyszałem.

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co może z tego wynikać.

Minęło dziesięć lat, odkąd Castle ostatni raz widział swoją córkę, Nourię. Darrence i Jabari, jego dwaj synowie, zostali zamordowani przez policjantów, kiedy odmówili wpuszczenia ich do domu bez nakazu. Doszło do tego, jeszcze zanim Przywrócenie przejęło kontrolę.

Castle’a nie było tamtego dnia w domu, ale była Nouria.

Wszystko wydarzyło się na jej oczach. Castle powiedział, że to było zupełnie tak, jakby tamtego dnia stracił troje dzieci. Nouria nigdy nie doszła do siebie. Zamiast tego stała się zdystansowana. Apatyczna. Przestała wracać do domu o normalnych godzinach, a potem zupełnie zniknęła. Przywrócenie zawsze zbierało dzieci z ulicy i wysyłało je w miejsce, w którym akurat były ich zdaniem potrzebne. Nouria została zabrana wbrew jej woli i wysłana do innego sektora. Castle był pewien, że tak się stało, ponieważ Przywrócenie wysłało mu pokwitowanie. Pierdolone pokwitowanie.

Wszyscy z Point znali tę historię. Castle zawsze pilnował tego, by być szczerym, dzielić się najtrudniejszymi, najbardziej bolesnymi wspomnieniami, żeby pozostali nie czuli, że cierpią samotnie.

Castle myślał, że nigdy więcej nie zobaczy Nourii.

Dlatego jeśli ona teraz próbuje się skontaktować...

Kiedy o tym myślę, Castle spogląda najpierw na mnie, a potem na Nazeerę. Na jego ustach pojawia się cień uśmiechu, ale zaraz znika. Castle prostuje się i zwraca do zebranych. Wtedy dostrzegam, że wygląda dobrze. Od lat nie widziałem w nim takiego życia. Zebrał dredy do tyłu, spiął je na karku. Jego spłowiały niebieski blezer nadal pasuje idealnie, chociaż minęło tyle lat.

– Mam wieści – oznajmia Castle.

Coś mi się wydaje, że dobrze wiem, co zaraz usłyszymy.

Nouria mieszka w Sektorze 241, tysiące kilometrów stąd, a komunikacja między sektorami praktycznie nie istnieje. Jedynie grupy rebeliantów mają dość odwagi, by ryzykować wysyłanie zakodowanych wiadomości. Ian i Winston o tym wiedzą. Ja też o tym wiem.

Wszyscy o tym wiedzą.

Co oznacza, że Castle prawdopodobnie zaraz nam oznajmi, że Nouria przeszła na stronę rebeliantów.

Ha.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

WARNER

– Cześć – mówię.

Słyszając mój głos, odwraca się, po czym płoszy na widok mojej twarzy. Otwiera szeroko oczy. Od razu wyczuwam zmianę jej emocji.

Podobam się jej.

Podobam się jej i te wieści sprawiają mi przyjemność. Nie wiem dlaczego. To dla mnie nic nowego. Już dawno temu przekonałem się, że wiele osób uważa mnie za atrakcyjnego. Mężczyźni. Kobiety. Szczególnie starsze kobiety, czego wciąż nie rozumiem. Ale to...

Cieszę się, że jej się podobam.

– Cześć – mówię, ale na mnie nie patrzy.

Zauważam, że się rumieni. Zaskakujące. Jest w niej coś uroczego, coś łagodnego. Nie spodziewałem się.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Głupie pytanie. To jasne, że dziewczyna znalazła się w fatalnym położeniu. W tej chwili pozostaje pod naszą opieką wyłącznie do czasu, aż ojciec zdecyduje, co z nią począć. Obecnie przebywa w dość wygodnej celi tutaj, w bazie, ale prawdopodobnie trafi do poprawczaka. Nie jestem pewien. Słyszałem, jak ojciec mówi o tym, by najpierw przeprowadzić na niej więcej badań. Jej rodzice podobno wpadli w histerię, desperacko próbują nam ją oddać. Podpowiadają diagnozę. Ich zdaniem dziewczyna celowo zabiła tamtego chłopca. Ich zdaniem oszalała.

Moim zdaniem w ogóle nie wygląda, jakby coś jej dolegało.

Wręcz przeciwnie.

Nie potrafię oderwać od niej wzroku. Moje spojrzenie wędruje do jej twarzy więcej niż raz, przyglądam się uważnie jej rysom. Wydaje mi się znajoma, jakbym gdzieś już ją widział. Może we śnie.

Doskonale zdaję sobie sprawę, jak absurdalne są te myśli.

Jednak coś mnie tutaj przyciągnęło, jest w niej jakiś magnetyzm, któremu nie potrafię się oprzeć. Wiem, że nie powinienem był tu przychodzić. Nie powinienem z nią rozmawiać, a jeśli ojciec się dowie, pewnie mnie zamorduje. Ale przez kilka dni próbowałem zapomnieć o jej twarzy i nie mogłem. Kiedy próbuję zasnąć, w ciemności materializuje się jej obraz. Musiałem ją jeszcze raz zobaczyć.

Nie wiem, jak się przed tym bronić.

Wreszcie dziewczyna się odzywa, przywracając mnie do rzeczywistości. Przypominam sobie, że zadałem jej pytanie.

– Tak, dziękuję – odpowiada, wpatrując się w podłogę. – Wszystko dobrze.

Kłamie.

Chciałbym, żeby uniosła wzrok, spojrzała mi w oczy. Nie robi tego i czuję frustrację.

– Popatrzysz na mnie? – mówię.

Nawet działa.

Lecz kiedy nasze spojrzenia się spotykają, moje serce nagle przerażająco zamiera. Przestaje na moment bić. Przestaje żyć.

A potem...

Przyśpiesza. Wali jak młot.

Nigdy nie rozumiałem, dlaczego tak doskonale odczytuję emocje innych ludzi, ale często czerpałem z tego korzyści. W większości przypadków daje mi to przewagę. Jednak teraz mnie to przytłacza.

W tej chwili wszystko uderza mnie dwa razy mocniej. Odczuwam dwa zestawy emocji – swoje i jej, splecione ze sobą. Wydajemy się odczuwać to samo w tym samym czasie. To dezorientujące, upajające w taki sposób, że aż zapiera mi dech w piersi. Mam zaskakującą ochotę jej dotknąć. Chciałbym...

– Dlaczego? – mówi.

Mrugam, stropiony.

– Słucham?

– Dlaczego chcesz, żebym na ciebie spojrzała?

Wciążam powietrze. Wietrzę głowę, rozważam opcje. Mógłbym powiedzieć prawdę. Mógłbym

skłamać. Mógłbym uniknąć odpowiedzi, zmienić temat.

– Czy my się znamy? – pytam w końcu.

Dziewczyna się śmieje, odwraca wzrok.

– Nie, zdecydowanie nie.

Przygryza usta i nagle czuję nerwowość, słyszę jej przyspieszony oddech. Przyciągam ją bliżej, niemal nie zdając sobie z tego sprawy.

Wtedy ona patrzy na mnie i z przypiływem ekscytacji zdaję sobie sprawę z tego, jak blisko się znaleźliśmy. Między naszymi ciałami czuć niemal namacalne ciepło, jej oczy są wielkie i piękne, niebiesko-zielone. Przypominają mi planety. Wyglądają jak cały świat.

Pod wpływem jej wzroku brakuje mi równowagi.

– Co się stało? – pyta.

Muszę się od niej odsunąć.

– Ja nie... – Znowu na nią spoglądam. – Jesteś pewna, że się nie znamy?

Znowu się uśmiecha i przez ten uśmiech moje serce rozpada się na kawałki.

– Uwierz mi – odpowiada. – Zapamiętałabym cię.

KENJI

Delalieu.

Nie mogę uwierzyć, że zapomnieliśmy o Delalieu.

Myślałem, że wieści Castle'a będą dotyczyć Nourii. Byłem pewien, że dziewczyna skontaktowała się z nami, że jest teraz jakąś liderką rebeliantów, że będziemy mogli przez jakiś czas u niej nocować. Tymczasem Castle powiedział nam o...

Delalieu.

Przydupas Warnera okazał się lojalny wobec nas.

Castle odsuwa się na bok, żeby przepuścić porucznika, który z jednej strony wydaje się sztywny i niepewny, a z drugiej szczerze zaniepokojony. Gdy tylko widzę jego twarz, uderza mnie to niczym w spłot słoneczny. *Żal.*

Chrząka dwa albo trzy razy.

Kiedy wreszcie się odzywa, jego głos jest spokojniejszy niż kiedykolwiek.

– Przeszedłem osobiście wam obiecać, że zapewnię waszej grupie bezpieczeństwo tutaj tak długo, jak tylko dam radę. – Pauza. – Nie wiem dokładnie, co się teraz dzieje, ale niewątpliwie nic dobrego. Martwię się, że wasz pobyt w bazie nie skończy się dobrze, i zamierzam wam pomóc, dopóki nie zaplanujecie ucieczki.

Wszyscy milkną.

– Eee, dzięki – rzucam, przerywając ciszę. Rozglądam się dokoła i dodaję: – Naprawdę to doceniamy, ale, no, ile właściwie czasu nam zostało?

Delalieu potrząsa głową.

– Obawiam się, że nie jestem w stanie zagwarantować wam bezpieczeństwa dłużej niż przez tydzień. Jednak liczę, że tych kilka dni spokoju zapewni wam odpowiednią ilość czasu, żebyście mogli przemyśleć swoje następne kroki. Znaleźć bezpieczne miejsce. Do tego momentu będę pomagał w każdy możliwy sposób.

– Okej – odzywa się Ian, ale wydaje się sceptycznie nastawiony. – To naprawdę... miło z twojej strony.

Delalieu znowu chrząka.

– Rozumiem wątpliwości co do tego, czy należy mi zaufać. Rozumiem wasz niepokój. Jednak obawiam się, że zbyt długo milczałem – tłumaczy, a jego głos staje się coraz bardziej niepewny. – A teraz... kiedy... Po tym, co się stało z Warnerem i panną Ferrars... – Urywa, głos mu się łamie przy ostatnim słowie. Unosi wzrok, patrzy mi prosto w oczy. – Z pewnością Warner nie powiedział nikomu z was o tym, że jestem jego dziadkiem.

Szczęka opada mi na podłogę. Naprawdę, aż boli.

Castle jako jedyna osoba w sali nie wydaje się zszokowany.

– Jesteś dziadkiem Warnera? – dziwi się Adam, wstając. Przerazenie w jego oczach łamie mi serce.

– Tak – odpowiada cicho Delalieu. – Ze strony matki. – Teraz patrzy na Adama, bez słów dając mu do zrozumienia, że wie. Wie, że Adam jest synem Andersona, spłodzonym poza małżeństwem. Wie o wszystkim.

Adam znowu siada, na jego twarzy wyraźnie maluje się ulga.

– Wyobrażam sobie, jak nieszczęśliwe musiałeś mieć życie – odzywa się Brendan. Odwracam się do niego, zaskoczony. Do tej pory milczał, ale oczywiście musiał wyrazić swoje współczucie nawet wobec porucznika, który stał z boku i patrzył, kiedy Anderson niszczył świat. – Ale jestem wdzięczny... Wszyscy jesteście wdzięczni za to, że nam dzisiaj pomogłeś.

Delalieu z trudem się uśmiecha.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić – mówi i odwraca się do wyjścia.

– Znałeś ją? – pyta Lily ostrym tonem. – Jako Ellę?

Delalieu zamiera w pół kroku, wciąż częściowo odwrócony w stronę drzwi.

– Skoro jesteś dziadkiem Warnera i przez cały ten czas pracowałeś dla Andersona, musiałeś ją znać – ciągnie Lily.

Powoli, bardzo powoli, Delalieu zwraca się znowu w naszą stronę. Wydaje się spięty, nerwowy jak nigdy. Milczy, lecz odpowiedź jest wypisana na jego twarzy. Zawiera się w drzeniu jego rąk.

Chryste.

– Jak długo? – rzucam, czując, jak wzbiera we mnie gniew. – Jak długo ją znałeś i nic nie mówiłeś?

– To nie... nie...

– Jak długo? – powtarzam z naciskiem, a moja dłoń już sięga po pistolet schowany za paskiem spodni.

Delalieu robi niepewny krok do tyłu.

– Proszę, nie rób tego – odpowiada z dzikim wzrokiem. – Proszę, nie pytajcie mnie o to. Mogę wam pomóc. Mogę zapewnić wam broń i transport, czego tylko zechcecie, ale nie mogę... Nie rozumiecie...

– Tchórz – wypala Nazeera, wstając. Wygląda olśniewająco, jest wysoka, silna i spokojna. Uwielbiam patrzeć, jak ta dziewczyna się rusza. Jak mówi. Oddycha. Jak robi cokolwiek. – Patrzyłeś i milczałeś, kiedy Anderson torturował własne dzieci. Zgadza się?

– Nie – zaprzecza rozpaczliwie Delalieu, a jego twarz zarumieniła się od emocji w taki sposób, jakiego jeszcze nie widziałem. – Nie, to nie tak...

Castle podnosi krzesło jednym ruchem nadgarstka i bezceremonialnie opuszcza je przed Delalieu.

– Siadaj – oznajmia z dziką, niepohamowaną wściekłością, która błyska mu w oczach.

Porucznik nie protestuje.

– Jak długo? – powtarzam raz jeszcze. – Jak długo znałeś ją jako Ellę?

– Znałem... – Delalieu waha się, rozgląda dokoła. – Znałem Ellę, odkąd była jeszcze dzieckiem – odpowiada w końcu.

Czuję, jak wypływa ze mnie cała krew.

To wypowiedziane wprost wyznanie zupełnie mnie przytłacza. Tak wiele się w nim kryje. Zapadam się pod jego ciężarem – pod tymi wszystkimi kłamstwami, całą tą konspiracją. Opadam z powrotem na krzesło i moje serce pęka z powodu Juliette, z powodu tego wszystkiego, co musiała wycierpieć ze strony ludzi, którzy mieli ją chronić. Nie jestem w stanie wyartykułować słów, których potrzebuję, by powiedzieć Delalieu, jakim jest tchórzliwym sukinsynem. To Nazeera zdołała zachować dość przytomności umysłu, żeby zadać cios.

Jej głos jest cichy, lecz śmiertelnie groźny.

– Znałam Ellę, odkąd była dzieckiem – mówi. – Ty byłeś tutaj, pracowałeś dla Andersona, co oznacza, że pomogłeś mu umieścić ją pod opieką przemocowych rodziców adopcyjnych i patrzyłeś, jak ją torturują, jak Anderson ją torturuje, raz po raz...

– Nie – protestuje Delalieu. – Nie przyłożyłem do tego ręki. Ella miała dorastać w zwyczajnej rodzinie. Miała znaleźć się u opiekuńczych rodziców i mieć zapewnione stabilne warunki rozwoju. Na takie warunki przystaliśmy...

– Gówno prawda – przerywa mu Nazeera z gniewem. – Wiesz tak samo dobrze jak ja, że jej przybrani rodzice byli potworami...

– Paris zmienił warunki umowy! – krzyczy wściekle Delalieu.

Nazeera unosi brew, niewzruszona.

Jednak coś musiało sprawić, że Delalieu rozplątał się język, może strach albo powstrzymywana złość, bo nagle wypływa z niego potok słów.

– Paris wycofał się z danego słowa, gdy tylko Ella znalazła się w jego rękach – tłumaczy. – Myślał, że nikt się nie dowie. W tamtych czasach mieliśmy w Przywróceniu podobną rangę. Często pracowaliśmy razem ze względu na więzy rodzinne, dlatego dowiedziałem się o tym, jakie podjął decyzje. – Potrząsa głową. – Jednak zbyt późno odkryłem, że specjalnie wybrał rodziców, którzy przejawiali przemocowe, groźne zachowania. Kiedy mu to wypomniałem, przekonywał, że wszelka krzywda, jaką wyrządzili przyszywani rodzice Elli, tylko zwiększyłaby szanse na to, że jej moc się ujawni, a statystyka potwierdza jego przypuszczenia. Próbowałem wyrazić swój niepokój, doniosłem na niego. Powiedziałem radzie dowódców, że ją krzywdził, że próbował ją złamać. Niestety on sprawił, że moje słowa zabrzmiały histerycznie, jak głos rozpaczki kogoś, kto nie jest gotów na niezbędne poświęcenia dla wspólnego celu.

Widzę, jak rumieniec zaczyna oblewać jego twarz. Delalieu ledwo panuje nad swoim gniewem.

– Wielokrotnie głosowano przeciwko mnie. Obniżono mi rangę. Zostałem ukarany za

kwestionowanie jego taktyki. Jednak wiedziałem, że Paris się myli – ciągnie cicho. – Ella usychała. Kiedy ją poznałem, była silną i pełną radości dziewczynką. Była dobra i miała optymistyczne nastawienie. – Waha się. – Nie minęło wiele czasu i stała się zimna, zamknięta. Wycofana. Paris szybko awansował, a mnie wskazano rolę jego prawej ręki, nic więcej. To mnie wysyłał, żebym sprawdzał, co się dzieje u niej w domu, w szkole. Miałem monitorować jej zachowanie, pisać raporty na temat jej progresu. Tylko że nie było żadnego. Jej duch został złamany. Błagałem Parisa, żeby umieścił ją gdzieś indziej, żeby chociaż przeniósł ją do domu dziecka, gdzie mógłbym osobiście ją nadzorować. Jednak on raz po raz obstawał przy tym, że krzywdzenie ujawni jej zdolności. – Delalieu wstaje i zaczyna krążyć. – Miał nadzieję, że zrobi wrażenie na radzie, że jego wysiłki zostaną nagrodzone kolejnym awansem. Wkrótce to było jego jedyne zadanie, czekać i kazać mi obserwować Ellę, czy przypadkiem taktyka nie dała jakichś rezultatów, czy nie pojawiły się oznaki, że się zmieniła. Ewoluowała. – Zatrzymuje się. Przełyka głośno ślinę. – Jednak Paris był nieostrożny.

Delalieu chowa twarz w dłonie.

Wszyscy dokoła są tak cicho, że niemal słyszę, jak mija sekunda. Wszyscy czekamy, aż dokończy historię, lecz on nie unosi głowy. Przyglądam mu się – jego drżącym rękoma, trzęsącym się nogami, ogólnym oznakom utraty kontroli – i serce wali mi w piersi. Mam wrażenie, że porucznik zaraz pęknie. Zaraz powie nam coś ważnego.

– Co masz na myśli? – pytam cicho. – W jaki sposób był nieostrożny?

Delalieu unosi wzrok, jego oczy są dzikie i zaczerwienione.

– Chodzi o to, że to było jego jedyne zadanie – odpowiada, uderzając pięścią w ścianę. Robi to mocno, jego knykcie przebijają się przez tynk i przez chwilę jestem naprawdę w szoku. Nie spodziewałem się czegoś takiego po Delalieu. – Nie rozumiecie – ciągnie, zataczając się do tyłu i opierając o ścianę. – Niczego tak nie żałuję jak tego, że widziałem cierpienie tych dzieci i nic z tym nie zrobiłem.

– Zaraz – rzuca Winston. – Jakich dzieci? O kim ty mówisz?

Lecz Delalieu chyba go nie słyszy. Jedyne potrząsa głową.

– Paris nigdy nie traktował tego poważnie. To z jego winy straciła kontrolę. To z jego winy nie wiedziała, co robi, nie była przygotowana, wyszkolona ani porządnie pilnowana. To z jego winy zabiła tamtego chłopca – tłumaczy tak udęczony, że głos mu się łamie. – Tamto wydarzenie prawie ją zniszczyło. Prawie zaprzepaściło całą operację. Prawie odsłoniło nas przed światem.

Zamyka oczy, przyciska palce do skroni. A potem znowu opada na krzesło. Wydaje się tracić grunt pod nogami.

Posyłamy sobie z Castle'em znaczące spojrzenie. Coś się dzieje. Coś się zaraz wydarzy.

Delalieu to źródło wiedzy, o którego potencjale nie mieliśmy pojęcia. I chociaż tak bardzo protestował, wydaje się, że chce mówić. Może Delalieu jest kluczem. Może on powie nam to, co musimy wiedzieć. O Juliette, o Andersonie, o Przywróceniu. O wszystkim. To oczywiste, że pękła w nim jakaś tama. Mam tylko nadzieję, że uda nam się skłonić go do dalszych wyznań.

– Skoro tak strasznie nienawidziłeś Andersona, dlaczego nie powstrzymałeś go, gdy miałeś szansę? – odzywa się Adam.

– Nie rozumiesz? – pyta Delalieu z wielkimi i smutnymi oczami. – Nie miałem szansy. Nie miałem żadnego autorytetu, a władzę dopiero co udało nam się uzyskać. Leila, moja córka, z dnia na dzień robiła się bardziej chora, a ja... nie byłem sobą. Nie panowałem nad niczym. Podejrzywałem, że ktoś się przyczynił do jej choroby, lecz nie miałem żadnych dowodów. W ciągu dnia przyglądałem się temu, jak młoda niewinna dziewczyna traci zdrowie psychiczne i fizyczne, a po pracy patrzyłem, jak moja córka umiera.

– To są wymówki – wypala niespodziewanie Nazeera. – Byłeś tchórzem.

Porucznik unosi na nią wzrok.

– Tak – przyznaje. – To prawda. Byłem tchórzem. – Potrząsa głową i odwraca się. – Milczałem, kiedy Paris przedstawił tragedię Elli jako zwycięstwo. Powiedział wszystkim, że to, co zrobiła tamtemu chłopcu, było w istocie błogosławieństwem. Że właśnie coś takiego miała na celu jego praca. Przekonywał, że bez względu na okoliczności dziewczyna pokazała swoją moc, na której manifestację miał nadzieję od samego początku. – Delalieu nagle wygląda, jakby było mu niedobrze. – Upiekło mu się. Dostał wszystko, czego chciał. A od samego początku był lekkomyślny. Wypełnił swoje zadanie byle jak, jednocześnie wykorzystując Ellę jako pionek do zrealizowania swoich własnych sadystycznych pragnień.

– Proszę, mów konkretniej – rzuca zimno Castle. – Anderson miał bardzo dużo sadystycznych

pragnień. Które dokładnie masz na myśli?

Delalieu blednie. Odpowiada cichszym, słabszym głosem:

– Paris zawsze czerpał perwersyjną przyjemność z niszczenia własnego syna. Nigdy tego nie rozumiałem. Nie pojmowałem, dlaczego chce złamać tego chłopaka. Torturował go na tysiąc różnych sposobów, ale kiedy odkrył, jak bardzo Aaron jest związany emocjonalnie z Ellą, wykorzystał to, żeby doprowadzić chłopaka praktycznie do szaleństwa.

– To dlatego ją postrzelił – mówię, przypominając sobie, co Juliette, Ella, powiedziała mi po tym, jak zbombardowano Omega Point. – Anderson chciał ją zabić, żeby dać Warnerowi nauczkę. Prawda?

Jednak coś w twarzy Delalieu się zmienia. Zdaje się go przytłaczać jeszcze większy ciężar. A potem porucznik wybuchuje śmiechem – smutnym, złamanym.

– Nie rozumiesz, nie rozumiesz, nie masz bladego pojęcia – woła, potrząsając głową. – Wydaje wam się, że ostatnie wydarzenia są najważniejsze. Myślicie, że Aaron zakochał się w waszej przyjaciółce, którą znacie od kilku miesięcy, zbuntowanej dziewczynie o imieniu Juliette. Nie wiecie. Nie wiecie. Nie macie pojęcia, że Aaron kochał się w Elli przez większą część swojego życia. Znają się od dzieciństwa.

Adam wciąż głośno powietrze. Tak brzmi zdumienie, tak brzmi niedowierzanie.

– Okej, będę szczery. Nie kumam tego – odzywa się Ian. Posyła ostrożne spojrzenie Nazeerze, po czym kontynuuje: – Nazeera powiedziała, że Anderson wymazał im wspomnienia. Jeśli to prawda, jak to możliwe, że Warner kochał się w niej tak długo? Dlaczego Anderson wymazał im wspomnienia, poinformował ich, że się znają, a potem znowu wymazał im wspomnienia?

Delalieu potrząsa głową. Na jego twarzy zaczyna się formować dziwny uśmiech, trochę drżący, trochę przerażony, bez odrobiny radości.

– Nie. To zupełnie nie... – Wzdycha, odwraca wzrok. – Paris nie powiedział żadnemu z nich o ich wspólnej przeszłości. Powód, dla którego pozbawił ich tych wspomnień, był taki, że bez względu na to, ile razy by nie restartował ich znajomości, ile razy nie przedstawiałby ich sobie na nowo, Aaron zawsze się w niej zakochiwał. Zawsze. Na początku Paris myślał, że to szczęśliwy traf. Uważał, że to wręcz zabawne. Bawiło go to. Jednak w końcu zaczęło go to doprowadzać do szaleństwa. Za którymś razem uznał, że z Aaronem jest coś nie tak, że ma jakąś wadę genetyczną, że toczy go jakaś choroba. Chciał zniszczyć coś, w czym dopatrywał się słabości.

– Zaraz – odzywa się Adam, unosząc ręce. – Co masz na myśli? Jak to za którymś razem? Ile razy to się wydarzyło?

– Co najmniej kilka.

Adama замуrowało.

– Poznali się i zakochali w sobie kilka razy?

Delalieu bierze drżący oddech.

– Nie wiem, czy zawsze się zakochiwali. Paris rzadko pozwalał im spędzać ze sobą wystarczająco dużo czasu sam na sam. Ale zawsze ich do siebie ciągnęło. To było oczywiste, za każdym razem, kiedy umieszczał ich w tym samym pomieszczeniu, działali na siebie jak magnes. – Delalieu ilustruje to, klaszcząc w dłonie, po czym potrząsa głową, patrząc na Adama. – Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć. Z pewnością trudno jest ci tego słuchać, szczególnie ze względu na twoją historię z Ellą. To nie w porządku, że zostałeś wciągnięty w gierki Parisa. Nie powinien być nigdy...

– Zaraz, zaraz. Czekaj. Jakie gierki? – przerywa mu zdumiony Adam. – O czym ty mówisz?

Delalieu przeciera spocone czoło. Wygląda, jakby się rozpuszczał, jakby kruszył się pod ciężarem. Może ktoś powinien przynieść mu wody.

– Za dużo tego – mówi wyraźnie zmęczony. – Zbyt wiele do powiedzenia. Zbyt wiele do wytłumaczenia. – Potrząsa głową. – Przepraszam, ale...

– Musisz spróbować – upiera się Adam, marszcząc z gniewem brwi. – Twierdzisz, że nasz związek był sztuczny? Że wszystko, co mówiła... Wszystko, co czuła, było nieprawdziwe?

– Nie – odpowiada szybko Delalieu, jednocześnie wycierając pot z twarzy rękawem. – Nie. Nie wydaje mi się, by jej uczucie było mniej prawdziwe niż cokolwiek innego. Pojawiłeś się w jej życiu w szczególnie trudnym momencie, a twoje dobro i troska z pewnością były dla niej niezwykle ważne. – Wzdycha. – Chciałem tylko powiedzieć, że to nie przypadek, że obaj synowie Parisa zakochali się w tej samej dziewczynie. Paris lubił się bawić. Lubił rozcinać różne rzeczy i sprawdzać, co mają w środku. Lubiał

eksperymenty. I celowo uczynił z ciebie i Warnera wrogów. Podstawił żołnierza, który usiadł przy twoim stoliku w czasie lunchu i wygadał, że Warner obserwuje dziewczynę o śmiercionośnym dotyku. Innego wysłał, by z tobą porozmawiał, by wypytał cię o waszą wspólną przeszłość, by odwołał się do twojej naturalnej opiekuńczości, wspominając o planach Aarona. Pamiętasz? Przekonywano cię z różnych stron, żebyś zgłosił się do tego zadania. Gdy to zrobiłeś, Paris wyjął twoje podanie ze sterty i zachęcił Aarona, żeby je przeczytał. I wtedy wyraził się jasno, że powinieneś zostać wybrany na współwięźnia dziewczyny. Pozwolił Aaronowi myśleć, że to on podejmuje decyzje jako regent Sektora 45, lecz Paris cały czas działał w tle, manipulował wszystkimi. Widziałem to.

Adam wydaje się tak zaskoczony, że dopiero po chwili udaje mu się odezwać.

– Czyli... wiedział? Ojciec zawsze o mnie wiedział? Wiedział, kim jestem? I co robię?

– Czy wiedział? – Delalieu marszczy brwi. – Paris manipulował waszym życiem. Od samego początku taki był plan. – Spogląda na Nazeerę. – Wszystkie dzieci najwyższych przywódców miały się stać obiektami badań. Zostaliście wychowani na żołnierzy. Ty i James – zwraca się do Adama – pojawiliście się poza planem, lecz dla was też znalazł zastosowanie.

– Słucham? – Adam robi się błydy. – Jaki miał plan dla mnie i Jamesa?

– Przyznaję zupełnie szczerze, że tego nie wiem.

Adam opada z powrotem na krzesło i wygląda, jakby miał zaraz zwymiotować.

– Gdzie jest teraz Ella? – pyta ostrym tonem Winston. – Wiesz, gdzie jest przetrzymywana?

Delalieu potrzęsa głową.

– Tylko tyle, że na pewno żyje.

– Jak to na pewno żyje? Skąd to przekonanie? – odzywam się.

– Moce Elli i Emmaline są kluczowe dla reżimu – odpowiada porucznik. – Kluczowe dla kontynuowania wszystkiego, na co pracowaliśmy. Przywrócenie powstało ze względu na obietnicę pojawienia się Elli i Emmaline. Bez nich Operacja Syntezy nie ma najmniejszego znaczenia.

Castle gwałtownie się prostuje. Otwiera szeroko oczy.

– Operacja Syntezy ma coś wspólnego z Ellą? – pyta zdyszonym głosem.

– Architekt i Egzekutor – wyjaśnia Delalieu. – To...

Porucznik wypuszcza cicho powietrze, zaskoczony, a jego głowa uderza o oparcie krzesła. Wszystko nagle zdaje się zwalniać.

Spada mi tętno. Czuję, jak świat obraca się z mniejszą prędkością. Mam wrażenie, jakbym był z wody, jakby ktoś puścił film w zwolnionym tempie, a ja oglądam go klatka po klatce.

Pocisk między oczami Delalieu.

Krew spływająca po jego czole.

Krótki, ostry krzyk.

– Ty zdradziecka szmato – mówi ktoś.

Widzę to, ale nie wierzę.

Anderson jest tutaj.

JULIETTE

Nikt niczego mi nie tłumaczy.

Ojciec nie zaprasza mnie na obiad, zupełnie jak obiecała Evie. Nie sadza mnie, żeby opowiedzieć mi długie historie o mnie albo o sobie; nie wyjawia żadnych wstrząsających informacji o moim życiu ani o innych najwyższych przywódcach, ani nawet sześcuset osobach, które dopiero co zamordowałam. Razem z Evie zachowują się, jakby groza ostatnich siedemnastu lat nigdy się nie wydarzyła. Jakby nie stało się nic dziwnego, jakbym nawet na chwilę nie przestała być ich córką – przynajmniej nie w takim sensie, jaki by miał znaczenie.

Nie wiem, co mi wstrzyknęli, ale efekty są dla mnie zupełnie niespodziewane. Czuję się jednocześnie przytomna i nieprzytomna, jakbym obracała się w miejscu, jakby trybiki w moim mózgu były za bardzo naoliwione, a kiedy próbuję się odezwać, moje usta nie chcą wykonywać poleceń. Ojciec niesie moje odrętwiałe ciało do oślepiająco srebrzystego pokoju, sadza mnie na krześle i przypina pasami. Nadpływa fala paniki, gorąca i przeraźliwa. Próbuję krzyknąć. Nic z tego. Mój umysł powoli odłącza się od ciała, jakby ktoś wyjmował mnie ze mnie. Zdają się działać tylko podstawowe funkcje, polegające na instynktach. Przełykanie. Oddychanie.

Płacz.

Łzy spływają cicho po mojej twarzy, a ojciec wygwizduje jakąś melodię, porusza się z lekkością i łatwością, podpinając mi kroplówkę. Działa z taką efektywnością, że nawet nie zdaję sobie sprawy, że odpiął moje więzy, dopóki nie widzę skalpela.

Błysk srebra.

Narzędzie jest tak ostre, że nie napotyka żadnego oporu, kiedy ojciec rozcina mi skórę na przedramionach i krew, krew, gęsta i ciepła, płynie po moich nadgarstkach do otwartych dłoni i wydaje się przy tym nierzeczywista. Nawet wtedy, gdy ojciec wbija w rany kilka przewodów elektrycznych.

Ból pojawia się zaledwie kilka sekund później.

Ból.

Zaczyna się u moich stóp, rozchodzi się po nogach, rozwija w brzuchu i wspina aż do gardła, by potem eksplodować za moimi oczami, w moim mózgu. Krzyczę, lecz tylko we własnej wyobraźni, moje odrętwiałe ręce pozostają nieruchome i jestem pewna, że zaraz umrę, ale on...

On się uśmiecha.

I znika.

Leżę i potwornie cierpię. Nie wiem, jak długo, ale mam wrażenie, że mijają godziny.

W malignie patrzę, jak krew ścieka mi z opuszek palców, każda kropla zasila szkarłatne kałuże rozplywające się po tkaninie spodni. Atakują mnie obrazy, wspomnienia dziewczyny, którą mogłam być; sceny z ludźmi, których mogłam znać. Chciałabym wierzyć, że to halucynacje, lecz niczego już nie mogę być pewna. Nie wiem, czy Max i Evie wkładają mi coś do głowy. Nie wiem, czy mogę wierzyć w którekolwiek z przekonań na własny temat.

Przestaję myśleć o Emmaline.

Unoszę się, zawieszona w poczuciu bezzmysłowości, lecz jest w niej coś takiego, co ciągle mną szarpie, ciągle pobudza moje nerwy, chaotyczne prądy wypychają mnie na powierzchnię czegoś – jakiejś emocjonalnej epifanii – która materializuje się z drżeniem, by sekundę później wyparować, jakby bała się własnego istnienia.

To trwa i trwa i trwa i trwa i trwa i trwa i trwa

Całe wieki.

Eony.

trwa

i

trwa

strzępy świadomości

łyki tlenu
i znowu wracam w głębię morza.

Jaskrawe białe światło migocze mi nad głową, brzęczy w tym samym rytmie co maszyna i system chłodzenia. Wszystko pachnie czymś ostrym, jakby środkiem odkażającym. W głowie mi się kręci przez mdłości. Zaciśkam powieki, moje ciało słucha tylko tego polecenia.

Ja i Emmaline w zoo.

Ja i Emmaline w czasie pierwszej wycieczki samolotem.

Ja i Emmaline w czasie nauki pływania.

Ja i Emmaline w czasie strzyżenia.

Moją głowę wypełniają obrazy przedstawiające Emmaline, od pierwszych lat naszego życia. Widzę szczegóły jej twarzy, których znajomości nigdy bym u siebie nie podejrzewała. Nie rozumiem tego. Nie wiem, skąd się biorą. Domyślam się, że to Evie umieściła mi je w głowie, tylko po co chciałaby, żebym je oglądała? Nie rozumiem. Sceny rozgrywają się przed moimi oczami, jakbym przeglądała stary album. Pod ich wpływem zaczynam tęsknić za siostrą. Sprawiają, że przypominam sobie Evie w roli matki. Przypominam sobie, że miałam rodzinę.

Może Evie chce, żebym pogrzyżała się we wspomnieniach.

Moja krew dociera na podłogę. Słyszę, jak zaczyna ściekać, a ten dźwięk jest jak zepsuty kran, powolne

kap

kap

kap

ciepłego płynu na kafelki.

Dokądkolwiek byśmy szły, zawsze trzymałyśmy się z Emmaline za rękę, często nosiłyśmy też takie same ubrania. Miałyśmy takie same długie brązowe włosy, lecz jej oczy były błękitne, była też sporo wyższa ode mnie. Dzielili nas tylko rok, jednak ona wydawała się o wiele starsza. Nawet wtedy miała w oczach jakąś hardość. Powagę. Ścisnęła moją dłoń, jakby próbowała mnie chronić. Jakby wiedziała więcej niż ja.

Gdzie jesteś?, zastanawiam się. Co ci zrobili?

Nie mam pojęcia, gdzie sama się znajduję. Nie mam pojęcia, co zrobili mnie. Nie wiem, jaka jest pora dnia, a ból wszystko przyćmiewa. Mam wrażenie, jakbym była pod napięciem, jakby moje nerwy zostały wypchnięte na wierzch ciała i reagowały na najmniejszą zmianę w otoczeniu. Wypuszczam powietrze i czuję ból. Wzdrygam się, aż mi dech zapiera.

I wtedy w jednej chwili wraca matka.

Drzwi się otwierają i wywołują w ten sposób łagodny ruch powietrza, delikatny podmuch, który w zetknięciu z moją skórą sprawia, że mam ochotę wrzasnąć.

Lecz nie wrzeszczę.

– Już lepiej? – pyta.

Evie trzyma srebrne pudełko. Próbuję mu się przyjrzeć, lecz ból zadomowił się w moich oczach. Przeszywa je.

– Z pewnością zastanawiasz się, dlaczego tutaj jesteś – mówi cicho. Słyszę, jak nad czymś pracuje, szkło i metal dotykają się, odrywają, dotykają, odrywają. – Jednak musisz uzbroić się w cierpliwość, mój ptaszku. Być może nie będziesz nawet mogła zostać.

Zamykam oczy.

Czuję jej zimne, szczupłe palce na mojej twarzy i parę sekund później siłą unosi mi powieki. Sprawnie zastępuje palce ostrymi, stalowymi klamrami, a ja wydaję z siebie niski, gardłowy jęk.

– Nie zamykaj oczu, Ella. To nie jest dobry moment na sen.

Chociaż to bolesna i przerażająca chwila, słowa wydają się znajome. Dziwne i znajome. Nie rozumiem dlaczego.

– Zanim zdecydujemy ostatecznie, czy chcemy cię tutaj zatrzymać, muszę mieć pewność – naciąga lateksowe rękawiczki – że wciąż się nadajesz. Zobaczmy, jak się trzymasz po tylu latach.

Jej słowa wywołują fale strachu w moim ciele.

Nic się nie zmieniło.

Nic się nie zmieniło.

Wciąż jestem tylko obiektem. Moje ciało zmienia właścicieli zmienia właścicieli i w zamian za co
Moja matka mnie nie kocha.

Co zrobiła mojej siostrze.

– Gdzie jest Emmaline? – próbuję wykrzyczeć, lecz słowa grzęzną mi w gardle. Rozrastają się
w mojej głowie, wybuchowe i wściekłe, naciskają na czaszkę, lecz usta nie słuchają poleceń.

Umieram.

To słowo pojawia się nagle, jakbym właśnie sobie je przypomniała, jakbym znalazła odpowiedź na
pytanie, o którego istnieniu zapomniałam.

Nie rozumiem.

Evie znowu staje przede mną.

Dotyka moich włosów, przesuwając dłoń po krótkiej, szorstkiej szczecinie, jakby szukała w niej złota.
Ten kontakt fizyczny sprawia mi potworny ból.

– Tak nie może być – mówi. – Nie może.

Odwraca się, zapisuje coś na tablicy, który wyciąga z kieszeni laboratoryjnego fartucha.
Niedelikatnie łapie mnie za brodę, unosi moją głowę.

Liczy zęby. Przeciąga opuszką palca po dziąsłach. Przygląda się wewnętrznej stronie policzków,
spodniej języka. Zadowolona, zrywa rękawiczki, a trzask lateksu odbija się echem, dźwięki wpadają na
siebie.

Do moich uszu dociera mechaniczny szum i zdaję sobie sprawę, że Evie poprawia ustawienie fotela.
Wcześniej miałam częściowo opuszczone oparcie, teraz leżę płasko na plecach. Evie sięga po nożyce
i zaczyna rozcinać mi spodnie, koszulkę, rękawy.

Strach zaraz rozerwie mi klatkę piersiową, ale tylko leżę niczym warzywo i daję się rozebrać.

Wreszcie Evie się odsuwa.

Nie widzę, co się dzieje. Szum maszynierii się wzmaga, brzmi jak ostrza nożyc tnące powietrze.
A potem na granicy pola widzenia materializują się szklane ściany, napierają ze wszystkich stron.
Z łatwością zatrzymują się i blokują z chłodnym trzaskiem w wyznaczonych miejscach.

Właśnie zostałam pochowana żywcem.

Żar, jakiego jeszcze nie znałam; ogień, którego nie widzę i nie mogę powstrzymać. Nie wiem, jak to
możliwe, ale go czuję. Czuję nawet jego zapach. To woń spalonego ciała, która za moment wywróci mi
żołądek na drugą stronę. Górna warstwa mojej skóry powoli się spala. Na ciele pojawiają się kropelki krwi
przypominające poranną rosę, a po żarze pojawia się drobniotka mgiełka, która mnie obmywa i chłodzi. Na
szkle dokoła zbiera się para, a potem, kiedy już jestem pewna, że umrę z bólu, nagle ściany się otwierają.

Szkoda, że mnie po prostu nie zabili.

Evie jest skrupulatna. Kataloguje każdy szczegół mojej anatomii, nieustannie zapisując notatki
w kieszonkowym tablecie. Przez większość czasu wydaje się sfrustrowana swoim zadaniem. Moje ręce
i nogi są zbyt słabe, tłumaczy. Moje ramiona zbyt spięte, włosy zbyt krótkie, dłonie zbyt poranione,
paznokcie połamane, usta spierzchnięte, a tułów zbyt długi.

– Zrobiliśmy cię taką piękną – mówi i potrząsa głową, patrząc na moje nagie ciało. Trąca moje
biodra, podeszwy moich stóp. – Piękno może być przerażającą bronią, jeśli wiesz, jak jej dobrać. Jednak w tej
chwili to wszystko wydaje się zupełnie niepotrzebne. – Zapisuje kolejną notatkę.

Kiedy ponownie unosi na mnie wzrok, wydaje się pogrążona w myślach.

– To podarunek ode mnie – tłumaczy. – Rozumiesz? Dałam ci to naczynie, w którym żyjesz. Ja je
wychodowałam, ukształtowałam. Należysz do mnie. Twoje życie należy do mnie. Twoje zrozumienie tego
faktu jest niezmiernie ważne.

W mojej piersi rozpala się ostry gniew.

Evie ostrożnie otwiera srebrne pudełko. W środku znajduje się tuzin wąskich szklanych cylindrów.

– Wiesz, co to jest? – pyta, wyjmując kilka fiolek z mieniącym się białym płynem. – Oczywiście, że

nie wiesz.

Widzę, jak mi się przygląda.

– Za pierwszym razem popełniliśmy błąd – odzywa się w końcu. – Nie spodziewaliśmy się, że zdrowie emocjonalne tak dramatycznie wyprze zdrowie fizyczne. Spodziewaliśmy się po was obu silniejszych umysłów. Oczywiście... – Evie się waha. – Twoja siostra była lepszym obiektem. Nieskończenie lepszym. Ty jako dziecko zawsze miałaś trochę rozmarzony wzrok. Miałaś trochę zbyt dużą wyobraźnię, jak na mój gust. Tymczasem Emmaline to był prawdziwy ogień. Do głowy by nam nie przyszło, że tak szybko jej stan się pogorszy. Jej porażki stały się dla nas przyczyną wielkiego osobistego rozczarowania.

Wciągam gwałtownie powietrze i duszę się czymś gorącym i mokrym. Krew. W moim gardle jest krew.

– Cóż – rzuca Evie, wzdychając – tak to już bywa. Musimy być gotowi na to, co niespodziewane. Musimy dostosowywać się do zmian, jeśli to konieczne.

Evie naciska jakiś guzik i coś się we mnie dzieje. Czuję, jak kręgosłup mi się prostuje, szczęka opada. Krwi w gardle robi się więcej i nie wiem, czy mam ją wypluć, czy przełknąć. Zanoszę się silnym kaszlem i wtedy czerwone kropelki tryskają mi na twarz. Na ramiona. Spływają po mojej klatce piersiowej, na świeżutką, różowitką skórę.

Moja matka kuca. Chwyta mnie za brodę i zmusza do tego, bym spojrzała na jej twarz.

– Buzuje w tobie zbyt wiele emocji – tłumaczy cicho. – Zbyt wiele czujesz do tego świata. Nazywasz ludzi swoimi przyjaciółmi. Wyobrażasz sobie, że jesteś zakochana. – Kręci powoli głową. – To nigdy nie było w planach, ptaszku. Miałaś prowadzić samotne życie. Celowo umieściliśmy cię w izolacji. – Mruga. – Rozumiesz?

Oddycham z trudem. Mój język wydaje się szorstki i ciężki, jakby obcy. Przełykam własną krew i jest obrzydliwa, gęsta i ciepława, wymieszana ze śliną.

– Gdyby Aaron był synem kogoś innego, kazałabym go zabić – ciągnie. – Kazałabym go zabić od razu, gdybym tylko mogła. Niestety nie mam odpowiedniej rangi.

Zalewają mnie silne emocje.

Jestem na wpół przerażona, na wpół uradowana. Aż do teraz nie wiedziałam, że mam w sobie jeszcze jakąś nadzieję, że Warner żyje.

To uczucie jest jak eksplozja.

Zapuszcza we mnie korzenie. Nadzieja płonie mi w żyłach, jest silniejsza niż te środki, które mi podali. Silniejsza niż ja sama. Trzymam się jej z całego serca i nagle wraca mi czucie w rękach. Nie wiem dlaczego ani w jaki sposób, ale czuję cichą siłę, która wspina się po moim kręgosłupie.

Evie tego nie zauważa.

– Żałuję naszych błędów – tłumaczy. – Żałuję wszystkich niedopatrzeń, które teraz wydają się takie oczywiste. Wtedy, wiele lat temu, nie mogliśmy wiedzieć, że tak to się skończy. Nie spodziewaliśmy się, że pokona nas coś tak kruchego jak emocje. Nie mogliśmy wiedzieć, że sprawy eskalują w ten sposób. Paris przekonał wszystkich, że zabranie cię do bazy Sektora 45 będzie korzystne dla nas wszystkich, że on będzie w stanie monitorować twój rozwój w środowisku pełnym doświadczeń, które przyczynią się do ewolucji twoich zdolności. Wraz z twoim ojcem uważaliśmy, że to głupi plan, a stał się jeszcze głupszy, kiedy znalazłaś się pod bezpośrednią pieczęią dziewiętnastoletniego chłopaka, z którym łączyła cię... skomplikowana przeszłość. – Odwraca wzrok. Potrząsa głową. – Ale ten głupi plan przyniósł rezultaty. Przy Aaronie robiłaś postępy w tempie, o jakim mogliśmy tylko marzyć, więc sytuacja zmusiła nas do zaakceptowania stanu rzeczy. Mimo wszystko plan skończył się fiaskiem.

Widzę, jak jej wzrok na moment zatrzymuje się na mojej ogolonej głowie.

– Nawet w naszym kręgu niewiele osób naprawdę rozumie, co próbujemy osiągnąć. Twój ojciec rozumie. Ibrahim rozumie. Jednak Paris, w ramach przedsięwziętych środków bezpieczeństwa, nigdy nie dowiedział się o tobie wszystkiego. Nie był jeszcze najwyższym przywódcą, gdy przydzieliliśmy mu zadanie, więc postanowiliśmy informować go wyłącznie o tym, co niezbędne. To był kolejny błąd – stwierdza Evie, a jej ton jest jednocześnie smutny i przerażający. Przykłada wierzch dłoni do czoła. – Sześć miesięcy i wszystko się rozpadło. Uciekłaś. Dołączyłaś do jakiegoś śmiesznego gangu. Wciągnęłaś w to wszystko Aarona, a Paris, niedoinformowany głupiec, próbował cię zabić. I to dwukrotnie. Prawie mu

poderżnęłam gardło za jego głupotę, ale moja litość i tak mogłaby się okazać bezcelowa, bo próbowałaś go zamordować. Och, Ella – rzuca i wzdycha. – Narobiłaś mi w tym roku bardzo dużo problemów. Choćby w papierach. – Zamyka oczy. – Przez pół roku miałam migreny.

Znowu unosi powieki. Przez dłuższą chwilę jej nie słyszę, jedynie czuję na sobie jej wzrok.

– A teraz – tłumaczy dalej, wskazując na mnie tabletem trzymanym w dłoni – jeszcze to. Emmaline musi zostać zastąpiona, a nie jesteśmy nawet pewni, czy ty się do tego nadajesz. Twoje ciało pracuje z najwyższą sześćdziesięciopięcioprocentową efektywnością, a twój umysł to zwyczajna katastrofa. – Milknie. Na jej czole nabrzmiewa żyła. – Może nie jesteś w stanie pojąć, co w tej chwili czuję. Być może nie obchodzi cię głębia mojego rozczarowania. Ale ty i Emmaline jesteście ukoronowaniem mojej pracy. To ja znalazłam sposób na wyizolowanie genu, który powodował rozprzestrzeniające się w ludności transformacje. To ja zdołałam je odtworzyć. To ja zdołałam zmodyfikować wasz kod genetyczny. – Patrzy na mnie, marszcząc brwi, pierwszy raz wygląda przy tym jak prawdziwy człowiek. Jej ton łagodnieje. – To ja cię stworzyłam na nowo, Ella. Ty i twoja siostra byliście największymi osiągnięciami w mojej karierze. Wasze porażki – szepcze, dotykając opuszkami palców mojej twarzy – są moimi porażkami.

Bezwiednie wydaję z siebie charkot.

Evie wstaje.

– To będzie dla ciebie nieprzyjemne. Nie będę kłamać. Jednak obawiam się, że nie mamy innego wyjścia. Jeśli to ma zadziałać, musisz mieć zdrowe, niezanieczyszczone myśli. Musimy zacząć od nowa. Kiedy skończymy, będziesz pamiętać wyłącznie to, co ci każe. Rozumiesz?

Serce zaczyna mi szybciej bić. Słyszę jego dzikie, chaotyczne tętnienie wzmocnione przez stojące obok urządzenie monitorujące jego pracę. Ten odgłos odbija się echem od ścian pokoju i brzmi jak syrena alarmowa.

– Twoja temperatura rośnie – rzuca ostro Evie. – Nie ma powodów do paniki. To litościwe rozwiązanie. W końcu Paris ciągle walczy o prawo, żeby cię zabić. Ale Paris – waha się – zawsze był taki melodramatyczny. Wszyscy wiemy, że nienawidził cię za to, jak działasz na jego syna. Obwinia cię. – Evie przechyla głowę. – Uważa, że częściowo odpowiadasz za słabość Aarona. Szczerze mówiąc, czasami się zastanawiam, czy przypadkiem nie ma racji.

Teraz moje serce bije aż za szybko. Moje płuca zaraz pękną. Jaskrawe światła wlewają mi się do oczu, do mózgu...

– No dobrze, a teraz wyślę te informacje – stuka w srebrne pudełko – bezpośrednio do twojego umysłu. To bardzo dużo danych i twoje ciało będzie potrzebowało czasu, żeby to wszystko zaakceptować. – Długa pauza. – Na początku spróbuje je odrzucić, ale od ciebie zależy, czy się na nie otworzysz, rozumiesz? Nie chcemy ryzykować rozszczenia przeszłości i teraźniejszości. Ból będziesz odczuwać tylko przez kilka pierwszych godzin, potem, jeśli zdołasz je przetrwać, twoje receptory bólowe zaczną się wyłączać, a reszta danych zostanie wysłana bez problemów.

Mam ochotę wrzeszczeć.

Zamiast tego wydaję z siebie tylko słaby, zduszony odgłos. Łzy płyną szybko po moich policzkach, a matka stoi i dotyka mnie drobnymi, obcymi palcami. Widzę, lecz nie czuję, jak ogromna igła wbija się w miękkie tkanki na mojej skroni. Evie opróżnia strzykawkę i ponownie ją napełnia chyba tysiąc razy, a za każdym jest zupełnie tak, jakbym znalazła się pod powierzchnią wody, jakbym powoli tonęła, wielokrotnie znajdowała się na granicy śmierci, lecz nigdy nie mogła jej przekroczyć. Leżę bezradna i niema, pogrążona w cierpieniu tak potwornym, że nie mogę już normalnie oddychać, tylko charczę, a matka się nachyla, żeby patrzeć.

– Masz rację – mówi cicho. – Może to jest okrutne. Może bardziej litościwie byłoby pozwolić ci po prostu umrzeć. Ale tu nie chodzi o ciebie, Ella. Tu chodzi o mnie. A w tej chwili – mówi, głaszcząc mnie po głowie – właśnie tego potrzebuję.

KENJI

Wszystko dzieje się tak szybko, że dopiero po chwili dociera do mnie, co się właściwie stało.

Delalieu umarł.

Delalieu umarł, a Anderson żyje.

Anderson wrócił zza grobu.

To znaczy, w tej chwili leży płasko na podłodze, zakopany pod każdym meblem, jaki znajdował się w tym pomieszczeniu. Castle patrzy na niego intensywnie, a kiedy słyszę rżący oddech Andersona, zdaję sobie sprawę, że Castle nie próbuje go zabić. Chce go jedynie unieruchomić.

Przysuwam się bliżej do tłumu, który zbiera się przy zduszonym Andersonie. I wtedy z zaskoczeniem zauważam, że Adam jest przyciśnięty do ściany niczym posąg, a jego twarz zamarła w przerażeniu.

Serce mi pęka.

Tak się cieszę, że już kilka godzin temu zaprowadził Jamesa do łóżka. Tak się cieszę, że dzieciak nie musi tego oglądać.

Castle wreszcie przechodzi na drugą stronę pokoju. Stoi parę kroków od rozplaszczzonego Andersona i zadaje pytanie, na które wszyscy chcielibyśmy poznać odpowiedź:

– Jakim cudem ty żyjesz?

Anderson próbuje się uśmiechnąć, ale wychodzi mu krzywo. Wygląda jak szaleniec.

– Wiesz, co zawsze było w tobie najlepsze, Castle? – Wymawia jego imię, jakby to było zabawne, jakby pierwszy raz robił to na głos. Bierze płytki oddech. – Jesteś taki przewidywalny. Lubisz zbierać przybłędy. Uwielbiasz smutne opowieści.

Anderson nagle i gwałtownie wypuszcza powietrze. Pewnie Castle zwiększył nacisk. Kiedy Andersonowi udaje się odetchnąć, mówi:

– Jesteś idiotą. Idiotą, bo tak łatwo zdobyć twoje zaufanie.

I znowu ostry, bolesny oddech.

– Myślisz, że kto mnie tutaj wezwał? – odzywa się z trudem. – Kto twoim zdaniem cały czas informował mnie o wszystkim, o czym dyskutowaliście?

Zamieram.

W mojej piersi wzbiera okropne, przyprawiające o mdłości uczucie.

Wszyscy odwracamy się w stronę Nazeery, która stoi kawałek dalej, niczym uosobienie spokoju i opanowania. Jej twarz nie zdradza żadnych emocji. Patrzy na mnie, jakby patrzyła na ścianę.

Przez ułamek sekundy tak mi się kręci w głowie, że chyba zaraz zemdleję.

Marzenie.

I to jest to – to jest nasz gwóźdź do trumny. W tym pokoju zebrała się grupa niezwykle potężnych ludzi, a jednak ta krótka chwila absolutnego szoku ściąga na nas zgubę. Czuję ukłucie w szyi, zanim zdążę zarejestrować, co się dzieje. Mam tylko kilka sekund, żeby się rozejrzeć – zauważyć przerażenie na twarzach przyjaciół – i upadam.

WARNER

Siedzę w swoim biurze i słucham starej płyty, kiedy dzwoni telefon. Z początku się obawiam, że to może być Lena, że może błagać mnie o powrót, ale wstręt szybko ustępuje miejsca nienawiści, kiedy w słuchawce rozlega się ten głos. Mojego ojca. Chce, żebym zszedł na dół.

Na sam ten dźwięk zalewają mnie tak silne emocje, że potrzebuję chwili, żeby nad nimi zapanować.

Dwa lata.

Przez dwa lata stawałem się potworem, którego zawsze chciał. Spoglądam w lustro, nienawidząc siebie z nową, głęboką intensywnością, jakiej jeszcze nie doświadczyłem. Każdego ranka budzę się z nadzieją, że umrę. Że to życie się skończy, że te dni miną.

Przypieczętowując tę umowę, wiedział, o co mnie prosi. Ja nie. Miałem szesnaście lat, byłem jeszcze dość młody, żeby wierzyć w nadzieję, a on wykorzystał moją naiwność. Wiedział, co mi to zrobi. Wiedział, że mnie to złamie. I właśnie tego chciał od samego początku.

Mojej duszy.

Sprzedalem ją za kilka dodatkowych lat z matką, a teraz, po tym wszystkim, nawet nie wiem, czy było warto. Nie wiem, czy będę w stanie ją uratować. Zbyt długo mnie nie było. Zbyt wiele przegapiłem. Stan matki znacznie się pogorszył i żaden lekarz nie umiał jej pomóc. Nic nie pomagało. Moje wysiłki okazały się próżne.

Oddałem wszystko, w zamian nie dostając nic.

Szkoda, że nie wiedziałem, jak bardzo zmienią mnie te dwa lata. Szkoda, że nie wiedziałem, jak trudno będzie mi ze sobą żyć, jak trudno będzie spojrzeć w lustro. Nikt mnie nie ostrzegł przed koszmarami, atakami paniki albo mrocznymi, niszczącymi myślami. Nikt mi nie wytłumaczył, jak działa ciemność, jak karmi się sobą i rozrasta. Prawie już siebie nie poznaję. Stałem się narzędziem tortur i to zniszczyło resztki mojej pocztytalności.

A teraz to: czuję się pusty. Cały czas. Wydrążony.

Nie do uratowania.

Nie chciałem tutaj wracać. Woląłem wejść do oceanu. Woląłem stopić się z horyzontem. Woląłem zniknąć.

Oczywiście on nigdy by na to nie pozwolił.

Zaciągnął mnie tutaj siłą i nadał mi tytuł. Zostałem nagrodzony za bycie zwierzęciem. Moje wysiłki w roli potwora były celebrowane. Nieważne, że każdej nocy budzę się duszony przez irracjonalne lęki i nagłą, przemożną potrzebę opróżnienia żołądka.

Nieważne, że nie potrafię pozbyć się tych obrazów z głowy.

Spoglądam na butelkę drogiego burbona, którą ojciec zostawił w moim pokoju, i czuję nagły wstręt. Nie chcę się stać taki jak on. Nie chcę jego opiatów, jego ulubionego sposobu uciekania przed rzeczywistością.

Tyle dobrego, że ojciec niedługo wyjedzie. Jeszcze chwila i zniknie, a ten sektor stanie się moim królestwem. Wreszcie będę sam.

Albo prawie sam.

Niechętnie wkładam blezer i zjeżdżam windą na dół.

Kiedy wreszcie zgodnie z poleceniem stawiam się w jego kwaterze, on obdarza mnie tylko przelotnym spojrzeniem.

– Dobrze, jesteś – rzuca.

Milczę.

– Gdzie się podziały twoje maniery? – pyta z uśmiechem. – Nie powitasz naszego gościa?

Zbity z tropu podążam za jego wzrokiem. Na krześle w kącie pokoju siedzi młoda kobieta, której w pierwszej chwili nie poznaję.

Kiedy wreszcie dociera do mnie, kim ona jest, cała krew odpływa mi z twarzy.

Mój ojciec wybucha śmiechem.

– Pamiętacie się, dzieciaki, prawda?

Siedziała tak cicho, tak nieruchomo i taka skulona, że prawie jej nie zauważyłem. Teraz serce mi przyśpiesza na widok jej drobnej sylwetki, a iskra życia rozpaczliwie próbuje zapłonąć.

– Juliette – szepczę.

Moje ostatnie wspomnienie z nią pochodzi sprzed dwóch lat. To było chwilę przed tym, jak wyjechałem z domu, żeby wypełnić chore, sadystyczne zadanie ojca. Zabrał mi ją. Dosłownie wyrwał mi ją z rąk. Nigdy wcześniej nie widziałem w jego oczach takiego gniewu, nie tak silnego i spowodowanego czymś równie niewinnym.

Był dziki.

Stracił panowanie nad sobą.

Nie wyszliśmy poza zwyczajne rozmowy. Zacząłem zakradać się do jej pokoju, kiedy tylko mogłem, i oszukiwałem kamery, żebyśmy mieli trochę prywatności. Gadaliśmy, czasami godzinami. Stała się moją przyjaciółką.

Nie dotykałem jej.

Powiedziała, że po tym, co się stało z tamtym chłopcem, bała się jakiegokolwiek fizycznego kontaktu. Powiedziała, że nie rozumie, co się z nią dzieje, i już sobie nie ufa. Zapytałem, czy chciałaby mnie dotknąć, żeby sprawdzić, czy coś się stanie. Popatrzyła wtedy na mnie z przestachem, więc obiecałem, że nic złego się nie wydarzy, żeby się nie martwiła. A kiedy chwyciłem jej dłoń, nieśmiało, czekając na katastrofę...

Nic.

Nie wydarzyło się nic poza tym, że Juliette zalala się łzami. Rzuciła mi się w ramiona i płakała, mówiąc, że była przerażona. Bała się, że coś jest z nią nie tak, że zmieniła się w potwora...

Spędziliśmy razem zaledwie miesiąc.

Jednak było w niej coś, co mi odpowiadało, od samego początku. Ufałem jej. Wydawała mi się bliska, jakbyśmy znali się od zawsze. Ale wiedziałem też, że to się wydawało melodramatyczne, więc zachowałem tę myśl dla siebie.

Opowiedziała mi o swoim życiu. O okropnych rodzicach. Podzieliła się ze mną swoimi lękami, więc ja zdradziłem jej swoje. Wytłumaczyłem sytuację z mamą i przyznałem, że nie wiem, co się z nią dzieje, i martwię się, że umrze.

Juliette zależało na mnie. Słuchała mnie tak, jak nikt wcześniej.

To była najbardziej niewinna relacja, jaką kiedykolwiek miałem z dziewczyną, a jednak znaczyła dla mnie więcej niż każda inna. Pierwszy raz od lat czułem, że nie jestem zupełnie sam.

W dniu, kiedy się dowiedziałem, że zostaje przeniesiona, przyciągnąłem ją blisko. Przycisnąłem twarz do jej włosów, poczułem jej zapach, a ona się rozplakała. Powiedziała, że się boi, a ja obiecałem, że spróbuję coś poradzić – obiecałem, że porozmawiam z ojcem, chociaż wiedziałem, że go ta sprawa nie obejdzie...

A potem on nagle się zmaterializował.

Wyrwał ją z moich objęć, a ja zauważyłem, że ma na sobie rękawiczki.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknął. – Oszalałeś? Całkiem się już pogubiłeś?

– Tato – odparłem, panikując. – Nic się nie stało. Tylko się żegnaliśmy.

On otworzył szeroko oczy, zszokowany. I kiedy się odezwał, zniżył głos do szeptu.

– Tylko się... Tylko się żegnaliście?

– Ona wyjeżdża – rzuciłem głupio.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

Przelknąłem głośno ślinę.

– Chryste – powiedział, przeciągając dłonią po ustach. – Jak długo to trwa? Od jak dawna tutaj przychodzisz?

Serce waliło mi jak młot. W żyłach krążył strach. Kręciłem głową, nie mogąc dobrać głosu.

– Co robiliście? – zapytał z naciskiem ojciec, patrząc spode łba. – Dotykałeś jej?

– Nie. – Przeszył mnie gniew i odzyskałem głos, chociaż moja twarz zarumieniała się ze wstydu. – Nie, oczywiście, że nie.

– Jesteś pewien?

– Tato, dlaczego... – Pokręciłem głową, stropiony. – Nie rozumiem, dlaczego tak się zdenerwowałeś. Od kilku miesięcy naciskałeś na to, żebym spotykał się z Leną, chociaż setki razy mówiłem, że jej nie lubię, ale teraz, kiedy naprawdę... – Zawahałem się, patrząc na Juliette, której twarz była w połowie skryta za

ojcem. – Po prostu się poznawaliśmy. To wszystko.

– Poznawaliście się? – Popatrzył na mnie ze wstrętem. – Na świecie jest tyle dziewczyn, a ty zakochujesz się akurat w tej? Dzieciobójczyni, która powinna trafić do więzienia? Najprawdopodobniej szalonym króliczku doświadczalnym? Co jest z tobą nie tak?

– Tato, proszę... Do niczego nie doszło. Tylko się przyjaźnimy. Czasami sobie rozmawiamy.

– Tylko się przyjaźnicie – powiedział i zaśmiał się obłąkańczo. – Wiesz co? Pozwolę ci to zabrać ze sobą. Pozwolę ci to zachować na czas twojej nieobecności. Przemyślisz to sobie. Niech będzie dla ciebie nauczką.

– Słucham? Co takiego pozwolisz mi zabrać?

– Ostrzeżenie. – Obrzucił mnie śmiercionośnym wzrokiem. – Spróbuj czegoś podobnego jeszcze raz, a ją zabiję. Na twoich oczach.

Patrzę na niego i czuję, jak serce zaraz wyrwie mi się z piersi. To jakieś wariactwo. Przecież my nic nie zrobiliśmy. Wiedziałem, że tata pewnie się zezłości, ale w życiu bym nie podejrzewał, że zacznie jej grozić śmiercią. Inaczej nigdy bym nie podjął takiego ryzyka. A teraz...

W głowie mi się kręciło. Nie rozumiałem. On ciągnął ją przez korytarz, a ja nie rozumiałem, co się dzieje.

Nagle ona wrzasnęła.

Wrzasnęła, a ja stałem bezradnie, gdy on ją zabierał. Wykrzykiwała moje imię – wołała mnie – a on nią potrząsał, kazał jej się zamknąć, i wtedy coś we mnie umarło. Poczulem ten moment. Coś we mnie pękło, kiedy patrzyłem, jak ją odprowadza.

Nigdy wcześniej nie czułem do siebie takiej odrazy. Nigdy wcześniej nie byłem tak wielkim tchórzem.

A teraz, proszę bardzo.

Tamten dzień wydaje się częścią innego życia. Nigdy bym nie pomyślał, że jeszcze ją zobaczę.

Juliette unosi na mnie wzrok i wygląda inaczej. Jej oczy są szkliste od łez. Jej skóra straciła blask, włosy są matowe. Wydaje się chudsza. Przypomina mi mnie.

Jest wydrążona.

– Cześć – szepczę.

Po jej policzkach spływają nieme łzy.

Zachowanie spokoju wymaga ode mnie wysiłku. Muszę wyteńczyć wolę, żeby nie stracić głowy. Wiele lat temu mama ostrzegała mnie, że powinienem ukrywać swoje uczucia przed ojcem, a za każdym razem, kiedy mi się to nie udawało – za każdym razem, kiedy pozwoliłem sobie na nadzieję, że jednak nie jest potworem – on bezlitośnie mnie karał.

Nie zamierzałem powtarzać tamtych błędów. Nie chciałem, by wiedział, jak bardzo cierpię, widząc ją w tym stanie. Jakie bolesne jest dla mnie siedzenie obok i milczenie. Bezczynność.

– Co ona tutaj robi? – pytam, prawie nie rozpoznając swojego głosu.

– Jest tutaj, bo kazałem ją sprowadzić – odpowiada ojciec.

– W jakim celu? Powiedziałeś...

– Wiem, co powiedziałem. – Wzrusza ramionami. – Ale chciałem zobaczyć ten moment. Wasze ponowne spotkanie. Zawsze interesowały mnie spotkania po rozłące. Fascynuje mnie dynamika relacji międzyludzkich.

Patrzę na niego i czuję, że pierś zaraz mi eksploduje z gniewu, a jednak jakimś cudem udaje mi się nad tym zapanować.

– Sprowadziłeś ją z powrotem, żeby mnie dręczyć?

– Schlebiasz sobie, synu.

– No to w jakim celu?

– Mam dla ciebie pierwsze zadanie – oznajmia, przesuwając stertę papierów na biurku. – To będzie twoja pierwsza prawdziwa misja w roli najwyższego dowódcy i regenta tego sektora.

Z zaskoczenia otwieram usta.

– Co to ma wspólnego z nią?

Oczy mojego ojca błyszczą.

– Wszystko.

Milczę.

– Mam plan – ciągnie. – Plan, którego realizacja wymaga twojej pomocy. W tych dokumentach – wskazuje stertę stojącą przede mną – znajdziesz wszystkie niezbędne informacje na temat jej choroby. Każdy raport medyczny, każdy ślad na piśmie. Chciałbym, żebyś popracował nad tą dziewczyną. Resocjalizował ją. A potem chciałbym, żebyś uczynił z jej zdolności broń, którą będziemy mogli wykorzystać na własny użytek.

Patrzę mu w oczy, nie potrafię ukryć przerażenia na wieść o takiej sugestii.

– Dlaczego? Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie? Dlaczego prosisz mnie o coś takiego, skoro znasz naszą historię?

– Nadajesz się do tego zadania jak nikt inny. Szkoda marnować mojego czasu na tłumaczenie tego teraz, ponieważ jutro nie będziesz pamiętał większości tej rozmowy...

– Słucham? – Marszczę brwi. – Dlaczego miałbym...

– ...ale was dwoje wydaje się łączyć jakaś nierozzerwalna więź, która, mam nadzieję, zainspiruje dziewczynę do pełnego rozwinięcia swoich zdolności. I szybszego.

– To nie ma najmniejszego sensu.

Ignoruje mnie. Zerka na Juliette. Jej oczy są zamknięte, głowa opiera się o ścianę. Dziewczyna sprawiałaby wrażenie pogrążonej we śnie, gdyby nie lzy płynące powoli po jej twarzy.

Patrząc na nią, czuję ból.

– Jak widzisz – ciągnie ojciec – w tej chwili trochę traci kontakt z rzeczywistością. Dostała silne środki. Przez ostatnie dwa lata wiele przeszła. Nie mieliśmy wyboru i musieliśmy ją zmienić w swego rodzaju króliczka doświadczalnego. Jestem pewien, że potrafisz sobie wyobrazić, jak to wygląda.

Patrzy na mnie z lekkim uśmiechem. Wiem, że na coś czeka. Na reakcję. Na mój gniew.

Nie zamierzam dawać mu tej satysfakcji.

Jego usta się rozciągają.

– Tak czy inaczej – rzuca radośnie – umieszczę ją z powrotem w izolatce na najbliższe sześć miesięcy, może rok, w zależności od tego, jak się potoczą sprawy. Możesz wykorzystać ten czas na przygotowania. Na obserwację.

Wciąż walczę z emocjami. Nie mogę wydobyć głosu.

– Jakiś problem? – pyta.

– Nie.

– Pamiętasz, oczywiście, o ostrzeżeniu, jakiego udzieliłem ci podczas jej poprzedniego pobytu tutaj.

– Oczywiście – odpowiadam beznamiętnie. Martwo.

A potem, zupełnie niespodziewanie:

– Jak się miewa Lena? Mam nadzieję, że dobrze.

– Nie wiem.

Prawie tego nie słysząc, ale zauważam niewielką zmianę w jego tonie. Pobrzmiewa w nim nuta złości, gdy ojciec mówi:

– A to dlaczego?

– Zerwałem z nią w zeszłym tygodniu.

– I nie pomyślałeś o tym, by mi powiedzieć?

Wreszcie spoglądam mu w oczy.

– Nigdy nie rozumiałem, dlaczego chcesz, żebyśmy byli razem. Ona nie pasuje do mnie. Nigdy nie pasowała.

– Chodzi ci o to, że jej nie kochasz.

– Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek mógł ją kochać.

– I właśnie dlatego jest dla ciebie idealna.

Patrzę na niego stropiony. Przez chwilę wydawało się, że ojcu na mnie zależy. Zupełnie jakby w jakiś chory, idiotyczny sposób próbował mnie chronić.

W końcu wzdycha.

Sięga po długopis i kartkę, po czym zaczyna pisać.

– Sprawdzę, co da się zrobić, żeby naprawić to, co zniszczyłeś. Matka Leny pewnie wpadła w histerię. A ty tymczasem wracaj do pracy. – Kiwa głową, wskazując stertę papierów, które dla mnie odłożył.

Niechętnie sięgam po folder na samej górze.

Przeglądam pobieżnie dokumenty, sprawdzając ogólny zarys misji, a potem zaskoczony unoszę wzrok na ojca.

– Dlaczego z dokumentów wynika, że to był mój pomysł?

Widzę jego wahanie. Ojciec odkłada długopis.

– Bo mnie nie ufasz.

Wpatruję się w niego, próbując zrozumieć.

On przechyla głowę i mówi:

– Gdybyś wiedział, że to mój pomysł, nigdy byś nie uwierzył, że jest dobry, prawda? Szukałbyś dziur. Spisków. Nigdy byś nie poświęcił się pracy tak, jakbym sobie tego życzył. Poza tym – stwierdza, znowu chwytając długopis – dwie pieczenie, jeden ogień. Nadszedł czas, żeby przerwać zakłęte koło.

Odkładam folder i kiedy się odzywam, staram się panować nad tonem.

– Zupełnie nie rozumiem, co masz na myśli.

– Mam na myśli twój nowy eksperyment – odpowiada chłodno ojciec. – Twoją tragedijkę. To – wskazuje mnie i Juliette – musi się skończyć. Ona raczej nie wróci do swoich sentymentów, kiedy się obudzi i odkryje, że nie tylko nie jesteś jej przyjacielem, ale stałeś się ciemiężcą. Prawda?

Nie potrafię już dłużej powstrzymać wściekłości i hysterii, w końcu przenikają do mojego głosu.

– Dlaczego mi to robisz? Dlaczego dręczysz mnie z takim zapalem?

– Czy to taka szalona myśl, że mógłbym chcieć wyświadczyć ci przysługę? – pyta z uśmiechem. – Przyjrzyj się dobrze dokumentom, synu. Skoro tak bardzo chcesz uratować matkę, być może wreszcie masz na to szansę.

Nabawiłem się obsesji na punkcie czasu.

Wciąż mogę jedynie zgadywać, jak długo tutaj jestem i bez przerwy gapię się na te ściany. Nie słyszę żadnych głosów, jedynie momentami docierają do mnie jakieś zniekształcone skrawki prowadzonych daleko stąd rozmów. Żadnych twarzy, nie pojawił się nikt, by powiedzieć mi, gdzie jestem i co mnie czeka. Tygodniami obserwowałem cienie, które pojawiały się, by wpuścić i przegonić światło z mojej celi, ich ruchy były widoczne przez okienko i stały się jedynym sposobem na wyznaczanie dni.

Wąska, prostokątna szpara w moich drzwiach otwiera się nagle i do środka wpada blask sztucznego światła.

Zapamiętuję to.

Jedna parująca bułka – bez tacy, bez opakowania, bez sztućców – zostaje wepchnięta przez tę szparę, a ja wciąż nie mam dość szybkich odruchów, by złapać ją, zanim wyląduje na brudnej podłodze. Mam dość oleju w głowie, by domyślić się, że ta niewielka porcja jedzenia, którą codziennie dostaję, jest zatruta. Dawka jest zbyt mała, żeby mnie zabić. Za to dość duża, żeby mnie spowolnić. Moim ciałem wstrząsają delikatne dreszcze, lecz zmuszam się, żeby nie zamykać oczu, i obracam miękką bułkę w dłoni, szukając informacji w kruszącej się skórce. Nie ma żadnego znaku. Nic jej nie wyróżnia. Być może nic nie znaczy.

Nie da się tego sprawdzić.

Rytuał wydarza się dwa razy dziennie. Dwa razy dziennie karmią mnie nędzną, pozbawioną smaku porcją jedzenia. Całymi godzinami moje myśli błądzą, mój umysł zanurza się w halucynacjach. Jestem spowolniony. Ospały.

Przez większość dni zachowuję post.

Żeby mieć przejrzyste myśli, pozbyć się z ciała trucizny i zebrać informacje. Muszę znaleźć stąd wyjście, zanim będzie za późno.

W niektóre wieczory, gdy jestem najsłabszy, moja wyobraźnia działa na przyspieszonych obrotach; mój umysł zalewają potworne wizje tego, co mogło się jej przydarzyć. Niewiedza o tym, co się z nią stało, jest torturą. Niewiedza o tym, gdzie jest, jak się czuje i czy ktoś sprawia jej ból.

Jednak to koszmary są chyba najbardziej niepokojące.

A przynajmniej wydaje mi się, że to są koszmary. Trudno oddzielić fakty od fikcji, sny od rzeczywistości; zbyt długo trucizna krążyła mi w żyłach. Jednak słowa Nazeery sprzed sympozjum – jej ostrzeżenie, że Juliette była kimś innym, że Max i Evie są jej prawdziwymi, biologicznymi rodzicami...

Wtedy nie chciałem w to wierzyć.

Wydawało się, że coś tak perwersyjnego nie może być prawdziwe. Nawet mój ojciec miał granice, których by nie przekroczył. Nawet Przywrócenie miało jakieś poczucie moralności. Tak sobie powtarzałem.

Jednak widziałem ich, gdy mnie wynoszono – zobaczyłem znajome twarze Evie i Maximilliana Sommersów, najwyższej przywódczyni Oceanii oraz jej męża. I od tamtej pory ciągle o nich myślę.

Byli kluczowymi badaczami w naszej grupie, cichymi mózgami Przywrócenia. Owszem, należeli do wojska, lecz zajmowali się medycyną. Często trzymali się na uboczu. Aż do niedawna miałem z nimi zaledwie garść wspomnień.

Do czasu, aż w mojej głowie pojawiła się Ella.

Jednak nie wiem, jak zyskać pewność, że to, co widzę, jest prawdą. Nie mam jak potwierdzić, że to nie jest po prostu kolejna część tortur. Nie da się tego poznać. Cierpię katusze. Czuję się, jakby atakowano mnie jednocześnie psychicznie i fizycznie, a ja nie wiem, jak ten atak odeprzeć. Zacząłem zaciskać zęby tak mocno, że dostałem migreny. Zmęczenie powoli przejmuję mój umysł. Jestem prawie pewien, że mam przynajmniej dwa pęknięte żebra, i odpoczywam wyłącznie na stojąco, bo to jedyna pozycja, która łagodzi ból. Łatwo byłoby się poddać. Odpuścić. Ale nie mogę pozwolić im wygrać.

Nie.

Dlatego zbieram dane.

Całe życie byłem przygotowywany na takie chwile przez ludzi, dla których to jest chleb powszedni, a oni teraz do cna wykorzystają ten fakt. Oczekują, że udowodnię, czy zasługuję na przetrwanie, a ta świadomość niespodziewanie przynosi mi niezbędną spokój. W tym miejscu, gdzie próbują mnie powoli otruć, opuszcza mnie niezmiennie towarzyszący mi lęk.

Zamiast tego czuję się jak w domu. To otoczenie jest mi znajome.

Adrenalina dodaje mi sił.

W innych okolicznościach założyłbym, że moje posiłki są przynoszone raz rano i raz wieczorem, lecz wiem, że zakładanie czegokolwiek jest błędem. Obserwowałem cienie dość długo, by wiedzieć, że nie jestem karmiony o regularnych godzinach, a ten chaos jest intencjonalny. Musi w nim tkwić jakaś wiadomość: sekwencja liczb, wzór informacji. Coś, co mi umyka, ale na pewno istnieje, ponieważ jak wszystko inne jest testem.

Znalazłem się w rękach najwyższego przywódcy.

Nic tutaj nie jest przypadkowe.

Zmuszam się do zjedzenia ciepłej, pozbawionej smaku bułki, chociaż nie znoszę tego, jak gumowate białe ciasto przykleja mi się do podniebienia. Żałuję, że nie mam szczoteczki do zębów. Dostałem własną umywalkę i sedes, lecz niewiele więcej do utrzymywania higieny, co stanowi chyba największe upokorzenie. Przetykam ostatni kęs i walczę z mdłościami, kiedy nagle przechodzą mnie gorące ciarki. Po plecach spływają mi krople potu, zaciskam pięści, żeby nie poddać się zbyt szybko działaniu środków.

Potrzebuję odrobinę więcej czasu.

Jest tutaj jakaś wiadomość, lecz nie wiem jeszcze gdzie. Może w ruchach cieni. Albo w częstotliwości otwierania i zamykania szpary. Może być w nazwie jedzenia, które mi podają, a może w dokładnej liczbie kroków słyszanych przeze mnie każdego dnia – a być może w okazjonalnym, niespodziewanym pukaniu w moje drzwi, które przerywa ciszę.

Próbują mi coś przekazać, coś powinienem być w stanie odszyfrować – robię głęboki wdech, wyciągam na ślepo ręce, kiedy ból przeszywa mi kiszki...

Nie mogę tego rozgryźć, myślę, chociaż trucizna ciągnie mnie w dół. Padam do tyłu, na łokcie. Zaczynam mrugać, mój umysł się topi, lecz odliczam jeszcze dźwięki zza drzwi...

jeden ciężki krok

dwa wlekące się kroki

jeden ciężki krok

Coś w tym jest, jakaś celowość, która do mnie przemawia. Znam to. Znam ten język, znam jego nazwę, mam ją na czubku języka, ale ciągle mi umyka.

Już zdążyłem zapomnieć, co próbowałem osiągnąć.

Moje ręce słabną. Głowa uderza w podłogę z głuchym łupnięciem. Moje myśli stapiają się z ciemnością.

Koszmary chwytają mnie za gardło.

KENJI

Myślałem, że zdarzało mi się już lądować w naprawdę kijowych miejscach, ale to jest jakiś kompletnie nowy poziom zjebania. Idealna ciemność. Żadnych dźwięków prócz odległych odgłosów dręczonych więźniów. Jedzenie jest obrzydliwe i wrzucają je przez otwór w drzwiach. Nie ma łazienki, jedynie raz dziennie otwierają drzwi i możesz się zabić, próbując znaleźć obrzydliwe prysznic i toalety. Wiem, gdzie jestem. Pamiętam, kiedy Juliette...

Ella. Ella.

Ella opowiadała mi o tym miejscu.

W niektóre wieczory rozmawialiśmy o nim godzinami. Chciałem tego słuchać. Chciałem wiedzieć wszystko. I tylko dzięki tym rozmowom wiem, co oznaczają otwarte drzwi.

Właściwie to trudno mi ocenić, jak długo tutaj tkwię – tydzień? Może dwa? Nie rozumiem, dlaczego mnie po prostu nie zabiją. Próbuję wmawiać sobie, w każdej minucie każdego przekłętego dnia, że robią to, żeby nam namieszać w głowach, że udręczony umysł to coś znacznie gorszego niż kulka w głowie, jednak nie umiem kłamać. To miejsce zaczyna źle na mnie działać.

Czuję, że zaczynam tracić zmysły.

Na przykład słyszę różne rzeczy. Widzę. Wpadam w panikę, próbując wyobrazić sobie, co mogło się przytrafić moim przyjaciółom, albo rozmyślać o tym, czy kiedykolwiek zdołam się stąd uwolnić.

Staram się zapamiętać o Nazeerze.

Kiedy o niej myślę, mam ochotę uderzyć się w twarz. Mam ochotę strzelić sobie prosto w gardło.

Kiedy o niej myślę, dopada mnie gniew tak silny, że przez moment jestem przekonany, że zdołam uwolnić się z tych neonowych kajdan jedynie dzięki fizycznej sile. To się jednak nigdy nie dzieje. Te bransolety są niezniszczalne i pozbawiają mnie zdolności. Bije od nich słaby, pulsujący blask, który jest jedynym źródłem światła w tym miejscu.

J powiedziała mi, że w jej celi było okno. W mojej nie ma.

Nagle rozlega się ostry, bzyczący dźwięk. Słyszę kliknięcie ciężkich metalowych drzwi. Skaczę na równe nogi.

Drzwi się otwierają.

Po omacku pokonuję mokry korytarz, a słabe, pulsujące światło kajdan niewiele mi w tym pomaga.

Prysznic jest szybki i zimny. Pod wieloma względami okropny. Nie ma tu żadnych ręczników, więc cały czas umieram z zimna, dopóki nie wrócę do swojej celi, gdzie mogę owinąć się cieniutkim kocem. Myślę teraz o tym kocu, próbując zapanować nad błądzącymi myślami i dzwonieniem zębów. Ruszam w drogę przez ciemny tunel.

Tego, co się wydarza potem, nie widzę.

Ktoś podchodzi do mnie od tyłu i zaczyna dusić chwytem wykonanym tak sprawnie, że nie ma sensu walczyć. Za chwilę umrę.

Strasznie dziwny sposób na odejście, ale trudno. To koniec.

Cholera.

JULIETTE

ELLA

Pan Anderson mówi, że mogę zjeść obiad w jego domu, zanim poznam nową rodzinę. To nie był jego pomysł, ale kiedy zasugerował to jego syn – Aaron, tak się nazywał – pan Anderson nie protestował.

Cieszę się.

Nie jestem jeszcze gotowa, żeby zamieszkać z obcymi ludźmi. Boję się i martwię o tak wiele rzeczy, że nawet nie wiem, od czego zacząć. Przede wszystkim czuję gniew. Jestem zła na rodziców za to, że umarli. Zła za to, że mnie zostawili.

Jestem teraz sierotą.

Za to może zyskałam nowego przyjaciela. Aaron powiedział, że ma osiem lat – jakieś dwa więcej ode mnie – więc i tak były nikłe szanse, żebyśmy trafili do tej samej klasy, ale kiedy powiedziałam, że pewnie będziemy w tej samej szkole, odparł, że nie. On nie chodzi do szkoły publicznej. Jego ojciec bardzo pilnuje takich rzeczy i Aaron od zawsze uczył się w domu, z prywatnymi nauczycielami.

W drodze do jego domu siedzimy obok siebie w aucie.

– Tata nigdy nie pozwala mi zapraszać gości – mówi cicho. – Czyli musi cię lubić.

Uśmiecham się, w sekrecie czując ulgę. Naprawdę mam nadzieję, że dzięki temu będę miała nowego przyjaciela. Tak strasznie się bałam przeprowadzki, tak strasznie się bałam nowego miejsca i samotności, ale w towarzystwie tego dziwnego jasnowłosego chłopaka z zielonymi oczami zaczynam czuć, że może będzie dobrze.

Przynajmniej teraz, nawet jeśli nie polubię nowych rodziców, nie będę zupełnie sama. Ta myśl przynosi mi jednocześnie radość i smutek.

Spoglądam na Aarona i się uśmiecham. On odpowiada tym samym.

Kiedy docieramy do domu, przez chwilę podziwiam go z zewnątrz. To piękny, stary budynek pomalowany na śliczny odcień niebieskiego. Ma wielkie białe okiennice i biały płot wokół ogródka z przodu. Na granicy rosną różowe róże, które wyglądają przez szpary między sztachetami, a całość wygląda tak przytulnie i miło, że od razu czuję się jak u siebie.

Mój niepokój znika.

Jestem niezmiernie wdzięczna za pomoc pana Andersona. I za to, że poznałam jego syna. Wtedy zdaję sobie sprawę, że pan Anderson mógł sprowadzić Aarona na dzisiejsze spotkanie tylko po to, żebym poznała kogoś w swoim wieku. Może próbował sprawić, żebym poczuła się pewniej.

Drzwi otwiera nam piękna jasnowłosa kobieta. Uśmiecha się do mnie promiennie i od razu przyciąga mnie w objęcia, nawet się nie witając. Ściska mnie tak, jakbyśmy się znały od zawsze, a w tym przytuleniu jest coś tak kojącego, że ku zażenowaniu wszystkich dokoła wybucham płaczem.

Potem nie mogę im spojrzeć w oczy – kobieta powiedziała mi, że nazywa się Leila Anderson i mogę jej mówić po imieniu, jeśli tylko zechcę, a ja wycieram łzy, zawstydzona swoją reakcją.

Pani Anderson każe Aaronowi zabrać mnie na górę do jego pokoju, a ona w tym czasie ma przygotować dla nas jakieś przekąski.

Wciąż pociągając nosem, podążam za chłopakiem.

Jego pokój okazuje się ładny. Siadam na łóżku i oglądam różne rzeczy. Panuje tutaj porządek, nie licząc leżącej na szafce nocnej rękawicy bejsbolowej i dwóch brudnych piłek na podłodze. Aaron zauważa moje spojrzenie i zaraz sprząta. Wydaje się zażenowany, kiedy odkłada je do szafy, a ja nie rozumiem dlaczego. Sama nigdy nie przywiązywałam wagi do porządku. Mój pokój był zawsze...

Waham się.

Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądał mój pokój, ale z jakiegoś powodu nie mogę. Próbuję jeszcze raz.

Nic.

I wtedy zdaję sobie sprawę, że nie pamiętam też twarzy rodziców.

Przeszywa mnie strach.

– Co się stało?

Głos Aarona jest taki ostry – taki przenikliwy – że zdumiona unoszę wzrok. Chłopak patrzy na mnie,

stojąc po drugiej stronie pokoju, a niepokój na jego twarzy odbija się w lustrze na drzwiach szafy.

– Co się stało? – powtarza. – Wszystko w porządku?

– Nie... nie mogę... – Urywam, czując, jak moje oczy napędniają się łzami. Nie cierpię tego, że ciągle płaczę. Nie znoszę płakać. – Nie mogę przypomnieć sobie rodziców. Czy to normalne?

Aaron podchodzi i siada obok mnie na łóżku.

– Nie wiem – przyznaje.

Na chwilę oboje milkniemy i z jakiegoś powodu to pomaga. Z jakiegoś powodu siedzenie obok niego sprawia, że czuję się mniej samotna. Mniej przerażona.

W końcu moje serce przestaje dudnić.

Po wytarciu łez mówię:

– Nie brakuje ci czasami towarzystwa przez to, że uczysz się w domu?

Aaron kiwa głową.

– Dlaczego tata nie pozwala ci chodzić do normalnej szkoły?

– Nie wiem.

– A co z przyjęciami urodzinowymi? – dopytuję. – Kogo zapraszasz?

Aaron wzrusza ramionami.

– Nigdy nie miałem przyjęcia urodzinowego – odpowiada, wpatrując się w swoje dłonie.

– Jak to? Naprawdę? – Przyglądam mu się. – Ale takie przyjęcia są super. Kiedyś... – Mrugam i urywam.

Nie pamiętam, co chciałam powiedzieć.

Marszczę brwi, próbując sobie coś przypomnieć, coś ze swojego dawnego życia, lecz wspomnienia nie przychodzą. Potrząsam głową. Może później się uda.

– Nieważne – rzucam, biorąc szybki oddech. – Musisz urządzić przyjęcie. Wszyscy tak robią. Kiedy masz urodziny?

Aaron powoli unosi na mnie wzrok i odpowiada, a jego twarz pozostaje bez wyrazu.

– Dwudziestego czwartego kwietnia.

– Dwudziestego czwartego kwietnia – powtarzam z uśmiechem. – To świetnie. Możemy zjeść tort.

Dni mijają pośród zduszonej paniki, wykańczającego crescendo prowadzącego w objęcia szaleństwa. Wskazówki zegara wydają się zaciskać na moim gardle, a jednak nic nie mówię, nic nie robię.

Czekam.

Udaję.

Jestem tutaj od dwóch tygodni, sparaliżowana, utknęłam w więzieniu tego podstępny, tego środka. Evie nie wie, że jej wysiłki, by opróżnić mój umysł, spełzły na niczym. Traktuje mnie jak obcy obiekt, odległy, lecz nie wrogi. Kazała zwracać się do niej po imieniu, oznajmiła, że jest moim lekarzem, a potem zaczęła opowiadać mi szczegółowe kłamstwa o tym, jak to przeżyłam potworny wypadek, jak to cierpię na amnezję i muszę zostać w łóżku, żeby dojść do siebie.

Nie ma pojęcia, że każdego ranka moim ciałem wstrząsają dreszcze, że moją skórę oblewa pot, a w gardle czuję kwaśny posmak żółci. Nie ma pojęcia, co się ze mną dzieje. Nigdy nie zrozumie choroby, która toczy moje serce. Nie jest w stanie pojąć tego cierpienia.

Przypominania sobie.

Te ataki nigdy się nie kończą.

Wspomnienia napierają na mnie we śnie, każą mi prostować się nagle pod wpływem nawracającej paniki. Później witam się ze wschodem słońca w łazience, od moich włosów bije zapach wymiocin, których posmak czuję w ustach. Każdego ranka z trudem udaje mi się przeczołgać z powrotem do łóżka i posłać Evie wymuszony uśmiech na początek nowego dnia.

Wszystko jest nie tak.

Świat wydaje się dziwny. Zapachy zbijają mnie z tropu. Słowa sprawiają wrażenie obcych, gdy je wymawiam. Nawet moje imię wydaje się jednocześnie znajome i nie. Moje wspomnienia ludzi i miejsc są zniekształcone, postrzępione na brzegach, jakbym oglądała je na wyświechtanym gobelinie.

Jednak Evie. Moja matka.

Ją pamiętam.

– Evie? – Wystawiam głowę z łazienki, przyciskając szlafrok do mokrego ciała. Szukam w pokoju jej

twarży. – Evie, jesteś tam?

– Tak? – Jej głos rozlega się sekundy przed tym, jak ciało staje przede mną, trzymając w ręku świeżą pościel. Znowu ją zmienia. – Potrzebujesz czegoś?

– Skończyły się czyste ręczniki.

– Och, temu się da łatwo zaradzić – odpowiada i szybko wychodzi. Ledwo zdążę się obejrzeć, a ona wciska mi w dłonie ciepły ręcznik, uśmiechając się przy tym słabo.

– Dzięki – rzucam, zmuszając się do rozciągnięcia ust, do wskrzeszenia iskry w oku. Znikam w łazience.

W pomieszczeniu unosi się para; lustra zaszyły mgłą. Ściskam ręcznik w jednej ręce, obserwując spływające po mojej nagiej skórze krople wody. Para owinęła się wokół mnie niczym materiał kombinezonu; wycieram wilgotne metalowe kajdany na nadgarstkach i kostkach. Ich niebieski blask nieustannie przypomina mi, że trafiłam do piekła.

Z ciężkim oddechem padam na podłogę.

Jest mi zbyt ciepło, żebym się ubrała, nie chcę jeszcze rezygnować z prywatności, więc siedzę w łazience naga, nie licząc kajdan, i opuszczam twarz w dłonie.

Moje włosy znowu są długie.

Odkryłam te ciemne fale pewnego ranka, a kiedy o nie zapytałam, prawie wszystko zepsułam.

– Co masz na myśli? – rzuciła Evie, patrząc na mnie zmrużonymi oczami. – Przecież zawsze miałaś długie włosy.

Zamrugałam wtedy, przypominając sobie, że przecież udaję.

– Wiem.

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, po czym odpuściła, lecz wciąż się martwię, że przyjdzie mi zapłacić za tamten błąd. Czasami nie jestem pewna, jak się zachować. Mój umysł znajduje się pod ostrzałem, każdego dnia atakują go nieznane mi wcześniej emocje. Moje wspomnienia rzekomo zostały usunięte. A jednak ich przybywa.

Zaczynam wszystko sobie przypominać.

Śmiech matki, szczupłe nadgarstki siostry, zapach jej szamponu i znajome uczucie uścisku jej rąk.

Im więcej przeszłości do mnie wraca, tym mniej obce wydaje mi się to miejsce. Tym mniej te dźwięki i zapachy – te góry widoczne w oddali – wydają się nieznane. Jest zupełnie tak, jakby różne, najbardziej rozpaczliwe części mojej jaźni były zszywane razem, jakby ziejące dziury w moim sercu i głowie zasklepiały się, wypełniając powoli odczuciami.

To miejsce było kiedyś moim domem. Ci ludzie – moją rodziną. Tego ranka obudziłam się ze wspomnieniem ulubionego odcienia szminki mojej mamy.

Krwistoczerwonego.

Pamiętam, jak zdarzało mi się ją oglądać, gdy je malowała. Raz zakradłam się do jej pokoju i ukradłam błyszczącą metalową tubkę; pamiętam, jak mnie znalazła, z dłońmi i buzią posmarowanymi na czerwono, gdy w groteskowy sposób próbowałam się do niej upodobnić.

Im bardziej przypominam sobie rodziców, tym lepiej zaczynam wreszcie rozumieć samą siebie – swoje liczne lęki i kompleksy, tysiąc przypadków zagubienia, poszukiwania czegoś, czego nie potrafiłam określić.

Czuję, jak mnie to miazdzy.

A jednak...

W tej nowej, trudnej rzeczywistości jedyną osobą, którą rozpoznaję, jest on. Moje wspomnienia z nim – nasze wspomnienia – coś we mnie zmieniły. Gdzieś bardzo głęboko. Czuję się inaczej. Jestem cięższa, jakby moje stopy przywarły mocniej do podłoża, jestem wolna dzięki pewności, mogę zapuścić korzenie w sobie samej, mogę zaufać sile i wytrwałości własnego serca. To odkrycie dodaje mi mocy; ta wiara, że nawet kiedy nie jestem sobą, będę podejmować właściwe decyzje. Ta wiedza, że przynajmniej tego jednego błędu nie popełniłam.

Aaron Warner Anderson jest jedyną nicią Ariadny, która kiedykolwiek pomagała mi się odnaleźć. Tylko on jeden był od zawsze. Tylko to jedno bicie serca nigdy nie gubiło rytmu.

Aaron, Aaron, Aaron, Aaron.

Nie miałam pojęcia, jak wiele straciliśmy, jak bardzo za nim tęskniłam. Nie miałam pojęcia, jak

desperacko walczyliśmy. Ile lat zmagaliśmy się z przeciwnościami, żeby spędzić ze sobą kilka chwil, kilka minut.

Wypełnia mnie to bolesną radością.

Lecz kiedy przypominam sobie, w jakiej atmosferze się rozdzieliliśmy, mam ochotę wrzeszczeć.

Nie wiem, czy jeszcze kiedyś go zobaczę.

Mimo to trzymam się kurczowo nadziei, że żyje. Evie powiedziała, że nie może go zabić. Powiedziała, że nie ma wystarczającej władzy, żeby podjąć decyzję o jego egzekucji. A jeśli Aaron wciąż żyje, znajdę sposób, żeby do niego dotrzeć. Jednak muszę być ostrożna. Ucieczka z tego nowego więzienia nie będzie łatwa – w tej chwili Evie prawie nigdy nie pozwala mi opuszczać pokoju. Co gorsza, w ciągu dnia podaje mi środki, przez które mój umysł pozostaje trzeźwy jedynie na kilka godzin. Nie zostaje dość czasu, żeby pomyśleć, a co dopiero zaplanować ucieczkę, zrobić rekonesans albo chociaż przejść się po korytarzu za drzwiami.

Tylko raz pozwoliła mi wyjść.

W pewnym sensie.

Pozwoliła mi wyjść na balkon z widokiem na podwórze. To niewiele, ale ten mały krok pomógł mi zorientować się chociaż częściowo, gdzie jesteśmy i jak wygląda budynek, w którym się znajdujemy.

Oblał mnie zimny pot.

Okazało się, że budynek stoi w centrum miasteczka pośrodku niczego. Wychyliłam się za barierkę, wyciągając szyję, żeby ocenić jego rozmiary, lecz nie byłam w stanie dojrzeć wszystkiego. Z tej perspektywy dostrzegałam przynajmniej dwadzieścia budynków połączonych ulicami, po których jeździli ludzie w miniaturowych samochodach elektrycznych. Widziałam mężczyzn ładujących i rozładowujących towary na przystani, jeżdżące w tę i w tę ogromne ciężarówki. W oddali był też pas do lądowania, przy którym na betonie ustawiono równo rząd odrzutowców. Wtedy zrozumiałam, że właśnie trwa ogromna operacja – coś znacznie bardziej przerażającego niż to, co się działo w Sektorze 45.

To jest baza międzynarodowa.

To musi być jedna ze stolic. Cokolwiek to jest – cokolwiek się tutaj dzieje – Sektor 45 wydaje się przy tym jakimś żartem.

Tutaj jakimś cudem wzgórza są wciąż zielone i piękne, powietrze jest świeże i chłodne, a wszystko wydaje się pełne życia. Moje obliczenia raczej nie są dokładne, ale myślę, że zbliżamy się do końca kwietnia – a widok za oknem nie przypomina niczego, co widziałam w Sektorze 45: ciągnące się na horyzoncie wysokie góry z ośnieżonymi szczytami, porośnięte gęstą zielenią wzgórza, drzewa z jaskrawymi, zmieniającymi kolory liśćmi, a do tego ogromne, mieniące się w słońcu jezioro, które chyba jest dość blisko, by dało się do niego dobiec. Ta ziemia wygląda zdrowo. Promiennie.

Myślałam, że już dawno utraciliśmy taki świat.

Evie ostatnio podaje mi już mniej środków, lecz bywa, że moje pole widzenia jest postrzępione na brzegach, jakby sygnał słabł w oczekiwaniu na ponowne załadowanie danych.

Czasami się zastanawiam, czy ona mnie czymś truje.

Właśnie teraz mnie to zastanawia, gdy wspominam miskę zupy, którą wysłała do mojego pokoju w porze śniadania. Wciąż czuję jej lepki ślad na języku i podniebieniu.

Niepokój ściska mi żołądek.

Podnoszę się z podłogi łazienki, moje kończyny są powolne i ciężkie. Potrzebuję chwili, żeby odzyskać równowagę. Efekty eksperymentu sprawiły, że jestem pusta w środku.

Wypełniona jedynie gniewem.

Zupełnie znikąd mój umysł podsuwa obraz twarzy Evie. Pamiętam jej oczy. Brązowe, o głębokim spojrzeniu. Bezdennym. Mają ten sam kolor co jej włosy. Ścina je w krótkiego, prostego boba, a ta ciężka zasłona smaga jej brodę przy każdym ruchu. To piękna kobieta, piękniejsza po pięćdziesiątce niż jako dwudziestolatka.

Nadchodzi.

To słowo pojawia się zupełnie nagle, a zaraz po nim przeszywa mnie panika. Nie mija nawet sekunda i rozlega się głośnie pukanie do drzwi.

– Tak?

– Ella, jesteś tam już prawie pół godziny, a wiesz, co myślę o marnowaniu cz...

– Evie. – Zmuszam się do śmiechu. – Zaraz skończę i wyjdę.

Pauza.

Cisza rozciąga sekundy do wieków. Serce mi dudni, podchodzi do gardła. Do ust.

– Dobrze – odpowiada powoli Evie. – Pięć minut.

Zamykam oczy i wypuszczam powietrze, przyciskając ręcznik do pulsującej tętnicy na szyi. Szybko się wycieram, po czym osuszam włosy i wkładam szlafrok.

Wreszcie wychodzę i rozkoszuję się tym, jak chłodne powietrze poranka owiewa moją skórę. Jednak nie zdążam nawet odetchnąć, kiedy ona znowu się do mnie odzywa.

– Włóż to – mówi, wciskając mi w rękę sukienkę. Uśmiecha się, lecz nie pasuje to do niej. Wygląda jak wariatka. – Uwielbiasz żółty.

Z zaskoczeniem odbieram od niej sukienkę, czując nagłe, dezorientujące déjà vu.

– Oczywiście – odpowiadam. – Uwielbiam żółty.

Jej uśmiech staje się cieńszy, jakby miał zaraz przewrócić jej twarz na lewą stronę.

– Mogłabyś...? – Wskazuję niewyraźnym gestem własne ciało.

– Och – rzuca spłoszona Evie. – Racja. – Posyła mi jeszcze jeden uśmiech i dodaje: – Poczekam na zewnątrz.

Moje usta rozciągają się tylko trochę.

Matka mnie obserwuje. Nieustannie mnie obserwuje. Przygląda się moim reakcjom, mierzy czas moich odpowiedzi. Bez przerwy taksuje, zbiera dane. Chce potwierdzić, że jestem należycie wydrażona. Odnowiona.

Uśmiecham się szerzej.

Wreszcie robi krok do tyłu.

– Grzeczna dziewczynka – mówi cicho.

Staję na środku pokoju, przyciskając do piersi żółtą sukienkę, i patrzę, jak Evie odchodzi.

Nie pierwszy raz czuję się uwięziona w taki sposób. Już wcześniej przetrzymywano mnie wbrew mojej woli, w zamian oferując piękne ubrania i trzy sycące posiłki dziennie, jednocześnie oczekując, że będę kimś innym, a ja walczyłam – walczyłam z całych sił.

Nic dobrego z tego nie wyszło.

Przysięgałam, że gdybym mogła to powtórzyć, postąpiłabym inaczej. Powiedziałam, że gdyby dano mi drugą szansę, nosiłabym piękne ubrania, jadła pyszne posiłki i postępowała według zasad gry do czasu, aż zdołam znaleźć sposób ucieczki.

Oto moja druga szansa.

Tym razem rezygnuję ze stawiania oporu.

KENJI

Budzę się związany i zakneblowany, w uszach mi dzwoni. Mrugam, żeby lepiej widzieć. Skrępowali mnie tak mocno, że nie mogę się ruszyć, więc dopiero po chwili dociera do mnie, że nie widzę swoich nóg.

Ani nóg, ani rąk.

Nagle uderza we mnie myśl, że jestem niewidzialny.

Ale to nie moja sprawka.

Nie ja się tutaj przyniosłem, skrępowalem i zakneblowałem. Nie ja uczyniłem siebie niewidzialnym.

Tylko jedna osoba oprócz mnie byłaby w stanie to zrobić.

Rozglądam się desperacko, próbując rozgryźć, gdzie jestem i jakie mam szanse na ucieczkę, ale kiedy wreszcie udaje mi się przekręcić na bok – na tyle, by wyciągnąć szyję – zdaję sobie sprawę z przerażeniem, że znajduję się na pokładzie samolotu.

I wtedy – głosy.

Rozmawiają Anderson i Nazeera.

Słyszę, jak dyskutują o tym, że niedługo lądujemy, po czym mija kilka minut i faktycznie czuję szarpnięcie.

Samolot trzęsie się przez chwilę i mam wrażenie, że trwa to wieki, ale w końcu silnik gaśnie.

Anderson wychodzi. Nazeera zostaje w środku, mówiąc coś o tym, że musi posprzątać. Zamyka drzwi i wyłącza kamery, nie zwracając na mnie uwagi.

Wreszcie jej kroki rozbrzmiewają coraz bliżej mojej głowy. Stopą przewraca mnie na plecy, a potem w jednej chwili moja niewidzialność znika. Nazeera patrzy na mnie jeszcze przez moment, milcząc.

Wreszcie się uśmiecha.

– Cześć – mówi, zdejmując mi knebel. – Jak się trzymasz?

Po tych słowach postanawiam, że będę musiał ją zabić.

– Okej – rzuca. – Wiem, że pewnie się zdenerwowałeś...

– ZDENERWOWAŁEM? MYŚLISZ, ŻE SIĘ ZDENERWOWAŁEM? – Szarpnięcie mocno. – Jezu Chryste, kobieto, weź zdejmij te przeklęte więzy...

– Uwolnię cię, kiedy się uspokoisz...

– JAK MOŻESZ OCZEKIWAĆ, ŻE BĘDĘ SPOKOJNY?

– Staram się uratować ci życie, więc tak, oczekuję od ciebie wiele różnych rzeczy.

Oddycham ciężko.

– Czekaj. Co takiego?

Krzyżuje ręce na piersi, patrzy na mnie z góry.

– Próbowałam ci wytłumaczyć, że naprawdę nie było innego sposobu. I nie martw się, twoim przyjaciółom nic nie jest. Powinniśmy być w stanie wydostać ich z zakładu, zanim odcisnie na nich trwałe piętno.

– Słucham? Jakie trwałe piętno?

Nazeera wzdycha.

– Nieważne, nie udało mi się wymyślić innego sposobu na to, by wykraść samolot i nie ściągnąć na siebie żadnej uwagi. Musiałam namierzyć Andersona.

– Czyli przez cały ten czas wiedziałaś, że on żyje, ale postanowiłaś nic nie mówić.

Nazeera unosi brwi.

– Szczerze? Myślałam, że o tym wiesz.

– Skąd niby miałem wiedzieć?! – krzyczę. – Skąd miałem cokolwiek wiedzieć?

– Nie drzyj się. Zadałam sobie wiele trudu, żeby uratować ci życie, ale przysięgam, że własnoręcznie cię uduszę, jeśli nie przestaniesz się drzeć.

– Gdzie jesteśmy, DO CHOLERY?

Jednak ona, zamiast mnie zabić, wybucha śmiechem.

– A jak myślisz? – Potrząsa głową. – Wylądowaliśmy w Oceanii. Musimy znaleźć Ellę.

WARNER

– *Moglibyśmy zamieszkać w jeziorze – oznajmia.*

– *Slucham? – Prawie wybucham śmiechem. – O czym ty mówisz?*

– *Nie żartuję. Słyszałam, jak mama opowiadała, jak sprawić, żeby ludzie mogli żyć pod wodą, więc poproszę ją, żeby mi to wytłumaczyła, a wtedy będziemy mogli zamieszkać w jeziorze.*

Wzdycham.

– *Nie możemy mieszkać w jeziorze, Ella.*

– *Dlaczego nie? – Odwraca się i patrzy na mnie szeroko otwartymi, zaskakująco jasnymi oczami. Niebiesko-zielonymi. Jak planeta, myślę sobie. Jak cały świat. – Dlaczego nie możemy zamieszkać w jeziorze? Mama mówi, że...*

– *Przestań, Ella. Przestań...*

Nagle się budzę i podnoszę gwałtownie, otwierając oczy, rozpaczliwie wciągając powietrze. Oddycham zbyt szybko i krztuszę się z nadmiaru tlenu. Moje ciało pochyla się do przodu, klatka piersiowa pracuje, dłonie opierają się o zimną, betonową podłogę.

Ella.

Ella.

Przeszywa mnie ból. Dwa dni temu przestałem jeść zatrute bułki, lecz te wizje utrzymują się nawet wtedy, gdy nie jestem pod wpływem środków. W tej konkretnej jest coś hiperrzeczywistego, wspomnienie uderza we mnie raz po raz, wywołując szybkie pulsowanie bólu w trzewiach. Ten napływ emocji zapiera mi dech w piersi, wprawia w dezorientację.

Pierwszy raz zaczynam wierzyć.

Myślałem, że to koszmary. Może nawet halucynacje. Ale teraz już wiem.

Teraz zaprzeczenie wydaje się niemożliwe.

Słyszałam, jak mama opowiadała, jak zrobić, żeby ludzie żyli pod wodą.

Z początku nie rozumiałem, dlaczego Max i Evie trzymają mnie jako więźnia, ale najwyraźniej muszą mnie za coś winić – może za coś, za co odpowiedzialny jest mój ojciec. Coś, w czym nieświadomie wziąłem udział.

Na przykład tortury ich córki Emmaline.

Kiedy wysyłał mnie tam dwa lata temu, nikt mi nie powiedział, dokąd jadę. Szczegóły mojej lokalizacji pozostały tajemnicą, a w tamtym okresie sam też mieszkałem jakby w więzieniu, nie mogłem wychodzić na zewnątrz, nie dowiadywałem się niczego poza tym, co było absolutnie konieczne do realizacji zadania. W czasie przerw bacznie mnie obserwowano i żądano ode mnie noszenia opaski na oczach w drodze na pokład i z pokładu odrzutowca, dlatego przyszło mi do głowy, że musieli mnie zabrać w miejsce, które łatwo zidentyfikować. Jednak te dwa lata to najmroczniejszy, najsmutniejszy okres mojego życia; nie znałem nic prócz rozpaczliwego pragnienia, by odsunąć się w nieświadomość. Byłem tak głęboko pogrążony w nienawiści do samego siebie, że szukanie pocieszenia w ramionach kogoś, kto nic dla mnie nie znaczył, wydawało się odpowiednie. Nienawidziłem siebie każdego dnia, a bycie z Leną przynosiło mi jednocześnie ulgę i udrękę.

Mimo to przez cały ten czas byłem odrętwiały.

Po dwóch tygodniach tutaj zaczynam się zastanawiać, czy to więzienie nie jest mi przypadkiem znane. Czy to nie jest to samo miejsce, w którym spędziłem tamte potworne dwa lata. Trudno to wytłumaczyć w racjonalny sposób, nie istnieją namacalne powody, dla którego widok zza okna zaczyna być znajomy, ale dwa lata to długi czas, by poznać rytmy jakiejś ziemi, nawet tej, której nie rozumiesz.

Ciekawe, czy gdzieś tutaj jest Emmaline.

Trzymanie jej tutaj, blisko domu, miałoby sens – byłaby na wyciągnięcie ręki rodziców. Tych samych, których wiedza naukowa, w szczególności medyczna, przyczyniła się do tego, że Emmaline w ogóle żyje. A raczej istnieje.

Miałoby sens sprowadzenie tutaj Juliette – Elli, upominam sam siebie. Pozostaje jedno pytanie...

Po co mieliby ją tutaj sprowadzać? Co zamierzają z nią zrobić?

Jednak jeśli jej matka w jakimkolwiek stopniu przypomina mojego ojca, chyba jestem w stanie sobie wyobrazić, co im chodzi po głowie.

Odpycham się od podłogi i biorę oddech na uspokojenie. Moje ciało funkcjonuje wyłącznie dzięki adrenalinie, jest tak spragnione snu i pokarmu, że muszę...

Ból.

Przychodzi szybko i nagle, wciągam gwałtownie powietrze, chociaż rozpoznaję znajome cierpienie. Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze będą się goić moje żebra. Do tego czasu mogę tylko zaciskać zęby. Wstaję i na oślep szukam oparcia w szorstkim kamieniu. Ręce mi się trzęsą i znowu zbyt mocno oddycham, a mój wzrok krąży po znajomej celi.

Odkręcam wodę w kranie nad umywalką i przyskam sobie w twarz lodowatą ciecżą.

Efekt jest natychmiastowy. Skupienie.

Ostrożnie rozbieram się do naga. Moczę podkoszulkę i wycieram nią twarz, szyję i resztę ciała. Myję włosy i zęby. Płuczę usta. A potem robię, co mogę, żeby wyczyścić jakoś resztę ubrań, piorę je ręcznie i wyciskam z nich wodę. Wkładam z powrotem bieliznę, chociaż bawełna jest wciąż trochę mokra, i w ciemności próbuję powstrzymać dreszcze. Głodny i zziębnięty czuję się lepiej niż odurzony jakimiś środkami i w malignie.

To koniec mojego drugiego tygodnia w więzieniu, a także trzeci dzień głodówki w tym tygodniu. Dobrze jest mieć przejrzyste myśli, nawet jeśli ciało powoli umiera z głodu. I tak byłem już szczuplejszy niż zwykle, lecz teraz linie mojego ciała są nadzwyczaj ostre, nawet w moich oczach; cała potrzebna miękkość zniknęła. To tylko kwestia czasu, kiedy zaczną zanikać mięśnie i dokonają się nieodwracalne uszkodzenia w organach, lecz w tej chwili nie mam wyjścia. Muszę mieć dostęp do własnego umysłu.

Żebym mógł pomyśleć.

Coś w tym moim wyroku wydaje się dziwne.

Im więcej się nad tym zastanawiam, tym mniej sensu dostrzegam w tym, by Max i Evie chcieli mojego cierpienia za to, co zrobiłem Emmaline. W końcu to oni oddali córki w ręce Przywrócenia. Moja praca przy Emmaline była zlecona przez reżim – właściwie prawdopodobnie to oni aprobowali to zadanie. Mój pobyt tutaj jest raczej konsekwencją zdrady stanu. Max i Evie, tak jak inni najwyżsi przywódcy, pragnęliby zemsty za to, że odwróciłem się od Przywrócenia.

Jednak nawet ta teoria mi nie pasuje. Wydaje się niewłaściwa.

Karą za zdradę stanu zawsze była publiczna egzekucja. Szybka. Efektywna. Powinienem zostać zamordowany, bez zbędnych ceregieli, na oczach moich własnych żołnierzy. Jednak to więzienie, to powolne głodzenie, pozbawianie godności oraz doprowadzanie do szaleństwa – to jest nieludzkie. Takie rzeczy Przywrócenie serwuje innym, nie swoim.

Coś takiego zrobili Elli. Torturowali ją. Przeprowadzali na niej badania. Nie została zamknięta, żeby zniechęcić pozostałych do buntu. Została odosobniona, ponieważ była częścią większego eksperymentu.

A ja sam wiem, że taki więzień wymaga nieustannego nadzoru.

Myślałem, że będą mnie tu trzymać przez kilka dni – może tydzień – ale zamknięcie mnie najwyraźniej na nieokreślony czas...

To musi być dla nich trudne.

Przez dwa tygodnie udało im się nieznacznie mnie wyprzedzać, co osiągnęli poprzez zatrucie mojego jedzenia. W czasie szkolenia nigdy nie potrzebowałem więcej niż tygodnia, żeby wydostać się z więzienia wysokiego nadzoru, a oni musieli o tym wiedzieć. Zmuszając mnie do wybierania między pokarmem a przejrzystością umysłu, zyskali przewagę.

Mimo to nie jestem zaniepokojony.

Ich przewaga kurczy się z każdym dniem mojego pobytu w tym miejscu i oni muszą zdawać sobie sprawę, że to nie może trwać wiecznie. Nie mogą bez końca wykorzystywać szoku i trucizny, żeby wyprowadzać mnie z równowagi. Jestem tutaj już dość długo, by zrobić rekonesans, zbieram informacje niemal dwa tygodnie – poznałem ruchy słońca, fazy księżyca, producenta zamków, umywalki oraz nietypowych zawiasów drzwi. Podejrzywałem, choć nie miałem pewności, że jestem na południowej półkuli, co wywnioskowałem nie tylko z faktu, że Max i Evie pochodzą z Oceanii, ale także tego, że północne konstelacje widoczne za oknem są do góry nogami.

Muszę znajdować się w ich bazie.

Logicznie rzecz biorąc, musiałem być tutaj już kilka razy w życiu, lecz wspomnienia są niewyraźne. Nocne niebo jest tutaj znacznie lepiej widoczne niż w Sektorze 45. Gwiazdy świecą mocniej. Brak zanieczyszczenia światłem oznacza, że znajdujemy się daleko od cywilizacji, a widok z okna świadczy o tym, że ze wszystkich stron otacza nas dzika przyroda. Niedaleko w oddali widać ogromne migoczące w słońcu jezioro, które...

Coś się porusza w moim umyśle.

Wcześniejsze wspomnienie, lecz rozszerzone:

Wzrusza ramionami i rzuca kamień w wodę. Słysząc plusk.

– No to po prostu uciekniemy – mówi.

– Nie możemy uciec – odpowiadam. – Przestań to powtarzać.

– Przecież możemy.

– Nie ma dokąd.

– Jest mnóstwo miejsc, do których moglibyśmy uciec.

Potrząsam głową.

– Wiesz, co mam na myśli. Wszędzie nas znajdą. Jesteśmy cały czas obserwowani.

– Moglibyśmy zamieszkać w jeziorze – oznajmia.

– Słucham? – Prawie wybucham śmiechem. – O czym ty mówisz?

– Nie żartuję. Słyszałam, jak mama opowiadała, jak sprawić, żeby ludzie mogli żyć pod wodą, więc poproszę ją, żeby mi to wytłumaczyła, a wtedy będziemy mogli zamieszkać w jeziorze.

Wzdycham.

– Nie możemy mieszkać w jeziorze, Ella.

– Dlaczego nie? – Odwraca się i patrzy na mnie szeroko otwartymi, zaskakująco jasnymi oczami. Niebiesko-zielonymi. Jak planeta, myślę sobie. Jak cały świat. – Dlaczego nie możemy zamieszkać w jeziorze? Mama mówi, że...

– Przestań, Ella. Przestań...

Na moje czoło występuje zimny pot. Dostaję gęsiej skórki. Ella.

Ella Ella Ella

Raz po raz.

To imię zaczyna brzmieć znajomo. Ruch mojego języka, gdy je wymawiam, jest znajomy. Zupełnie tak, jakby uruchomiła się pamięć mięśniowa, jakby kiedyś moje usta przybierały ten kształt tysiąc razy.

Z trudem wciągam głęboko powietrze, żeby się uspokoić.

Muszę ją znaleźć. Muszę ją znaleźć.

Oto, co wiem:

Odgłosy kroków zanikają po niecałych trzydziestu sekundach i zawsze brzmią tak samo – ten sam rytm, ta sama kadencja – co oznacza, że zajmuje się mną tylko jedna osoba. Kroki są długie i ciężkie, więc mój opiekun jest wysoki, prawdopodobnie to mężczyzna. Może nawet jest nim sam Max, jeśli uznał mnie za więźnia o wysokim priorytecie. Mimo to nie jestem skrępowany i nie mam żadnych obrażeń – dlaczego? – a chociaż nie dali mi ani łóżka, ani nawet koca, mam dostęp do wody w umywalce.

Nie ma prądu, żadnych gniazdek czy okablowania. Ale z pewnością gdzieś ukryto kamery, które obserwują każdy mój ruch. Są dwa odpływy: jeden pod umywalką, drugi pod toaletą. Jest też maleńkie okno, prawdopodobnie ze szkła kuloodpornego o grubości ośmiu do dziesięciu centymetrów, oraz niewielki wywietrznik w podłodze, przy którym nie widać żadnych śrubek, co oznacza, że został przytwierdzony od środka. Szpary między listewkami są zbyt wąskie, żeby pomieścić moje palce, a stalowe łopatki wiatraka wyraźnie zespawane. Mimo wszystko to jednak więzienie o przeciętnym stopniu bezpieczeństwa. Jeszcze trochę więcej czasu i przejrzystości myśli, a znajdę sposób, by zdjąć pokrywę i wykorzystać części. W końcu odkryję, jak rozmontować wszystko, co znajduje się w tym pomieszczeniu. Rozłożę metalowy sedes i tę lichą metalową umywalkę. Sporządzę własne narzędzie i broń, a potem jakoś powoli i ostrożnie zdejmę zamki i zawiasy. A może uszkodzę rury i zaleję wodą pokój oraz sąsiedni korytarz, zmuszając w ten sposób kogoś do podejścia do drzwi.

Im szybciej tu kogoś wyślą, tym lepiej. Zostawili mnie samego na tak długo z pewnością dla

własnego bezpieczeństwa, nie po to, żebym cierpiał. Jestem mistrzem walki wręcz.

Znam siebie. Znam swoją odporność na skomplikowane fizyczne i psychiczne tortury. Gdybym chciał, mógłbym dać sobie dwa – może trzy – tygodnie na unikanie zatrutych posiłków, żyjąc o samej wodzie i nie tracąc przy tym ani rozumu, ani sił. Wiem, jaki potrafię być pomysłowy, jeśli tylko mam szansę, a to – ten wysiłek, by nade mną zapanować – musi być bardzo kosztowne. Ktoś poświęcił wiele uwagi przy wyborze tych dźwięków, rytuałów, a nawet starannie utrzymywanego braku kontaktu.

Nie przedsięwzięliby tych wszystkich środków, gdyby chodziło wyłącznie o ukaranie mnie za zdradę stanu. Nie. Trafiłem do tego czyścica z innego powodu.

Szukam intensywnie motywu, lecz moje wspomnienia są zaskakująco skąpe, jeśli chodzi o Maxa i Evie. Wciąż się tworzą.

Z pewną trudnością, lecz jestem w stanie przywołać jakieś przebłyski.

Przelotne uściśnięcie dłoni ojca.

Wybuch śmiechu.

Radosne dźwięki świątecznej muzyki.

Laboratorium i moja matka.

Laboratorium i moja matka.

Skupiam myśli na tym wspomnieniu – *jaskrawe światło, stłumione dudnienie kroków, mój własny głos i pytanie zadane ojcu, a potem...*

Mój umysł boleśnie zderza się z pustką.

Marszczę brwi. Wbijam wzrok w dłonie.

Nic.

Wiem bardzo dużo o pozostałych najwyższych przywódcach i ich rodzinach. Moim zadaniem było gromadzić taką wiedzę. Jednak w przypadku Oceanii informacje są niezwykle skąpe i pierwszy raz przechodzi mnie dreszcz strachu. W mojej głowie łączą się dwie osie czasu – życie z Ellą i życie bez niej – i wciąż się uczę, jak szukać w danych prawdy.

Mimo wszystko myślenie o Maxie i Evie poruszyło coś w moim mózgu. Jest zupełnie tak, jakby coś się tam znajdowało, tuż poza zasięgiem, a im bardziej się skupiam na tym, by ich sobie przypomnieć – ich twarze, ich głosy – tym większy odczuwam ból.

Po co zadali sobie tyle trudu, żeby mnie uwięzić?

Dlaczego mnie po prostu nie zabili?

Mam tak wiele pytań, aż mi się kręci w głowie.

I w tej samej chwili trzęsą się drzwi. Odgłos metalu uderzającego o metal jest ostry i przenikliwy, jakby ktoś pocierał moje nerwy papierem ściernym.

Szczęka zamek i czuję niespodziewany spokój. Wyszkolono mnie do radzenia sobie z takim życiem, przyjmowania takich chorych, sadystycznych ciosów. Śmierć nigdy nie budziła we mnie strachu.

Jednak kiedy drzwi się otwierają, rozumiem, jaki popełniłem błąd.

Wyobrażałem sobie tysiąc różnych scenariuszy. Przygotowałem się na miriady oponentów. Jednak nie na tego jednego.

– Cześć, solenizancie – mówi ze śmiechem, wchodząc w światło. – Tęskniłeś?

Nagle nie mogę się ruszyć.

JULIETTE

ELLA

– *Przestańcie... przestańcie, mój Boże, to wstrętne – krzyczy Emmaline. – Przestańcie. Przestańcie się dotykać! Jesteście obrzydliwi.*

Tata na naszych oczach szczypie mamę w tyłek.

Emmaline się drze.

– *Rany boskie, powiedziałam: przestańcie!*

Jest sobota rano, a w soboty rano smażymy naleśniki, jednak mama i tata właściwie nic jeszcze nie przygotowali, bo nie przestają się całować. Emmaline nie może tego znieść.

Moim zdaniem to miłe.

Siedzę przy blacie kuchennym i obserwuję ich, wspierając głowę dłońmi. Wolę patrzeć. Emmaline próbuje mnie zaciągnąć do pracy, ale nie chcę. Wolę siedzieć, niż pracować.

– *Nikt nie smaży naleśników – narzeka Emmaline i obraca się z taką złością, że strąca na podłogę miskę z ciastem. – Dlaczego ja muszę robić wszystko sama?*

Tata się śmieje.

– *Skarbie, jesteśmy razem – mówi, podnosząc miskę i sięgając po ręczniki papierowe. – Czy to nie ważniejsze od naleśników?*

– *Nie – odpowiada z gniewem Emmaline. – Powinniśmy robić naleśniki. Jest sobota, co oznacza, że powinniśmy robić naleśniki, a wy z mamą się całujecie, Ella się leni...*

– *Hej... – rzucam i wstaję.*

– *...i nikt nie robi tego, co powinien, a zamiast tego ja zajmuję się wszystkim sama...*

Teraz oboje rodzice się śmieją.

– *To nie jest zabawne! – wścieka się Emmaline i płacze, łzy płyną jej po twarzy. – To nie jest zabawne i nie podoba mi się, że nikt mnie nie słucha...*

Dwa tygodnie temu leżałam na stole operacyjnym, odrętwiała i naga, z otworu wielkości rany postrzałowej w mojej skroni ciekła krew. Nie widziałam wyraźnie, nie słyszałam zbyt wiele poza własnym oddechem, który był gorący i otaczał mnie zewsząd. Nagle pojawiła się Evie. Gapiała się, wyglądała na sfrustrowaną. Próbowała dokończyć proces *rekalibracji fizycznej*, jak to nazwała.

Z jakiegoś powodu nie mogła tego zrobić.

Włała mi już do mózgu zawartość szesnastu strzykawek, wykonała wiele niedużych nacięć na moim podbrzuszu, rękach i udach. Nie widziałam dokładnie, co robiła potem, ale od czasu do czasu mówiła przy pracy, twierdząc, że wykonywane przez nią proste zabiegi chirurgiczne wzmocnią moje stawy i mięśnie. Chciała, żebym zyskała większą siłę i wytrzymałość na poziomie komórkowym. Tłumaczyła, że to środek zapobiegawczy. Martwiła się, że jestem zbyt szczupła, że w wyniku intensywnego wysiłku fizycznego moje mięśnie mogą ulec przedwczesnej degradacji. Nie powiedziała tego, ale poczułam, że chce, bym była silniejsza niż moja siostra.

– Emmaline – wyszeptalam.

Miałam szczęście, że byłam zbyt wykończona, zbyt złamana, zbyt otumaniona, by mówić wyraźnie. Miałam szczęście, że tylko leżałam z ciężkimi, drgającymi powiekami, a spierzchnięte usta nie pozwoliły mi wymówić nic więcej poza tym imieniem. Miałam szczęście, że nie rozumiałam od razu, że wciąż byłam sobą. Że zachowałam swoje wspomnienia mimo obietnic Evie, że je rozpuści.

A jednak powiedziałam coś niewłaściwego.

Evie przerwała to, co robiła. Nachyliła się nade mną i przyjrzała mi się dokładnie.

Zamrugalam.

Nie.

To słowo pojawiło się w mojej głowie, jakby ktoś umieścił je tam dawno temu, a ja je sobie przypomniałam, przypomniałam...

Evie szarpnęła do tyłu i natychmiast zaczęła mówić do urządzenia, które ścisnęła w dłoni. Jej głos był

cichy i chropawy, nie rozumiałam jej.

Zamrugałam jeszcze raz. Stropiona. Rozchyliłam usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, kiedy...

Nie.

Myśl tym razem była wyraźniejsza.

Chwilę później Evie znowu wisiała nad moją twarzą, tym razem dręcząc mnie pytaniami.

kim jesteś

gdzie jesteś

jak się nazywasz

gdzie się urodziłaś

ile masz lat

kim są twoi rodzice

gdzie mieszkasz

Nagle miałam dość przytomności, by wiedzieć, że Evie sprawdza efekty swojej pracy. Chciała mieć pewność, że mój mózg został oczyszczony ze wspomnień. Nie wiedziałam, co właściwie powinnam powiedzieć, więc milczałam.

Tylko mrugałam.

Dużo mrugałam.

Evie w końcu niechętnie się odsunęła, lecz nie wydawała się całkowicie przekonana. A potem, kiedy myślałam, że na wszelki wypadek mnie zamorduje, zamarła. Popatrzyła w ścianę.

I wyszła.

Trzęsłam się na stole operacyjnym przez dwadzieścia minut, zanim do pokoju wpadli ludzie. Odpięli moje ciało, umyli je, opatrzyli rany.

Chyba krzyczałam.

Ostatecznie połączenie bólu, zmęczenia i powoli skapujących opiatów sprawiło, że straciłam przytomność.

Nie rozumiałam, co się tamtego dnia wydarzyło.

Nie mogłam zapytać, Evie nie wyjaśniła, a dziwny, ostry głos w mojej głowie nie wrócił. Evie podawała mi przez pierwsze tygodnie tyle środków odurzających, że może nie miał na to szans.

Dzisiaj pierwszy raz od tamtego czasu znowu go słyszę.

Stoję na środku pokoju, trzymając w rękach cienką żółtą sukienkę, kiedy nagle mnie uderza.

Tracę dech.

Ella.

Obracam się, wciągając gwałtownie powietrze. Głos rozbrzmiewa wyraźniej niż kiedykolwiek, z przerażającą intensywnością. Może myliłam się co do eksperymentu Evie, może to jego część, może mam halucynacje i omamy słuchowe jako wczesne oznaki utraty przytomności...

Nie.

– Kim jesteś? – pytam, a sukienka spada na podłogę. Jakby z oddali dociera do mnie myśl, że stoję w samej bieliźnie i wrzeszczę w pustym pokoju. Przechodzi mnie silny dreszcz.

Szarpięciem wkładam sukienkę przez głowę, jej lekkie, zwiewne warstwy układają się na mojej skórze jak jedwab. W innym życiu bardzo by mi się podobała. Jest jednocześnie piękna i wygodna, idealna. Jednak teraz nie ma czasu na taką frywolność.

Dzisiaj ta sukienka to tylko część roli, którą muszę odegrać.

Głos w mojej głowie milknie, lecz serce wciąż dudni. Czuję, że działam wyłącznie pod wpływem instynktu. Szybko wkładam parę zwyczajnych białych tenisówek, wiążę ciasno sznurowadła. Nie wiem

dlaczego, ale dzisiaj, w tej chwili, z jakiegoś powodu wydaje mi się, że będę musiała biec.

Tak.

Prostuję się.

W żyłach krąży mi adrenalina, moje mięśnie wydają się napięte, płoną z intensywnością, która jest dla mnie zupełnie nowa; pierwszy raz poczułam pozytywne efekty tego, co robiła ze mną Evie. Ta siła sprawia wrażenie, jakby została przeszczepiona do moich kości, jakbym mogła nagle wzbić się w powietrze, jakbym mogła wspiąć się na ścianę na jednej ręce.

Poznałam już nadludzką siłę, ale zawsze wydawała się pochodzić z jakiegoś innego miejsca, jakbym musiała ją stamtąd zabrać i uwolnić. Kiedy pozbawiono mnie moich zdolności, zostałam z tym słabym, nieimponującym ciałem. Przez lata żyłam w niedożywieniu, zmuszano mnie do znoszenia ekstremalnych warunków fizycznych i psychicznych, a to odcisnęło swoje piętno. Dopiero w ostatnich miesiącach zaczęłam się uczyć właściwego treningu siłowego i wytrzymałościowego, a chociaż wyniki miałam całkiem obiecujące, to był zaledwie pierwszy krok w dobrym kierunku.

Ale to...

Nie wiem, co dokładnie zrobiła Evie, lecz to coś innego.

Dwa tygodnie temu cierpiałam tak bardzo, że ledwo mogłam się ruszać. Następnego ranka, kiedy mogłam stanąć o własnych siłach, nie zauważyłam żadnej wyraźnej różnicy w swoim ciele, poza tym, że było całe pokryte siniakami w różnych odcieniach fioletu. Cała byłam poobijana. Byłam chodzącym bólem.

Evie powiedziała mi, jako moja lekarka, że utrzymywała mnie w stanie odurzenia, żebym pozostawała nieruchoma i w ten sposób umożliwiła szybsze gojenie się ran, jednak nie miałam powodu, żeby jej wierzyć. Wciąż nie wierzę. Za to pierwszy raz od dwóch tygodni czuję się niemal normalnie. Siniaki już prawie zniknęły. Jedynie miejsca nacięć, najbardziej bolesne, wciąż wyglądają na nieco żółte.

Nieźle.

Zaciskam pięści i czuję się silna, naprawdę silna, nawet z tymi świecącymi bransoletami na nadgarstkach i kostkach. Rozpaczliwie tęskniłam za swoimi zdolnościami, bardziej, niż byłabym w stanie sobie wyobrazić, chociaż latami ich nienawidziłam. Jednak pierwszy raz od paru tygodni czuję się silna. Wiem, że to dzięki Evie – dzięki temu, co zrobiła moim mięśniom – i wiem, że nie powinnam temu ufać, ale tak mi miło, tak bardzo miło, że nie umiem się powstrzymać i tym nie rozkoszować.

A w tej chwili mam wrażenie, jakbym mogła...

Uciekaj.

Zamieram.

UCIEKAJ!

– Słucham? – szepczę, rozglądając się po ścianach, suficie. – Dokąd?

Na zewnątrz.

To słowo przetacza się we mnie jak grom, odbija echem w klatce piersiowej. *Na zewnątrz.* Jakby to było takie proste, jakbym mogła zwyczajnie przekręcić gałkę w drzwiach i zakończyć ten koszmar. Jakby opuszczenie tego pokoju było takie łatwe, jakbym robiła to już wcześniej. Niestety Evie zabezpiecza zamki w moich drzwiach na kilku poziomach. Widziałam tylko poziom mechaniczny, raz, kiedy odprowadziła mnie po tym, jak pozwolono mi popatrzeć na zewnątrz przez kilka minut. Oprócz dyskretnie umieszczonych kamer i czytników siatkówki oka jest też skaner biometryczny, który sprawdza linie papilarne Evie przed wpuszczeniem jej do środka. Godzinami próbowałam otworzyć drzwi do swojego pokoju i nic z tego nie wyszło.

Na zewnątrz.

Znowu te słowa, głośne i ostre w mojej głowie. Jest coś przerażającego w nadziei, która rozpala się we mnie na myśl o ucieczce. Ciągnie mnie i szarpie, i kusi dość mocno, bym oszalała na tyle, żeby posłuchać absurdalnych halucynacji.

To może być pułapka, myślę.

Może Evie to zaplanowała. Może działam jej na rękę.

Mimo wszystko.

Nie potrafię się powstrzymać.

W kilku krokach przebiegam na drugą stronę pokoju. Waham się z ręką na gałce, po czym wypuszczam powietrze i się poddaję.

Z łatwością otwieram drzwi.

Stoję w progu, moje serce łomocze. Do głowy uderza mi fala emocji, rozglądam się desperacko, patrząc na korytarze.

To się wydaje niemożliwe.

Nie mam pojęcia, dokąd się udać. Nie mam pojęcia, czy oszalałam, słuchając manipulującego mną głosu w głowie po tym, jak moja matka psycholka godzinami wstrzykiwała mi tam różne rzeczy.

Dopiero kiedy przypominam sobie, że pierwszy raz usłyszałam ten głos tego dnia, gdy się tutaj znalazłam – chwilę przed tym, jak Evie zaczęła mnie torturować – zaczynam wątpić w swoje wątpliwości.

Umieram.

Właśnie to powiedział mi tamtego dnia. *Umieram.*

Leżałam na stole operacyjnym, nie mogłam się ruszyć, nie mogłam się odezwać. Zostało mi tylko darcie się we własnej głowie. Chciałam wiedzieć, gdzie jest Emmaline. Próbowałam to wykrzyczeć.

Umieram, powiedział wtedy głos.

Wypełnia mnie zimny, paraliżujący strach.

– Emmaline? – szepczę. – To ty?

Pomóż.

Pewnie ruszam do przodu.

WARNER

– Jestem trochę za wcześnie – mówi. – Wiem, że urodziny masz dopiero jutro, ale nie mogłem już dłużej czekać.

Patrzę na swojego ojca jak na ducha. Gorzej, poltergeista. Nie mogę wydobyć z siebie żadnego głosu i z jakiegoś powodu jemu nie przeszkadza moje milczenie.

Potem...

Uśmiecha się.

To szczery uśmiech; taki, który łagodzi jego rysy i dodaje blasku oczom. Znajdujemy się w pomieszczeniu, które przypomina salon, otwartą przestrzeń z miękkimi kanapami, fotelami, okrągłym stołem i niedużym biurkiem w kącie. Pod stopami mamy gruby dywan. Ściany są pomalowane na przyjemny błady odcień żółtego, przez duże okna wpada słońce. Mój ojciec jest oświetlony od tyłu. Nieziemski. Bije od niego blask jak od anioła.

Świat ma chore poczucie humoru.

Kiedy wszedł do mojej celi, rzucił mi szlafrok, ale nie zaoferował niczego więcej. Nie dał mi nawet czasu na przebranie się. Nie dostałem ani jedzenia, ani wody. Czuję się wciąż nagi – bezbronny – kiedy siedzę naprzeciwko niego w zimnej bieliźnie i cienkim szlafroku. Nie mam nawet skarpetek. Kapci. Czegokolwiek.

Mogę sobie jedynie wyobrażać, jak teraz wyglądam, zważywszy na fakt, że minęło parę tygodni, odkąd się goliłem albo miałem obcinane włosy. W więzieniu udawało mi się utrzymać względną higienę, ale moja fryzura jest teraz trochę dłuższa. Nie jak kiedyś, lecz powoli zmierza w tym kierunku. A twarz...

Niemal bezwiednie dotykam swojej twarzy.

W ostatnich tygodniach dotykanie jej stało się moim nawykiem. Mam brodę. Może nie przesadnie długą, jednak wystarczająco, by jej istnienie było dla mnie za każdym razem zaskoczeniem. Nie wiem, jak teraz wyglądam.

Być może dziko.

– Myślałem, że nie żyjesz – mówię w końcu do ojca.

– Niespodzianka – rzuca z uśmiechem.

Milknę i tylko na niego patrzę.

Ojciec opiera się o stół i chowa ręce w kieszeniach w taki sposób, że wygląda chłopięco. Uroczo.

Aż mi niedobrze.

Odwracam wzrok, rozglądam się po pokoju, szukając pomocy. Szczegółów. Czegoś, co pozwoli mi poczuć się pewniej, co wyjaśni jego obecność, co da mi broń do walki z tym, co jeszcze mnie czeka.

Niczego nie znajduję.

Ojciec wybucha śmiechem.

– Wiesz co, mógłbyś okazać trochę więcej emocji. Naprawdę się spodziewałem, że na mój widok poczujesz radość.

Tym przykuwa moją uwagę.

– W takim razie się myliłeś – odpowiadam. – Poczulem radość na wieść o twojej śmierci.

– Na pewno? – Przechyla głowę. – Na pewno nie przelałeś z mojego powodu ani jednej łzy? Ani trochę za mną nie tęskniłeś?

Wystarczy ułamek sekundy zawahania. To króciutkie opóźnienie, gdy przypominam sobie tygodnie spędzone w połowie drogi między żalobą a nienawiścią do samego siebie z powodu oplakiwania go i nienawiścią do samego siebie za te strzępy emocji.

Otwieram usta, żeby się odezwać, lecz on przerywa mi z triumfem w głosie:

– Wiem, że to musi być niepokojące. I na pewno będziesz udawał, że cię to nie obchodzi. Ale obaj doskonale zdajemy sobie sprawę, że twoje miękkie serduszko od początku było przyczyną wszystkich naszych problemów, więc nie ma sensu teraz temu zaprzeczać. Dlatego będę wspaniałomyślny i zaoferuję zignorowanie twojej zdrady stanu.

Sztywnieję.

– Chyba nie myślisz, że zapomniałem? – Ojciec już się nie uśmiecha. – Starasz się obalić mnie, mój

rząd, moich ludzi, a potem stoisz sobie z boku niczym godny pożałowania śmieć, kiedy twoja dziewczyna próbuje mnie zamordować, i myślisz, że o tym nie wspomnę?

Nie mogę już na niego patrzeć. Nie mogę znieść widoku jego twarzy, tak podobnej do mojej własnej. Jego skóra jest wciąż idealna, pozbawiona blizn. Jakby nie odniósł żadnych ran. Jakby jego czoła nie przebił pocisk.

Nie rozumiem.

– Nie? Wciąż nie zamierzasz odpowiedzieć? – ciągnie. – W takim wypadku być może jesteś mądrzejszy, niż sądziłem.

O tak. Teraz zdecydowanie bardziej przypomina siebie.

– Jednak faktem pozostaje, że znaleźliśmy się na istotnym rozdrożu. Musiałem wykorzystać kilka znajomości, żeby przetransportowano cię tutaj całego i zdrowego. Rada chciała twojej egzekucji za zdradę stanu, lecz udało mi się ich przekonać.

– Po co?

Patrzy na mnie zmrużonymi oczami.

– Uratowałem ci życie, a ty reagujesz w ten sposób? Bezcelnością? Niewdzięcznością?

– Twoim zdaniem tak wygląda ratowanie mi życia? – wypalam. – Wtrącenie mnie do więzienia i trucie?

– To powinna być dla ciebie bułka z masłem. – Jego spojrzenie chłodnieje. – Naprawdę lepiej byłoby dla ciebie nie żyć, gdyby takie warunki wystarczyły, by cię złamać.

Milczę.

– Poza tym jakoś musiałem cię ukarać. Twoje postęпки nie mogły ci ująć płazem. – Odwraca wzrok. – Narobiłeś dużo bałaganu, który musieliśmy posprzątać – oznajmia w końcu. – Gdzie twoim zdaniem byłem przez cały ten czas?

– Jak już mówiłem, myślałem, że nie żyjesz.

– Prawie. Właściwie – bierze oddech – spędziłem wiele tygodni na rekonwalescencji. Tutaj. Przetransportowano mnie i Sommersowie przywrócili mi życie. – Ciągnie za mankiet spodni i zauważam srebrny blask metalu w miejscu, gdzie powinna znajdować się jego kostka. – Dostałem nowe stopy – rzuca ze śmiechem. – Niesamowite, prawda?

Niesamowite. Naprawdę nie mogę w to uwierzyć.

On się uśmiecha, wyraźnie zadowolony z mojej reakcji.

– Zachowaliśmy to w tajemnicy, pozwalając tobie i twoim przyjaciółom cieszyć się z pozornego zwycięstwa, żebym miał czas na odzyskanie zdrowia. Wysłaliśmy wam resztę dzieciaków, żeby odwrócić waszą uwagę i sprawić, by to wyglądało, jakby Przywrócenie naprawdę zamierzało zaakceptować tę nową, samozwańczą przywódczynię. – Potrząsa głową. – Siedemnastoletnie dziecko ogłosiło się władcą Ameryki Północnej – mówi właściwie do siebie, po czym unosi wzrok i dodaje: – Niezłe z niej ziółko, prawda?

Panika wzbiera w mojej piersi.

– Coście z nią zrobili? Gdzie ona jest?

– Nie. – Uśmiech ojca znika. – Absolutnie nie.

– Co to ma znaczyć?

– To, co powiedziałem. Absolutnie nie. Dziewczyny już nie ma. Przepadła. Koniec popołudniowej herbatki z kumplami z Omega Point. Koniec biegania nago z koleżaneczką. Koniec z seksem w czasie, kiedy powinieneś pracować.

Czuję jednocześnie mdłości i gniew.

– Ani mi się waż... Nigdy więcej nie mów o niej w ten sposób. Nie masz prawa...

Ojciec wzdycha, długo i głośno. Mamrocze pod nosem jakieś przekleństwo.

– Kiedy wreszcie to skończysz? Kiedy z tego wyrośniesz?

Potrzebuję całej swojej silnej woli, żeby powstrzymać wściekłość. Żeby siedzieć spokojnie i milczeć. Z jakiegoś powodu cisza tylko pogarsza sprawę.

– Cholera jasna, Aaron – rzuca ojciec, podnosząc się. – Ciągle czekam, aż zostawisz to za sobą. Aż o niej zapomnisz. Aż ewoluujesz – tłumaczy, praktycznie na mnie krzycząc. – To gównno ciągnie się już ponad dekadę.

Ponad dekadę.

Wymsknęło mu się.

– Co masz na myśli? – pytam, przyglądając mu się uważnie. – Jak to ponad dekadę?

– Hiperbola – odpowiada, wycofując się z poprzednich słów. – Chciałem, żeby to odpowiednio wybrzmiało.

– Kłamiesz.

Pierwszy raz w jego oczach pojawia się jakaś niepewność.

– Przyznasz to w końcu? – naciskam cicho. – Przyznasz się do tego, co ja i tak już wiem?

Ojciec zaciska szczęki. Milczy.

– Przyznaj – powtarzam. – Juliette to nie było jej prawdziwe imię. Juliette Ferrars to w rzeczywistości Ella Sommers, córka Evie i Maximilliana Som...

– Skąd... – Ojciec gryzie się w język. Odwraca wzrok i zbyt szybko znowu na mnie patrzy. Najwyraźniej się nad czymś zastanawia.

W końcu kiwa powoli głową.

– Wiesz co? Tak będzie lepiej. Lepiej, żebyś wiedział – mówi niemal szeptem. – Lepiej, żebyś dobrze rozumiał, dlaczego nigdy więcej jej nie zobaczysz.

– To nie zależy od ciebie.

– Nie zależy ode mnie? – Gniew błyska mu w oczach, jego maska spokoju szybko kruszeje. – Ta dziewczyna była moją zmurą przez ponad dwanaście lat. Narobiła więcej problemów, niż możesz sobie wyobrazić, a jednym z nich, wcale nie takim małym, było rozpraszenie uwagi mojego skretyniałego syna przez dużą część ostatniej dekady. Chociaż starałem się was rozdzielić, usunąć tego raka z naszego życia, ty raz po raz uparcie się w niej zakochiwałeś. – Patrzy mi w oczy, jego wzrok jest dziki z wściekłości. – Nigdy nie była dla ciebie. To się nie miało wydarzyć. Dziewczyna została skazana na śmierć – rzuca zjadliwie – gdy tylko nazwałem ją Juliette.

Moje serce dudni tak mocno, że mam wrażenie, jakby to wszystko było snem. Jakimś koszmarem. Z trudem dobywam głosu, żeby powiedzieć:

– O czym ty mówisz?

Usta mojego ojca rozciągają się w imitacji uśmiechu.

– Ella została zaprojektowana jako narzędzie do prowadzenia wojny. Podobnie jak jej siostra, od samego początku. Dekady przed tym, jak przejęliśmy władzę, wśród ludności pojawiła się pewna choroba. Rząd próbował ukryć informacje o niej, ale my poznaliśmy prawdę. Zobaczyłem tajne akta. Namierzyłem jeden z sekretnych bunkrów. Ludzie mieli różne zaburzenia funkcji, przechodzili metamorfozy. Do tego stopnia, że miało się wrażenie, jakby to była następna faza ewolucji. Tylko Evie miała dość przytomności umysłu, żeby dostrzec w tej chorobie narzędzie. To ona jako pierwsza zaczęła badać Nienaturalnych. To dzięki niej stworzyliśmy zakłady dla obłąkanych, bo chciała mieć dostęp do większej liczby odmian tej choroby. To ona nauczyła się izolować i reprodukować obce DNA. Ona wpadła na pomysł, żeby wykorzystać te osiągnięcia dla naszych celów. Ella i Emmaline – ciągnie z gniewem – miały służyć jedynie jako obiekty eksperymentów badawczych Evie. Ella nie miała być dla ciebie. Ani dla nikogo innego! – krzyczy. – Wybij ją sobie z głowy.

Czuję, jak zamieram, gdy docierają do mnie jego słowa. Wiele z tych faktów już znałem, lecz wywołały we mnie świeży ból. Czas jakby zwalnia, przyspiesza, cofa. Opuszczam powieki. Moje wspomnienia zbierają się i rozszerzają, eksplodują pod wpływem nowego znaczenia, atakując mnie, wszystkie naraz...

Ella w różnych latach.

Moja przyjaciółka z dzieciństwa.

Ella, odebrana mi, gdy miałem siedem lat. Ella i Emmaline, które rzekomo utonęły w jeziorze. Kazano mi o nich zapomnieć – zapomnieć, że w ogóle kiedykolwiek istniały. Zmęczeni moimi pytaniami, powiedzieli, że mi to ułatwią. Poszedłem za ojcem do pokoju, w którym obiecał, że wszystko mi wyjaśni.

A potem...

Jestem przypięty do fotela, moją głowę przytrzymują w miejscu ciężkie metalowe zaciski. Gdzieś nade mną bzyczą mocne lampy.

Słyszę pikanie urządzeń, stłumione głosy dokoła. Pokój wydaje się wielki i otchłanny, błyszczący.

Słyszę donośne, niepokojące dźwięki własnego oddechu i mocne, ciężkie bicie swojego serca. Wzdrygam się trochę, kiedy ojciec dotyka mojego ramienia i obiecuje, że niedługo poczuję się lepiej.

Unoszę na niego wzrok, jakbym właśnie obudził się ze snu.

– O co chodzi? – pyta. – Co się właśnie stało?

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, zastanawiając się, czy mogę sobie pozwolić na szczerość.

Dochodzę do wniosku, że mam już dość kłamstw.

– Przypominam ją sobie – mówię.

Niespodziewanie ojciec otwiera szeroko oczy, a jego reakcja to ostatni brakujący element tej układanki.

– Kradłeś mi wspomnienia – oznajmiam nienaturalnie spokojnym głosem. – Przez te wszystkie lata grzebałeś mi w głowie. To byłeś ty.

Nie odzywa się, lecz widzę, jak zaciska zęby, jak nabrzmiwa mu żyłka.

– Co sobie przypominasz?

Kręcę głową, wpatrując się w niego ze zdumieniem.

– Powiniennem być się domyślić. Po tym wszystkim, co mi zrobiłeś... – Urywam, na moment tracę ostrość widzenia. – Oczywiście, że nie mogłeś pozwolić, bym miał władzę nad własnym umysłem.

– Ale co dokładnie sobie przypominasz? – pyta ponownie, ledwo panując nad wściekłością. – Co jeszcze wiesz?

Z początku nic nie czuję.

Dobrze się wyszkoliłem. Lata praktyki nauczyły mnie odruchowo głęboko skrywać emocje – szczególnie w jego obecności – i pojawiają się dopiero po kilku sekundach. Formują się powoli, niezliczone pary rąk wydostają się z niezliczonej ilości grobów, żeby podsyć ogień gniewu, na który nigdy sobie nie pozwalałem.

– Ukradłeś mi wszystkie wspomnienia związane z nią – mówię cicho. – Dlaczego?

– Zawsze skupiasz się na dziewczynie. – Patrzy na mnie spode łba. – Ona nie jest najważniejsza, Aaron. Ukradłem ci wspomnienia o wielu rzeczach.

Potrząsam głową. Powoli się podnoszę, nagle skupiony i idealnie spokojny. Przez chwilę martwię się, że przejdzie mi to wszystko, co do niego czuję – ta nienawiść, dość gorąca, bym gotował się w niej żywcem.

– Dlaczego miałbyś zrobić mi coś takiego, jeśli nie po to, by mnie torturować? Wiedziałeś, co do niej czuję. To wszystko było celowe. Najpierw nas łączyłeś, potem rozdzielałeś... – Nagle urywam. Dociera coś do mnie, uderza i przesywa. Patrzę na niego, nie mogąc pojąć głębi jego okrucieństwa. – Celowo umieściłeś Kenta w moim oddziale – mówię.

Ojciec spogląda mi w oczy, jego wzrok jest pusty. Milczy.

– Trudno mi uwierzyć, byś nie znał miejsca przebywania swoich nieślubnych dzieci – tłumaczę. – Nie dam sobie wmówić, że nie obserwowałeś każdego ruchu Kenta. Musiałeś wiedzieć, co robi ze swoim życiem. Gdy tylko zapisał się do wojska, zostałeś o tym powiadomiony. Mogłeś go wysłać dokądkolwiek, miałeś do tego dość władzy. Zamiast tego pozwoliłeś mu pozostać w Sektorze 45, pod moją jurysdykcją. Świadomie, prawda? A kiedy Delalieu pokazał mi tamte akta, kiedy przyszedł i przekonał mnie, że Kent będzie idealnym współwięźniem Juliette w zakładzie, ponieważ istniały dowody, że się znali, że chodzili razem do szkoły...

Nagle mój ojciec się uśmiecha.

– Zawsze próbowałem ci powiedzieć – odpowiada cicho. – Próbowałem wytłumaczyć ci, żebyś przestał pozwalać emocjom rządzić twoim umysłem. Dałem ci tyle okazji, byś mógł się tego nauczyć, ale ty nigdy nie słuchałeś. Nigdy tego nie przyswoiłeś. – Potrząsa głową. – Jeśli teraz cierpisz, to z własnej winy. Uczyniłeś z samego siebie łatwy cel.

Jestem zdumiony.

Jakimś cudem nawet po tym wszystkim udaje mu się mnie zszokować.

– Nie rozumiem, jak możesz tak stać i bronić tego, co zrobiłeś. Po dwudziestu latach dręczenia mnie.

– Ja tylko chciałem cię czegoś nauczyć, Aaron. Nie chciałem, żebyś skończył jak matka. Była słaba, zupełnie jak ty.

Muszę go zabić.

Wyobrażam to sobie: jakby to było przyszpilić go do podłogi, dźgać go prosto w serce i patrzeć, jak gaśnie blask jego oczu. Poczuć, jak jego ciało staje się zimne.

Czekam na strach.

Wstręt.

Żal.

Nie przychodzą.

Nie mam pojęcia, jak udało mu się przetrwać poprzedni zamach na jego życie, ale już mnie to nie obchodzi. Chcę, żeby umarł. Chcę oglądać jego krew zbierającą się na moich dłoniach. Chcę wyrwać mu gardło.

Na stojącym nieopodal biurku dostrzegam nożyk do listów i w tej jednej sekundzie, której potrzebuję, żeby go zabrać, mój ojciec się śmieje.

Śmieje.

Głośno. Zgina się wpół, jedną ręką trzyma się za brzuch. Kiedy unosi wzrok, w oczach ma łzy.

– Do reszty ci odbiło? – rzuca. – Aaron, nie bądź żaloszny.

Robię krok do przodu, ściskając mocno nożyk w dłoni, i patrzę, bacznie obserwuję ojca, czekając na moment, gdy pojmie, że chcę go zabić. Chcę, by wiedział, że to będę ja. Chcę, by wiedział, że wreszcie dostał to, czego pragnął.

Że wreszcie mnie złamał.

– Popelniłeś błąd, ratując mi życie – mówię cicho. – Popelniłeś błąd, pokazując się tutaj. Popelniłeś błąd, myśląc, że możesz prosić o mój powrót po tym wszystkim, co zrobiłeś...

– Źle mnie zrozumiałeś. – Znowu stoi wyprostowany, śmiech zniknął z jego twarzy. – Nie proszę cię o powrót. Nie masz wyboru.

– Dobrze. Tylko mi to ułatwiasz.

– Aaron. – Kręci głową. – Nie jestem bezbronny. I nie zawaham się ciebie zabić, jeśli przekroczysz granicę. A chociaż nie twierdzę, że zamordowanie własnego syna uznaję za świetny sposób na spędzenie poranka, zrobię to. Dlatego zastanów się przez chwilę, zanim zrobisz krok i popełnisz samobójstwo.

Przyglądam mu się. Zaciskam palce na nożyku.

– Powiedz mi, gdzie ona jest, a rozważę darowanie ci życia.

– Ty głupcze. Nie słuchałeś mnie? Jej już nie ma.

Sztywnieję. Cokolwiek to oznacza, on nie kłamie.

– A gdzie jest?

– Nigdzie – odpowiada ze złością. – Zniknęła. Dziewczyna, którą znałeś, już nie istnieje.

Wyciąga z kieszeni kurtki pilot i celuje nim w ścianę. Od razu pojawia się obraz, wyświetlony przez jakiś projektor, a dźwięk, który wypełnia pokój, pojawia się tak nagle – jest tak irytujący i niespodziewany – że prawie padam na kolana.

To Ella.

Krzyczy.

Krew wycieka z jej otwartych we wrzasku ust, pełne udręki odgłosy przerywa jedynie szloch, który wrywa bolesne oddechy z jej ciała. Jej oczy są przymknięte, jakby ogarnięte gorączką. Na moich oczach jacyś ludzie uwalniają ją z fotela i przekładają na nosze. Jej ciałem wstrząsają drgawki, kończyny się trzęsą. Dziewczyna ma na sobie białą szpitalną koszulę, paski z tyłu się rozwiązują, cienki materiał przesiąkł krwią.

Moje dłonie drżą, gdy patrzę, jak Ella szarpie głową, jak się wygina, walcząc z więzami. Jeszcze raz wrzeszczy i ten dźwięk sprawia, że niemal zginam się wpół. A potem, szybko, jakby znikąd, ktoś podchodzi i wbija jej igłę w szyję.

Ella zamiera.

Jej ciało przestaje się poruszać, twarz zastyga w wyrazie skrajnego cierpienia, zanim podany jej środek zacznie działać. Krzyki cichną, przeobrażają się w słabsze, spokojniejsze kwilenie. Ella płacze, opuszczając powieki.

Nagle zbiera mi się na wymioty.

Ręce trzęsą mi się tak bardzo, że nie mogę już zacisnąć pięści. Patrzę, jakby z oddalenia, jak nożyk upada na podłogę. Stoję w bezruchu, powstrzymuję mdłości, lecz to powoduje dreszcz tak silny, że prawie tracę równowagę. Powoli odwracam się do ojca, który patrzy z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Dopiero za drugim razem udaje mi się wypowiedzieć jedno ciche słowo:

– Co?

On potrząsa głową, udając współczucie.

– Próbuję ci wytłumaczyć. To – mówi, wskazując na projekcję – jest jej przeznaczenie. Na zawsze. Przystań wyobrażać sobie wasze wspólne życie. Przystań uważać ją za osobę...

– To nie może być prawdziwe – rzucam, przerywając mu w pół zdania. Czuję, jak staję się dziki. Nieokiełznany. – To... Powiedz, że to nie jest prawdziwe. Co ty ze mną robisz? Czy to...

– Oczywiście, że jest prawdziwe – odpowiada ojciec. – Juliette już nie ma. Elli nie ma. Równie dobrze mogłaby nie żyć. Już parę tygodni temu wyczyścili jej pamięć. Ale ty nadal masz życie do przeżycia. Słuchasz mnie? Musisz wziąć się w garść.

Nie słyszę go, bo do moich uszu dociera tylko płacz Elli.

Wciąż szlocha – dźwięki są cichsze, smutniejsze, rozpaczliwsze. Wygląda na przerażoną. Jest taka drobna, bezradna, kiedy czyjeś obce ręce bandażują jej otwarte rany na kończynach. Patrzę, jak zakładają jej na nadgarstki i kostki metalowe kajdany. Jeszcze raz jęczy.

Czuję, że tracę rozum.

Inaczej być nie może. Słuchanie jej krzyków i oglądanie, jak walczy o życie, jak krztusi się własną krwią, kiedy ja mogę tylko stać beczynnym...

Nigdy nie zapomnę tego dźwięku.

Cokolwiek się wydarzy, dokądkolwiek ucieknę, te wrzaski – jej wrzaski – nigdy nie przestaną mnie dręczyć.

– Chciałeś, żebym to zobaczył? – szepczę, bo nie potrafię mówić głośniej. – Dlaczego?

On coś odpowiada. Krzyczy na mnie. Jednak ja nagle jestem głuchy.

Odgłosy świata wydają się zniekształcone, odległe, jakby moja głowa znalazła się pod powierzchnią wody. Ogień w moim umyśle został ugaszony, zastąpił go nagły i zupełny spokój. Poczucie pewności. Wiem, co muszę zrobić. I wiem, że nie ma nic – nie ma takiej rzeczy, której bym dla niej nie zrobił.

Czuję to. Czuję, jak resztki mojej moralności znikają. Moja cienka, przeżarta przez mole skóra człowieczeństwa się rozpuszcza, a razem z nią całun, który chronił mnie przed ciemnością. Nie ma już granic, których bym nie przekroczył. Nie ma iluzji litości.

Chciałem być dla niej lepszy. Dla jej szczęścia. Dla jej przyszłości.

Lecz skoro jej nie ma, na co mi dobro?

Biorę głęboki oddech. Czuję się dziwnie wolny, nie krępuje mnie już poczucie powinności czy przyzwoitości. I jednym płynnym ruchem podnoszę nożyk, który upuściłem na podłogę.

– Aaron – mówi ostrzegawczo ojciec.

– Nie chcę cię słuchać – odpowiadam. – Nie chcę, żebyś kiedykolwiek się do mnie odzywał.

Rzucam nożyk, jeszcze zanim te słowa opuszczą moje usta. Pocisk leci szybko i rozkoszuję się tą chwilą, gdy znajduje się w stanie nieważkości. Sekunda się rozciąga, eksploduje w dziwności czasu, a ja się nią delectuję. Mam wrażenie, jakby to się działo w zwolnionym tempie. Oczy mojego ojca otwierają się szerzej w rzadkim momencie nieskrywanego szoku, a ja uśmiecham się na dźwięk zduszonego krzyku, jaki się rozlega, gdy nożyk trafia. Celowałem w tętnicę szyjną i wygląda na to, że nie chybiłem. Ojciec się krztusi, wybałusza oczy, jego ręce z drżeniem fruną, by wyciągnąć ostrze.

Nagle kaszle, krew tryska daleko, i ojciec z pewnym wysiłkiem jest w stanie wyszarpnąć kawałek metalu z szyi. Jego koszula płami się na czerwono, ten sam kolor wypływa z jego ust. Ostrze przebiło tchawicę i ojciec nie może się odezwać. Jedyne wciąga powietrze, wciąż się krztusząc, a jego usta otwierają się i zamykają jak u ryby wyciągniętej na brzeg.

Pada na kolana.

Jego dłonie próbują chwycić powietrze, tętnice pracują pod skórą. Robię krok w jego stronę i patrzę, jak błaga o coś bez słów. Przeszukuję go i zabieram dwa pistolety, które miał przy sobie schowane.

– Miłego pobytu w piekle – szepczę i odchodzę.

Nic już się nie liczy.

Muszę ją znaleźć.

JULIETTE

ELLA

Lewo.

Prawo.

Prosto.

Lewo.

Moje stopy słuchają rozkazów, poruszając się bezgłośnie po korytarzu. Teren jest wielki. Ogromny. Mój pokój był tak zwyczajny, że prawda o tym budynku okazała się wstrząsająca. Otwarta konstrukcja odsłania przede mną dziesiątki pięter, korytarzy i klatek schodowych, które łączą się niczym autostrady. Sufit sprawia wrażenie, jakby znajdował się kilometry stąd, wysoki, łukowaty, skomplikowany. Odkryte stalowe żerdzie, czyste białe kładki wokół otwartego wewnętrznego podwórza. Nie miałam pojęcia, że jestem aż tak wysoko. A jednak mimo otwartej przestrzeni nikt mnie jeszcze nie zauważył.

Z minuty na minutę robi się coraz upiorniej.

Nikogo po drodze nie spotykam, bo zawsze w kluczowym momencie otrzymuję polecenie, żeby biec, zmienić kierunek albo się ukryć. To niesamowite. Mimo to idę już od przynajmniej dwudziestu minut i jakoś nie czuję, bym zbliżała się do jakiegokolwiek celu. Nie mam pojęcia, gdzie jestem, w pobliżu nie widzę żadnych okien. Cały ten obiekt sprawia wrażenie złotej klatki.

Cisza między mną a moją wyimaginowaną przyjaciółką się przeciąga i zaczyna wzbudzać mój niepokój. Wydaje mi się, że ten głos należy do Emmaline, lecz jeszcze tego nie potwierdziła. I chociaż chciałabym coś powiedzieć, czuję się głupio na myśl, że miałabym to zrobić na głos. Dlatego tylko myślę:

Emmaline? Jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi.

Mój niepokój osiąga punkt kulminacyjny i zamieram.

Dokąd mnie zabierasz?

Tym razem odzywa się od razu.

Wolność.

Jesteśmy już blisko? – pytam.

Tak.

Biorę głęboki oddech i ruszam do przodu, lecz strach wciąż się czai i przedostaje do moich zmysłów. Im dłużej idę – korytarzami i niezliczonymi schodami – tym bliżej zdaję się czegoś, co napełnia mnie lękiem. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

To jasne, że znalazłam się pod ziemią.

Światła są coraz słabsze. Korytarze węższe. Okna i klatki schodowe znikają. I kiedy ściany się zmieniają, wiem, że właśnie docieram do trzewi budynku. Przepadło gdzieś gładkie białe wykończenie. Tutaj wszędzie widzę żywy beton. Czuję zimno i wilgoć. Pachnie ziemią. Światła brzęczą i szumią, od czasu do czasu pstrykają.

Strach bezustannie wspina się po moim kręgosłupie.

Zsuwam się po lekkim nachyleniu, buty trochę mi się ślizgają. Czuję, jak coś ściska mi płuca. Serce bije głośno, zbyt głośno, a w rękach i nogach zaczynam mieć dziwne odczucia. Ogólnie za dużo czuję. Dostaję od tego gęsiej skórki, moje kości swędzą. Nagle dopada mnie niepokój, nerwowość. I kiedy już tracę resztki nadziei, że ta szalona, kręta droga doprowadzi mnie do wyjścia...

Tutaj.

Zatrzymuję się.

Stoję przed wielkimi kamiennymi drzwiami. Tętno pulsuje mi dziko w gardle. Waham się, strach zaczyna kruszyć moją pewność.

Otwórz.

– Kim jesteś? – pytam jeszcze raz, tym razem na głos. – To wcale nie wygląda jak droga ucieczki.

Otwórz.

Zaciskam powieki, napęnlam płuca powietrzem.

Zaszłam tak daleko, mówię do siebie w myślach. W tej chwili nie mam innej opcji. Równie dobrze mogę dojść do końca.

Lecz kiedy otwieram drzwi, zdaję sobie sprawę, że to dopiero pierwsze z wielu. Nie wiem, dokąd zmierzam, ale mój cel chronią kilkupoziomowe środki bezpieczeństwa. Mechanizmy, którymi otwiera się drzwi, zbijają mnie z tropu – nie widzę żadnych gałek ani klamek, żadnych tradycyjnych zawiasów – ale wystarczy, że ich dotknę, a same ustępują.

To zbyt łatwe.

Wreszcie docieram przed stalową ścianę. Nic nie wskazuje na to, by znajdowało się za nią jakieś pomieszczenie.

Dotknij.

Nieśmiało przykładam palce do metalu.

Więcej.

Przyciskam mocno całą dłoń i w ciągu kilku sekund ściana topnieje. Rozglądam się nerwowo i robię krok do przodu.

Od razu poznaję, że zostałam oszukana.

Robi mi się niedobrze, dopadają mnie mdłości i strach. To miejsce jest tak dalekie od wyjścia, że nie wierzę, jak mogłam być tak łatwowierna. Znalazłam się w laboratorium.

Kolejnym laboratorium.

Coś we mnie pęka pod naporem paniki, kości i organy obijają się o siebie, krew uderza mi do głowy. Biegnę do wyjścia, lecz ono się zasklepia, metalowa ściana z łatwością wraca na swoje miejsce, jakby materializowała się w powietrzu.

Oddycham kilka razy, błagając samą siebie o spokój.

– Pokaż się! – krzyczę. – Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz?

Pomóż.

Moje serce zamiera. Czuję, jak mój lęk się rozszerza i kurczy.

Umieram.

Dostaję gęziej skórki. Zapiera mi dech, dłonie same zaciskają się w pięści. Robię krok w głąb pomieszczenia, a potem jeszcze kilka. Wciąż jestem ostrożna, boję się, że to kolejna część podstępu...

I wtedy to widzę.

Szklany cylinder wysoki i szeroki jak ściana, wypełniony po brzegi wodą. W środku unosi się jakaś

postać. Do przodu popycha mnie coś silniejszego od strachu, silniejszego niż ciekawość, silniejszego niż zdziwienie.

Obmywa mnie *uczucie*.

Uderzają we mnie wspomnienia.

Przez mętną wodę sięga jakaś patykowata ręka, drżące palce lekko się zaciskają i pukają słabo o szybę.

Z początku dostrzegam tylko jej dłoni.

Lecz im bliżej jestem, tym wyraźniej widzę, co z nią zrobili. I nie potrafię ukryć przerażenia.

Ona przysuwa się do szyby i zauważam zarys jej twarzy. Emmaline właściwie już nie ma. Jej usta zostały permanentnie przytwierdzone do regulatora, skóra utworzyła pajęczynkę wokół silikonu. Włosy są bardzo długie, ciemne i dzikie, unoszą się wokół niej jak cieniutkie macki. Nos wtopił się w czaszkę, powieki na stałe opadły, ciemne rzęsy to jedyny znak, że kiedykolwiek się unosiły. Palce u stóp i dłoni są połączone błoną pławną. Nie ma paznokci. Jej kończyny składają się głównie z kości i obwisłej, pomarszczonej skóry.

– Emmaline – szepczę.

Umieram.

Bez ostrzeżenia pojawiają się łzy, gorące i prędkie, łamią mnie od środka.

– Co oni ci zrobili? – mówię ochryplym głosem. – Jak mogli ci to zrobić?

Rozlega się tępy, metaliczny odgłos. Dwukrotnie.

Emmaline pod pływa bliżej. Przyciska połączone palce do szklanej bariery, więc ocieram szybko oczy i wyciągam rękę. Przykładam dłoń do szkła i choć to niemożliwe, jakimś cudem czuję, jak ona ją chwyta. Czuję miękkość. Ciepło. Siłę.

I wtedy, wciągając gwałtownie powietrze...

Uczucie pulsuje przeze mnie, fala za falą emocji bezkresnych jak czas. Wspomnienia, dawno wygasłe nadzieje i marzenia. Siła tego wszystkiego przyprawia mnie o zawroty głowy; pochylam się do przodu i zaciskam zęby, opieram się czołem o szklaną barierę między nami. Mój umysł napełniają obrazy przypominające klatki ze starego filmu.

Życie Emmaline.

Chce, żebym wiedziała. Czuję się tak, jakby coś mnie w nią wciągało, jakby ona zabierała mnie do własnego ciała, pogrążała mnie we własnym umyśle. Wspomnieniach.

Widzę ją młodszą, o wiele młodszą. Ma osiem czy dziewięć lat. Jest pełna życia, wściekła. Trudna do kontrolowania. Sama nad sobą nie panuje i nie wie, jak się czuć ze swoimi zdolnościami. Jest przekonana, że została przeklęta, że ją duszą. Lecz inaczej niż mnie, trzymają ją tutaj, w domu, dokładnie w tym laboratorium, gdzie zmuszają ją do licznych eksperymentów przeprowadzanych przez jej rodziców. Przeszywa mnie jej gniew.

Pierwszy raz zdaję sobie sprawę, jakim luksusem jest móc zapomnieć.

Ona go nie miała.

Max i Evie – a nawet Anderson – wielokrotnie próbowali usunąć wspomnienia Emmaline, lecz jej ciało opierało się ich wysiłkom. Jej umysł był tak silny, że zdołała przekonać własny mózg, by zwalczył substancje chemiczne, które miały rozpuścić jej pamięć. Max i Evie starali się, lecz Emmaline nigdy ich nie zapomniała.

Zamiast tego patrzyła, jak rodzice zwracają się przeciwko niej.

Jak wywracają ją na drugą stronę.

Emmaline opowiada mi o tym wszystkim, nie mówiąc ani słowa. Nie może mówić. Straciła cztery z pięciu zmysłów.

Na początek oślepla.

Rok później straciła węch i dotyk, jednocześnie. Wreszcie przestała też mówić. Jej język i zęby się rozpadły. Jej struny głosowe zanikły. Usta zespoliły się na stałe.

Teraz już tylko słyszy. Lecz słabo.

Widzę zmianę w scenerii, Emmaline jest trochę starsza, trochę bardziej skrzywdzona. Widzę, jak w jej oczach coś gaśnie. I wtedy zdaję sobie sprawę, co dla niej zaplanowali. Wreszcie rozumie powód, dla

którego tak bardzo jej pragnęli...

Niepohamowana groza zapiera mi dech w piersi.

Padam na kolana. Siła jej emocji rozrywa mnie od środka. Szloch łamie mi plecy, dreszcze rozchodzą się po kościach. Czuję wszystko. Jej ból, jej niekończący się ból.

Jej bezradność wobec tego cierpienia.

Emmaline chce, by to się skończyło.

Skończ, mówi bezgłośnie, lecz słowo rozlega się jak eksplozja.

Z pewnym wysiłkiem unoszę głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Przez cały ten czas to byłaś ty? – szepczę. – To ty zwróciłaś mi wspomnienia?

Tak.

– Jak? Dlaczego?

Pokazuje mi.

Czuję, jak plecy mi się prostują pod wpływem wizji. Widzę Evie i Maxa, słyszę ich zniekształcone rozmowy, które docierają do wnętrza szklanego więzienia. Przez lata próbowali uczynić Emmaline silniejszą, szukali sposobów, żeby zwiększyć jej zdolności telekinetyczne. Chcieli, żeby jej moc ewoluowała. Chcieli, żeby nauczyła się kontroli umysłów.

Kontroli umysłów mas.

Skutki były opłakane.

Im więcej eksperymentów na niej przeprowadzali – im większy wywierali na nią nacisk – tym silniejsza i słabsza się stawała. Jej umysł był w stanie poradzić sobie z fizycznymi zmianami, lecz serce nie. W tym samym czasie, gdy ją wznosili, ściągali ją w dół.

Straciła wolę życia. Wolę walki.

Już nie miała pełnej kontroli nad swoim ciałem; nawet jej zdolności były teraz regulowane przez Maxa i Evie. Stała się marionetką. A im bardziej była apatyczna, tym mniej ją rozumieli. Max i Evie myśleli, że Emmaline w końcu poddaje się ich woli.

Zamiast tego jej stan się pogarszał.

I wtedy...

Kolejna scena. Emmaline słyszy kłótnię. Max i Evie rozmawiają o mnie. Emmaline od lat nie słyszała, żeby o mnie wspominali. Nie miała pojęcia, że w ogóle jeszcze żyję. Dowiaduje się, że walczę. Że stawiam opór Przywróceniu i nawet próbowałam zabić jednego z najwyższych przywódców.

Emmaline pierwszy raz od dawna czuje nadzieję.

Zakrywam usta dłońmi. Robię krok do tyłu.

Emmaline nie ma oczu, lecz i tak czuję, jak na mnie patrzy. Obserwuje moją reakcję. Jest mi słabo, nie tracę czujności, jednak jestem przytłoczona.

Wreszcie rozumiem.

Emmaline zużywała resztki swoich sił, żeby się ze mną porozumieć – i nie tylko ze mną, ale też ze wszystkimi pozostałymi dziećmi przywódców.

Pokazuje mi, wnikając do mojego umysłu, jak udało jej się wykorzystać ostatnie wysiłki Maxa i Evie, by rozszerzyć swoje zdolności. Nigdy nie była w stanie docierać indywidualnie do ludzi, ale Maxa i Evie dopadła chciwość. I właśnie to stało się fundamentem ich upadku.

Emmaline uważa, że jesteśmy ostatnią nadzieją dla świata. Chce, żebyśmy stanęły do walki i uratowały ludzkość. Powoli przywracała nam wspomnienia, oddając nam to, co ukradli rodzice. Chce, żebyśmy ujrzeli prawdę.

Pomóż, mówi.

– Pomogę – szepczę. – Obiecuję. Ale najpierw cię stąd uwolnię.

Rozgrzany do czerwoności gniew sprawia, że tracę równowagę. Złość Emmaline jest ostra

i przerażająca. Donośne

NIE

wypełnia mój umysł.

Zamieram, zbita z tropu.

– Co masz na myśli? – pytam. – Przecież muszę pomóc ci się wydostać. Możemy uciec razem. Mam przyjaciółki, uzdrowicielki, które mogą przywrócić...

NIE.

I wtedy w jednej chwili...

Wlewa mi do głowy obraz tak mroczny, że chyba zwymiotuję.

– Nie – odpowiadam drżącym głosem. – Nie zrobię tego. Nie zabiję cię.

Gniew, raz jeszcze ten parzący i dziki gniew atakuje mój umysł. Uderzają we mnie wspomnienia jej nieudanych prób samobójczych, jej niezdolność do wykorzystania własnych mocy przeciwko sobie, niekończące się zabezpieczenia, które zaprojektowali Max i Evie, by Emmaline nie mogła odebrać sobie życia i nie mogła ich skrzywdzić...

– Emmaline, proszę...

POMÓŻ.

– Musi istnieć jakiś inny sposób – mówię z rozpaczą. – To nie może być koniec. Nie musisz umierać. Wspólnie jakoś sobie z tym poradzimy.

Uderza otwartą dłonią w szkło. Jej wyniszczonym ciałem wstrząsają dreszcze.

Już

umieram.

Robię krok do przodu i dotykam jej więzienia.

– To nie miało się tak skończyć – mówię łamiącym się głosem. – Musi być jakieś inne wyjście. Proszę. Chcę odzyskać siostrę. Chcę, żebyś żyła.

Znowu gniew. Gorący i dziki zaczyna rozlewać się po moim umyśle, kiedy...

nagle strach.

Emmaline w zbiorniku sztywnieje.

Idzie.

Rozglądam się i szykuję na nadejście intruza. Adrenalina zaczyna krążyć mi w żyłach.

Czekaj.

Emmaline otoczyła się rękami, jej twarz zmarszczyła się w wyrazie koncentracji. Wciąż wyczuwam emocje siostry w taki sposób, jakby jej myśli prawie stały się moimi.

A potem, niespodziewanie...

Moje kajdany się otwierają.

Obracam się, kiedy padają na podłogę z głośnym szcęknięciem. Zaczynam pocierać obolałe przeguby.

– Jakim cudem...?

Idzie.

Kiwam głową.

– Cokolwiek się dzisiaj wydarzy – szepczę – wrócę po ciebie. To jeszcze nie koniec. Słyszysz? Emmaline, nie pozwolę ci tutaj umrzeć.

Moja siostra po raz pierwszy wydaje się spokojniejsza.

Coś ciepłego i słodkiego wypełnia moją głowę, czułość tak nieoczekiwana, że aż szczypie mnie w oczy.

Nie mogę się teraz temu poddawać.

Słucham kroków.

Strach ulotnił się z mojego ciała. Czuję niezwykły spokój. Jestem silniejsza niż kiedykolwiek. W moich kościach, w moim umyśle drzemie moc. A teraz, gdy pozbyłam się kajdan, wróciły zdolności i przesywają mnie znajome odczucia. To zupełnie tak, jakby dołączył do mnie stary przyjaciel.

Evie wchodzi przez drzwi i patrzę jej w oczy.

Już trzyma wycelowany we mnie pistolet. Nie, to nie pistolet – to coś, co go przypomina. Nie wiem, co to właściwie jest.

– Co tutaj robisz? – pyta, a jej głos brzmi tylko trochę histerycznie. – Coś ty zrobiła?

Potrząsam głową.

Nie mogę już na nią patrzeć, nie poddając się ślepej furii. Samo jej imię sprawia, że ogarnia mnie agresja, zwierzęca potrzeba mordowania gołymi rękami. Evie Sommers to najgorszy rodzaj człowieka. Zdrajczyni ludzkości. Zwyczajna socjopatka.

– Coś ty narobiła? – powtarza i tym razem słycać jej strach. Panikę. Broń w jej dłoni się trzęsie. Oczy są szeroko otwarte, patrzą oszalałe to na mnie, to na Emmaline, która wciąż tkwi uwięziona w zbiorniku za moimi plecami.

I wtedy...

Wtedy to widzę. Zauważam moment, w którym ona dostrzega kajdany na podłodze.

Krew odpływa jej z twarzy.

– Nic nie zrobiłam – odpowiadam cicho. – Jeszcze nie.

Jej pistolet z brzękiem ląduje na posadzce.

W przeciwieństwie do Parisa moja matka nie jest głupia. Dobrze wie, że nie ma sensu do mnie strzelać. W końcu to ona mnie stworzyła. Doskonale zdaje sobie sprawę z moich możliwości. I wie też – widzę to w jej oczach – że za chwilę ją zabiję, że nie może zrobić nic, by temu zapobiec.

A mimo to próbuje.

– Ella – odzywa się niepewnym głosem. – Wszystko, co zrobiłam, co kiedykolwiek zrobiliśmy, miało na celu ci pomóc. Staraliśmy się uratować świat. Musisz to zrozumieć.

Robię krok do przodu.

– Ależ rozumiem.

– Po prostu chciałam uczynić świat lepszym miejscem – ciągnie. – Czy nie chciałabyś tego?

– Tak, chciałabym.

Niemal się uśmiecha. Z jej ust wydobywa się leciutki, urwany oddech.

Westchnienie ulgi.

Dwoma szybkimi krokami pokonuję dzielący nas dystans i wbijam pięść w jej klatkę piersiową, łamiąc żebra. Evie otwiera szeroko oczy i dusząc się, patrzy na mnie w zdumionej, sparaliżowanej ciszy. Kaszle krwią, gorącą i gęstą, pryskając mi nią w twarz. Odwracam się i wypluwam ciecz z ust, a gdy znowu patrzę na matkę, ona już nie żyje.

Ostatnim szarpnięciem wyrywam jej serce.

Evie pada ciężko na podłogę, jej oczy są zimne i szkliste. Wciąż trzymam serce matki, patrząc, jak umiera mi w dłoni, kiedy odzywa się znajomy głos.

Dziękuję.

Dziękuję.

Dziękuję.

WARNER

Opuszczając miejsce zbrodni, zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, gdzie jestem. Przystaję pośrodku korytarza znajdującego się za pokojem, w którym przed chwilą zamordowałem własnego ojca, i próbuję rozgryźć, co teraz. Jestem prawie nagi. Nie mam skarpetek ani tym bardziej butów. To sytuacja daleka od idealnej.

Mimo wszystko muszę ruszać.

Nic z tego.

Nie pokonuję nawet dwóch metrów, kiedy czuję znajome ukłucie igły. Próbuję z tym walczyć, lecz obce substancje wnikają w moje ciało. Pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy stracę przytomność.

Mój wzrok się rozmazuje.

Staram się nad tym zapanować, nie upaść, jednak moje ciało jest słabe. Po dwóch tygodniach głodówki, nieustannego trucia i skrajnego wycieńczenia zużyłem wszystkie zapasy energii i ostatki adrenaliny.

To koniec.

Łąduję na podłodze i pogrążam się we wspomnieniach.

Wciążam gwałtownie powietrze, odzyskując świadomość, łapczywie połykam tlen i podnoszę się zbyt szybko, kręci mi się w głowie.

Do moich skroni i kończyn podłączone są przewody, plastikowe końcówki ściskają miękkie tkanki moich rąk i nóg, ciągną skórę na nagiej piersi. Zrywam je wszystkie, na co stojące obok urządzenia podnoszą alarm. Wyszarpuję też wenflon i rzucam na podłogę, po czym przez kilka sekund uciskam ranę, ale zaraz zmieniam zdanie, niech sobie krwawi. Wstaję i rozglądam się, ale wciąż czuję, że brakuje mi równowagi.

Mogę się jedynie domyślać tożsamości osoby, która wstrzyknęła mi środek usypiający. Jednak nie odczuwam paniki. Zabicie ojca napełniło mnie nadzwyczajnym spokojem. To chory, potworny powód do świętowania, lecz morderstwo ojca oznacza koniec źródła mojego największego lęku. Po jego śmierci wszystko wydaje się możliwe.

Czuję się wolny.

Mimo to muszę się skupić na tym, gdzie jestem i co się dzieje. Muszę stworzyć jakiś plan ataku, plan ucieczki, plan uratowania Elli. Jednak mój umysł ciągnie w stu różnych kierunkach.

Z minuty na minutę wspomnienia stają się coraz bardziej intensywne.

Nie wiem, ile jeszcze zniosę. Nie wiem, jak długo ten zalew będzie trwał, jak wiele jeszcze zostanie odkryte, lecz te emocjonalne objawienia zaczynają zbierać żniwo.

Kilka miesięcy temu wiedziałem, że kocham Ellę. Wiedziałem, że czuję do niej coś, czego nie czułem nigdy wcześniej. Wydawało mi się to nowe, cenne i kruche.

Ważne.

Jednak przez ostatnie kilka tygodni każdego dnia – w każdej minucie – byłem bombardowany wspomnieniami, o których istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia. Nasze wspólne chwile sprzed lat. Dźwięk jej śmiechu, zapach włosów i spojrzenie, kiedy po raz pierwszy się do mnie uśmiechała. To uczucie, gdy trzymałem jej dłoń i wszystko było nowe i nieznanne...

Trzy lata temu.

Jak to możliwe, że dotykałem jej w ten sposób trzy lata temu? Skąd wiedzieliśmy, że możemy być razem, nie znając tak naprawdę przyczyny tej pewności? Że Ella może mnie dotykać, nie sprawiając mi bólu? Jak to możliwe, że każda z tych chwil została siłą usunięta z mojego umysłu?

Nie miałem pojęcia, że tyle straciłem. Nie miałem też pojęcia, że było coś, co mogłem utracić.

Ugrzęzła gdzieś we mnie silna, bolesna tęsknota, która niesie ze sobą ciężar lat. Rozstania z Juliette – Ellą – zawsze były trudne, ale teraz wydają się nie do zniesienia.

To uczucie powoli mnie niszczy.

Muszę ją zobaczyć. Muszę ją przytulić. W jakiś sposób ją do siebie przywiązać. Nie uwierzę w ani jedno słowo ojca, dopóki jej nie zobaczę i nie pomówię z nią osobiście.

Nie mogę się poddać. Jeszcze nie.

Pieprzyć to, co się wydarzyło między nami w bazie. Tamte chwile wydają się należeć do innego

życia. Jakby przytrafiły się innym ludziom. Kiedy już ją znajdę i zabiorę w bezpieczne miejsce, w jakiś sposób nas ze sobą pogodzę. Czuję, jakby coś, co we mnie umarło, teraz powoli wracało do życia – jakby moje nadzieje i marzenia przechodziły resuscytację, jakby dziury w moim sercu zaszywały się, kawałek po kawałku. Znajdę ją. A kiedy to się stanie, wymyślę, jak sprawić, byśmy już nigdy się nie rozstawali.

Biorę głęboki oddech.

A potem wstaję.

Szykuję się na znajome ukłucie bólu w pękniętych żebrach, lecz gdzieś przepadło. Ostrożnie dotykam swojego tułowia; opuchlizna zniknęła. Dotykam twarzy i z zaskoczeniem odkrywam, że skóra jest gładka, ogolona. Dotykam włosów i przekonuję się, że wróciły do wcześniejszej długości – są dokładnie takie, jakie były, zanim musiałem je obciąć na krótko.

Dziwne.

Mimo to od dawna nie czułem się tak bardzo sobą i w duchu jestem za to wdzięczny. Jedyne, co mnie dręczy, to że nie mam na sobie nic prócz szpitalnej koszuli, pod którą jestem zupełnie nagi.

Mam już po dziurki w nosie nagości.

Chcę odzyskać swoje ubrania. Chcę włożyć na siebie porządne spodnie. Chcę...

I wtedy, zupełnie jakby ktoś czytał mi w myślach, na stoliku nieopodal zauważam świeży zestaw ubrań. Na pierwszy rzut oka wydają się w moim rozmiarze.

Sięgam po sweter. Przyglądam mu się.

To są moje ubrania. Znam je. Rozpoznaję. I jakby tego było jeszcze mało, na rękawie dostrzegam swój monogram – AWA. To nie przypadek. Ktoś przyniósł tutaj moje ubrania. Z mojej szafy.

Spodziewali się mnie.

Ubieram się szybko, mimo wszystko wdzięczny. Już prawie uporałem się ze sznurowadłami, kiedy ktoś wchodzi do pokoju.

– Max – mówię, nie podnosząc głowy. Ostrożnie staję na igle wenflonu, który wcześniej rzuciłem na podłogę. – Jak się miewasz?

Mężczyzna śmieje się głośno.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Rozpoznałem rytm twoich kroków.

Max milknie.

– Nawet nie próbuj zaprzeczać – ciągnę i się podnoszę, chowając w dłoni strzykawkę. Z uśmiechem spoglądam przybyszowi w oczy. – Słuchałem twojego ciężkiego, nierównego kroku przez ostatnie dwa tygodnie.

Max otwiera szeroko oczy.

– Jestem pod wrażeniem.

– Dziękuję za ogolenie mnie – odpowiadam, dotykając twarzy.

Znowu się śmieje, tym razem ciszej.

– Kiedy cię tutaj sprowadziłem, byłeś bliski śmierci. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy znalazłem cię prawie nagiego, poważnie odwodnionego, wygłodzonego, z deficytami witamin. Miałeś trzy pęknięte żebra. I krew ojca na rękach.

– Trzy pęknięte żebra? Myślałem, że dwa.

– Trzy pęknięte żebra – powtarza Max i kiwa głową. – A mimo to zdołałeś przebić arterię Parisa. Niezła robota.

Patrzę mu w oczy. Max uważa to za zabawne.

I wtedy to do mnie dociera.

– On wciąż żyje, prawda?

Max uśmiecha się szerzej.

– Owszem, żyje. Mimo twoich wysiłków.

– To się wydaje niemożliwe.

– A ty się wydajesz zirytowany – zauważa Max.

– Bo jestem zirytowany. Jego przetrwanie źle świadczy o moich umiejętnościach.

Max próbuje zdusić kolejny śmiech.

– Nie przypominam sobie, żebyś był taki dowcipny.

– Wcale nie silę się na dowcip.

Jednak Max jakoś nie może przestać się uśmiechać.

– Powiesz mi w końcu, jak udało mu się przeżyć? – pytam. – Czy tylko będziesz się ze mną droczył?

– Czekam na żonę – oznajmia.

– Rozumiem. Pomaga ci się wysławić?

Max unosi wysoko brwi.

– Uważaj, żebyś się nie zagalopował, Aaron.

– Wybacz. A teraz zjedź mi z drogi, proszę.

– Jak już mówiłem, czekam na żonę. Ma ci coś do powiedzenia.

Przyglądam mu się, pierwszy raz poświęcając tyle uwagi jego twarzy. Ma ciemne brązowe włosy, jasnobrązową skórę i błękitno-zielone oczy. Starzeje się z gracją. W innych okolicznościach mógłbym uznać jego twarz za ciepłą, przyjazną. Jednak teraz wiem, że jest ojcem Elli. I niemal nie mogę uwierzyć, że nie zauważyłem tego wcześniej. Córka odziedziczyła po nim oczy.

Słyszę zbliżające się do drzwi kroki drugiej osoby. Spodziewam się zobaczyć Evie Sommers, najwyższą przywódczynię Oceanii, lecz zamiast niej...

– Max, jak długo twoim zdaniem zajmie...

Mój ojciec. Jego głos.

Aż trudno mi w to uwierzyć.

Zatrzymuje się w progu na widok mojej twarzy. Przy gardle przytrzymuje zakrwawiony ręcznik.

– Ty idioto – rzuca do mnie.

Nie mam czasu na odpowiedź.

Rozlega się ostry dźwięk alarmu i Max nagle zamiera. Zerka na monitor na ścianie, po czym kieruje wzrok na mojego ojca.

– Idź – mówi do niego Anderson. – Ja sobie poradzę.

Max ostatni raz się na mnie ogląda i znika.

– No więc – mówię, wskazując na twarz ojca i jego gojącą się ranę. – Zamierzasz to wytłumaczyć?

On tylko na mnie patrzy.

Przyglądam się uważnie, jak wolną ręką wyciąga z kieszeni chusteczkę. Wyciera resztki krwi z ust, składa tkaninę i chowa z powrotem.

Coś się między nami zmieniło.

Czuję to. Czuję, że ma już do mnie inne podejście. Potrzebuję chwili, żeby pozbierać różne wskazówki i odczytać jego emocje, lecz kiedy wreszcie mnie to uderza, cios prawie zmiata mnie z nóg.

On mnie szanuje.

Pierwszy raz w życiu ojciec spogląda na mnie z czymś na kształt szacunku. Próbowałem go zabić i zamiast furii dostrzegam w nim zadowolenie. Może nawet jest pod wrażeniem.

– Dobrze sobie poradziłeś – mówi cicho. – To był mocny rzut. Solidny.

Dziwnie bym się czuł, przyjmując jego komplement, więc milczę.

Ojciec wzdycha.

– Jeden z powodów, dla których postanowiłem zabrać ze sobą te uzdrowicielki – tłumaczy w końcu – był taki, że chciałem, by Evie je zbadała. Miała zreplikować ich DNA i wszyć w moje. Doszedłem do wniosku, że moc samouzdrawiania jest niezwykle przydatna.

Przechodzi mnie lodowaty dreszcz.

– Niestety nie miałem ich w swoich rękach dość długo – ciągnie. – Udało mi się pobrać jedynie kilka próbek krwi. Evie zrobiła, co mogła.

Mrugam, zaskoczony. Staram się zachować neutralny wyraz twarzy.

– Czyli teraz masz moc uzdrawiania?

– Nadal nad tym pracujemy – odpowiada i zaciska szczęki. – Nie działa jeszcze idealnie. Ale wystarczyło, żebym pożył dość długo, by przetransportowano mnie w bezpieczne miejsce. – Posyła mi gorzki uśmiech. – Niestety moje stopy tego nie przetrwały.

– Jaka szkoda – kłamię.

Sprawdzam ciężar strzykawki w dłoni. Ciekawe, ile szkód udałoby mi się wyrządzić. Mogę go co najwyżej otumanić, ale jeśli odpowiednio wyceluję i trafię w nerw, spowoduję ból, który da mi trochę czasu.

Chociaż to samo osiągnąłbym też ciosem w oko.

– Operacja Synteza – rzuca ostro ojciec.

Unoszę wzrok, zdumiony.

– Jesteś gotów, Aaron. – Patrzy na mnie spokojnie. – Jesteś gotów na prawdziwe wyzwanie. Masz w sobie potrzebny do tego ogień. Zapał. Pierwszy raz to w tobie dostrzegam.

Boję się odezwać.

Wreszcie, po tych wszystkich latach, ojciec mnie chwali. Mówi, że się do czegoś nadaję. Jako dziecko nie marzyłem o niczym innym.

Tylko że wyrosłem z tego.

– Widziałeś Emmaline – ciągnie. – Jednak dawno temu. Nie masz pojęcia, w jakim jest teraz stanie.

Czekam.

– Ona umiera. Jej ciało nie jest dość silne, żeby poradzić sobie z warunkami otoczenia i jej umysłem, mimo wysiłków Maxa i Evie. Nie wiadomo, czy da się jej jeszcze jakoś pomóc. Latami pracowali nad tym, żeby przedłużyć jej życie, ile tylko się da, lecz natrafili na ścianę. Nic już się nie da zrobić. Opada z sił tak szybko, że nie są w stanie nad tym zapanować.

Nadal milczę.

– Rozumiesz? – pyta mnie ojciec. – Zdajesz sobie sprawę, jak ważne jest to, o czym ci teraz mówię? Emmaline ma zdolność nie tylko psychokinezy, ale też telepatii. Jej umierające ciało nie panuje nad nieokiełznanym umysłem. Jest zbyt silna. Zbyt wybuchowa. A ostatnio, kiedy jej ciało opadło z sił, stała się niestabilna. Jeśli nie dostanie...

– Ani mi się waż – warczy ktoś głośno w pokoju. – Ani słowa więcej. Ty tępaku, ty głupcze.

Odwracam się i zaskoczenie ściska mnie w gardle.

Najwyższy przywódca Ibrahim. Wydaje się wyższy, niż go zapamiętałem. Ciemna skóra, ciemne oczy. Gniew.

– Spokojnie – mówi do niego nieprzejęty ojciec. – Evie zajęła się...

– Evie nie żyje – wypala ze złością Ibrahim. – Musimy natychmiast zainicjować transfer.

– Słucham? – Ojciec blednie jak nigdy wcześniej. Jest przerażony jak nigdy wcześniej. – Jak to nie żyje?

Oczy Ibrahima błyskają groźnie.

– Tak, że mamy poważny problem. – Spogląda na mnie. – Trzeba chłopaka znowu uwięzić. W tej chwili nie możemy ufać żadnemu z nich. Nie wiemy, co mogła zrobić.

I kiedy zastanawiam się nad swoim następnym ruchem, słyszę, jak ktoś szepcze mi do ucha:

– Nie krzycz.

To Nazeera.

JULIETTE

ELLA

Biegnę, ile sił w nogach, pędzę przez korytarze i po schodach. Rozległ się niski, przeszywający głos syreny alarmu, a jej przenikliwe dźwięki wywołują we mnie fale strachu. Czuję się silna i spokojna, lecz jednocześnie coraz mocniej uderza we mnie świadomość, że nie umiem odnaleźć drogi w tych krętych przejściach. Odchodząc, widziałam – i czułam – że Emmaline słabnie, a teraz, im dalej się od niej znajduję, tym mniej wyraźna jest łącząca nas więź. We wspomnieniach pokazała mi, jak Max i Evie stopniowo pozbawiali ją kontroli; Emmaline jest potężniejsza niż ktokolwiek inny, lecz teraz może wykorzystywać swoje moce jedynie na rozkaz. Potrzebowała całej swojej siły, żeby przebić się przez zabezpieczenia na dość długo, by odzyskać część niezależności, a teraz, kiedy jej głos wycofał się z mojego umysłu, wiem, że nie wróci. Przynajmniej nie w najbliższym czasie. Muszę sama się stąd wydostać.

I tak zrobię.

Moja moc wróciła. Od tej pory nic nie zdoła mnie zatrzymać. I nie zatrzyma. Słyszę jakiś krzyk i odwracam się, gotowa do walki...

Lecz twarz w oddali jest tak znajoma, że zamieram zdumiona w pół kroku.

Wpada na mnie Kenji.

Kenji.

Kenji mnie ściska. Ściska mnie i jest cały i zdrowy.

Jest idealny.

Już mam odwzajemnić przyjacielski gest, kiedy on klnie głośno i odskakuje do tyłu.

– Chryste, kobieto... Czy ty chcesz mnie zabić? Nie możesz na moment wyłączyć tego cholerstwa? Naprawdę musisz niszczyć taką piękną, dramatyczną scenę ponownego spotkania, prawie mnie mordując, chociaż zadałem sobie tyle trudu...

Jeszcze raz rzucam mu się na szyję i Kenji sztywnieje, ale zaraz się rozluźnia, zdawszy sobie sprawę, że wycofałam swoje zdolności. Na moment zapomniałam, jak dużo skóry odsłania moja sukienka.

– Kenji, ty żyjesz. Jesteś cały. Mój Boże.

– Hej, hej. – Odsuwa się, patrzy mi w oczy. – Nic mi nie jest. A tobie?

Właściwie nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie. W końcu mówię:

– Chyba.

Przez chwilę przygląda się mojej twarzy. Wydaje się zmartwiony.

A potem, kiedy strach ściska mi mocniej gardło, zadaje pytanie, które najbardziej mnie dręczy:

– Gdzie jest Warner?

Kenji potrząsa głową.

A ja czuję, jak się rozpadam.

– Jeszcze nie wiem – wyjaśnia cicho mój przyjaciel. – Ale znajdziemy go, dobra? Nic się nie martw.

Potakuję. Drży mi dolna warga i ją przygryzam, lecz nie udaje mi się nad tym zapanować. Drżenie nabiera mocy, przeobraża się w dreszcz, który wstrząsa mną całą.

– Hej – rzuca Kenji.

Unoszę wzrok.

– Może mogłabyś wytłumaczyć, skąd ta krew?

Mrugam.

– Jaka krew?

Unosi brwi.

– Ta krew. – Wskazuje zamasztyłem gestem na całe moje ciało. – Na twojej twarzy. Sukience. Na rękach.

– Och – bąkam zaskoczona. Spoglądam na swoje dłonie, jakbym widziała je po raz pierwszy. – Ta krew.

Kenji wzdycha i patrzy na coś za moimi plecami. Wyciąga z tylnej kieszeni parę rękawiczek i wkłada.

– Dobra, księżniczko, uruchom z powrotem swoją moc. Musimy ruszać.

Odsuwamy się i Kenji obejmuje nas oboje swoją niewidzialnością.

– Chodź za mną – mówi, chwytając mnie za rękę.

– A dokąd? – pytam.

– Jak to dokąd? Spieprzamy stąd.

– Ale... co z Warnerem?

– Nazeera w tej chwili go szuka.

Zatrzymuję się nagle i niemal tracę równowagę.

– Nazeera jest tutaj?

– Eee, no... Ech, to długa historia. Tak czy inaczej, jest tutaj.

– Czyli to ona cię sprowadziła.

Kenji wzdycha z niedowierzaniem.

– Nieźle, czyli od razu zakładasz, że nie miałem w tym żadnego udziału, co? Daj spokój, J, przecież wiesz, że uwielbiam ratować ludzi. Wiem to i owo. Umieć sobie poradzić.

Pierwszy raz od tygodni czuję, jak uśmiech rozciąga mi usta. Wzbiera we mnie śmiech i wydostaje się na zewnątrz. Tak strasznie mi tego brakowało. Tak strasznie brakowało mi przyjaciół. Emocje z zaskakującą siłą ściskają mi gardło.

– Tęskniłam za tobą, Kenji. Bardzo się cieszę, że tu jesteś.

– Hej – rzuca ostro Kenji. – Ani mi się waży płakać. Jak się rozkleisz, ja też się rozkleję, a nie mamy teraz na to czasu. Za dużo roboty, okej? Później sobie popłaczymy, w bardziej dogodnym momencie. Dobra?

Ponieważ nie odpowiadam, on ściska moją dłoń.

– Dobra? – powtarza.

– Dobra.

Słyszę, jak wzdycha.

– Cholera, naprawdę cię tutaj dręczyli, co?

– No.

– Bardzo mi przykro.

– Możemy później sobie z tego powodu popłakać? O wszystkim ci opowiem.

– No jasne, że możemy. – Kenji ciągnie mnie lekko za rękę, żebyśmy znowu ruszyli. – Mam masę rzeczy do przepłakania, J. Masę. Powinniśmy, wiesz, zrobić listę.

– Świetny pomysł – stwierdzam, lecz znowu mam gulę w gardle.

– Hej, nic się nie martw – odpowiada Kenji, czytając mi w myślach. – Poważnie. Znajdziemy Warnera. Nazeera wie, co robi.

– Ale nie wydaje mi się, żebyśmy mogli po prostu czekać, aż Nazeera go znajdzie. Nie mogę sterczeć beczynnie... Muszę coś zrobić. Muszę sama go poszukać...

– Aha. Nie ma takiej opcji. Celowo się rozdzieliliśmy. Moja misja polega na przetransportowaniu cię na pokład samolotu. Jej misja polega na przetransportowaniu tam Warnera. Tak to działa.

– Czekaj... Macie samolot?

– A myślisz, że jak niby się tutaj dostaliśmy?

– Nie miałam pojęcia.

– Cóż, to kolejna długa historia, którą poznasz później, ale najważniejsze jest to, że Nazeera może strasznie kręci, ale pomaga, a zgodnie z jej obliczeniami powinniśmy byli wynieść się stąd wczoraj. Kończy nam się czas.

– Czekaj, Kenji... Co się stało z resztą? Kiedy ostatni raz cię widziałam, krwawiłeś. Brendan został postrzelony. Castle leżał na podłodze. Myślałam, że wszyscy nie żyją.

Kenji odpowiada dopiero po chwili.

– Naprawdę nie masz pojęcia, co się wydarzyło, co?

– Wiem tylko tyle, że tak naprawdę nie zabiłam tamtych ludzi na sympozjum.

– Tak? A kto ci o tym powiedział? – Kenji wydaje się zaskoczony.

– Emmaline.

– Twoja siostra?

– No. – Wzdycham ciężko. – Tak wiele rzeczy musisz się dowiedzieć. Ale najpierw, proszę, powiedz, że wszyscy żyją.

Kenji się waha.

– Wiesz co, tak mi się wydaje. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Nazeera twierdzi, że żyją. Obiecuje, że sprowadzi ich w bezpieczne miejsce, więc nie tracę nadziei. Ale słuchaj – zatrzymuje się, kładzie niewidzialną rękę na moim ramieniu – nie uwierzysz.

– Niech zgadnę, Anderson żyje – mówię.

Słyszę, jak Kenji wciąga gwałtownie powietrze.

– Skąd wiesz?

– Evie mi powiedziała.

– Czyli wiesz, jak wrócił do Sektora 45?

– Słucham? Nie.

– No, właśnie miałem ci powiedzieć, że wrócił do bazy. Znowu jest najwyższym przywódcą. Był tam tuż przed tym, jak wylecieliśmy. Nazeera powiedziała mi, że zmyślił historyjkę o tym, jak to się pochorował, a nasza grupa rozpuściła fałszywe wieści w czasie, gdy on dochodził do siebie. Ty rzekomo zostałam stracona za oszustwo.

– Co takiego? – rzucam zdumiona. – To jakieś wariactwo.

– Myślę tak samo.

– No to co zrobimy po powrocie do Sektora 45? Dokąd się udamy? Gdzie się zatrzymamy?

– Cholera wie – stwierdza Kenji. – W tej chwili mam tylko nadzieję, że wydostaniemy się stąd żywi.

Wreszcie docieramy do wyjścia. Kenji wyjmuje kartę-klucz i drzwi otwierają się gładko.

Z tego miejsca reszta idzie aż za łatwo. Jesteśmy niewidzialni, więc nikt nas nie zauważa. A po wejściu na pokład samolotu Kenji spogląda na zegarek.

– Zostało nam trzydzieści minut. Taką mamy zasadę. Jeśli Nazeera nie pojawi się za trzydzieści minut z Warnerem, musimy lecieć sami.

Czuję ukłucie w sercu.

WARNER

Nie mam czasu na szok ani na to, by zapytać Nazeerę, kiedy zamierzała mi z łaski swojej powiedzieć, że potrafi się stać niewidzialna. Robię jedyne, co mogę w tym momencie.

Prawie niezauważalnie kiwam głową.

– Kenji właśnie prowadzi Ellę do samolotu. Ja poczekam przed drzwiami – tłumaczy. – Myślisz, że ci się uda? Jeśli znikniesz na oczach wszystkich, przejrzą nas, a lepiej, żeby po prostu myśleli, że chcesz uciec.

Raz jeszcze potakuję.

– No dobrze, to widzimy się na zewnątrz.

Czekam sekundę albo dwie i ruszam do wyjścia.

– Hej... – woła za mną Ibrahim.

Zatrzymuję się i odwracam nieznacznie na pięcie.

– Słucham?

– Dokąd się wybierasz? – pyta, po czym wyciąga z wewnętrznej kieszeni marynarki broń i celuje we mnie.

– Muszę skorzystać z toalety.

Ibrahim się nie śmieje.

– Poczekasz tutaj do czasu, aż wróci Max. A potem zdecydujemy, co z tobą zrobić.

Patrząc na niego, przechylając głowę. Pistolet, z którego mierzy, wygląda podejrzanie podobnie do jednego z tych ukradzionych przeze mnie ojców.

Nie, żeby to miało jakieś znaczenie.

Biorę szybki oddech.

– Obawiam się, że to tak nie działa – odpowiadam, siląc się na uśmiech. – Chociaż z pewnością wkrótce znowu się zobaczymy, więc nie martwiłbym się moim wyjściem.

I wtedy, zanim ktokolwiek zdąży zaprotestować, wybiegam za drzwi, lecz Ibrahim ma dość szybki refleks, by wystrzelić.

Trzy razy.

Z bliska.

Powstrzymuję krzyk, kiedy jeden z pocisków przebija się przez moją łydkę, chociaż ból prawie pozbawia mnie tchu.

Kiedy jestem już po drugiej stronie drzwi, Nazeera obejmuje mnie swoją niewidzialnością. Już po kilku krokach wciągam gwałtownie powietrze i zsuwam się po ścianie.

– Cholera – rzuca Nazeera. – Trafił cię?

– No raczej – wypalam, starając się zapanować nad oddechem.

– Cholera jasna, Warner, co się z tobą dzieje. Za piętnaście minut musimy być w samolocie, inaczej polecą bez nas.

– Słucham? Dlaczego mieliby...

– Bo tak im kazałam. Za wszelką cenę musimy zabrać stąd Ellę. Nie mogę pozwolić, żeby czekali na nas, ryzykując śmierć.

– Twoje współczucie jest wręcz przytłaczające. Dziękuję.

Wzdycha.

– Gdzie cię trafił?

– W nogę.

– Możesz chodzić?

– Za chwilę powinienem móc.

Wyczuwam jej wahanie.

– Co to ma znaczyć?

– Jeśli pożyję dość długo, może ci powiem.

Nie bawi jej to.

– Naprawdę będziesz mógł za minutę biec?

– Och, czyli jednak mam biec? Chwilę temu pytałaś o chodzenie.

– Byłoby lepiej, gdybyśmy pobiegli.

Wybucham gorzkim śmiechem. To trudne z takiej odległości, ale korzystałem z nowej zdolności ojca, zaprzęgając ją najlepiej, jak mogę. Czuję, jak rana się zasklepia, powoli regenerują się nerwy, naczynia krwionośne, a nawet kawałek kości, jednak trwa to dłużej, niżbym sobie życzył.

– Jak długo będziemy lecieć? – pytam. – Nie pamiętam.

– Mamy odrzutowiec, więc powinno nam to zająć jakieś osiem godzin.

Kiwam głową, chociaż Nazeera i tak mnie nie widzi.

– Chyba nie przetrwam ośmiu godzin z otwartą raną.

– No cóż, dobrze, że mam to gdzieś. Daję ci jeszcze dwie minuty, a potem sama cię stąd wyniosę.

Stękam w odpowiedzi, skupiając całą energię na wchłanianiu zdolności uzdrawiających do swojego ciała. Nigdy wcześniej nie próbowałem czegoś takiego, będąc ranny, i nie zdawałem sobie sprawy, jakie to trudne, zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie. Czuję się wykończony. W głowie mi dudni, szczęka boli od zaciskania, a nogi wydają się płonać. W tym procesie uzdrawiania nie ma nic przyjemnego. Ojciec najwyraźniej się przemieszcza – pewnie szukają mnie razem z Ibrahimem – ponieważ jeszcze nigdy korzystanie z czyichś zdolności nie było tak trudne.

– Ruszamy za trzydzieści sekund – oznajmia Nazeera ostrzegawczo.

Zaciskam zęby.

– Piętnaście.

– Kurwa.

– Czy ty właśnie przekląłeś? – wypala Nazeera ze zdumieniem.

– Niesamowicie cierpię.

– Dobra, to tyle, skończył nam się czas.

I zanim zdążę powiedzieć choćby słowo, podnosi mnie z podłogi.

I unosimy się w powietrzu.

JULIETTE

ELLA

Przez ostatnią minutę gapiliśmy się na siebie nawzajem w nerwowej ciszy. Przez poprzednie dziesięć opowiadałam Kenjiemu o Emmaline, co samo w sobie było stresujące, a potem Kenji pomógł mi zmyć krew z rąk i twarzy, co nie było łatwe na pokładzie samolotu. Teraz oboje siedzimy w ciszy, a przestrzeń dokoła wypełnia nasz połączony strach.

Całkiem ładny ten samolot. A przynajmniej tak mi się wydaje. Właściwie miałam zbyt dużo na głowie, żeby dobrze mu się przyjrzeć. Albo zapytać Kenjiego, które z nas będzie pilotować. Oczywiście to i tak nie ma znaczenia, jeśli Nazeera albo Warner zaraz tu przyjdą.

To na pewno nie będzie miało znaczenia, bo nie zamierzam uciekać stąd bez niego.

Moje myśli są chyba łatwe do odczytania, bo nagle Kenji marszczy brwi.

– Słuchaj, niepokoję się o nich tak samo jak ty. Nie chciałbym zostawiać tutaj Nazeery i nawet nie chcę myśleć o tym, co się tam dzieje, ale musimy cię stąd wydostać.

– Kenji...

– Nie mamy wyjścia, J – odpowiada, przerywając mi w pół zdania. – Musimy cię stąd zabrać, czy ci się to podoba, czy nie. Przywrócenie planuje coś naprawdę podejrzanego, a ty znalazłaś się w samym centrum tego gówna. Musimy zapewnić ci bezpieczeństwo. W tej chwili na tym polega cała moja misja.

Opuszczam twarz w dłonie, a potem, równie szybko, znowu unoszę wzrok.

– To wszystko moja wina, wiesz? Mogłam temu zapobiec.

– O czym ty mówisz?

Patrzę mu prosto w oczy.

– Powinam była dowiedzieć się więcej na temat Przywrócenia. Powinam była dokładnie zbadać jego historię i zawartą w niej moją przeszłość. Powinam była dowiedzieć się więcej o najwyższych przywódcach. Powinam była lepiej się przygotować. Cholera, należało poszukać ciała Andersona w wodzie, a nie po prostu założyć, że utonął razem ze statkiem. – Potrząsam mocno głową. – Nie nadawałam się jeszcze na najwyższą przywódczynię, Kenji. Ty to wiedziałeś, Castle to wiedział. Przeze mnie wszyscy znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Hej – rzuca ostro Kenji. – Nie powiedziałem, że...

– Tylko Warner próbował mnie przekonać, że się nadaję, ale nie wydaje mi się, żeby w to naprawdę wierzył.

– J, posłuchaj. Nigdy nie powiedziałem, że...

– A teraz przepadł. Warner przepadł. Być może wszyscy z Omega Point nie żyją. Wszystko, co zbudowaliśmy... Wszystko, na co pracowaliśmy... – Czuję, że pękam, że coś się we mnie kruszy. – Nie mogę go stracić, Kenji. – Głos mi się łamie. Ręce mi się trzęsą. – Nie mogę... Nie wiesz, jak bardzo... Nie wiesz...

Kenji patrzy na mnie z prawdziwym bólem w oczach.

– Prześnię, J. Serce mi pęka. Nie mogę tego słuchać.

I wtedy, przełykając gulę w gardle, zdaję sobie sprawę, jak bardzo potrzebowałam tej rozmowy. Te uczucia wzbierały we mnie od tygodni i rozpaczliwie potrzebowałam kogoś, przy kim mogłabym je z siebie wyrzucić.

Potrzebowałam swojego przyjaciela.

– Myślałam, że przeżyłam wiele trudów – tłumaczę, a moje oczy napełniają się łzami. – Myślałam, że mam za sobą dużo okropnych doświadczeń. Ale to... Naprawdę, to były chyba najgorsze dni mojego życia.

Kenji obrzuca mnie głębokim spojrzeniem. Poważnym.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Potrząsam głową, gorączkowo wycierając policzki.

– Chyba nie będę w stanie o tym porozmawiać, dopóki się nie dowiem, że z Warnerem wszystko w porządku.

– Tak mi przykro, J. Szczerze.

Pociągam głóśno nosem.

- Wiesz, że nazywam się Ella, prawda?
- Tak, racja – rzuca, ściągając brwi. – Tak, Ella. Wariactwo.
- Mnie się podoba. Bardziej niż Juliette.
- No, nie wiem. Oba są ładne.
- Może i tak – odpowiadam, odwracając się. – Ale Juliette wybrał dla mnie Anderson.
- A Ella to imię, z którym się urodziłaś – stwierdza Kenji, przyglądając mi się. – Rozumiem.
- No.

– Słuchaj – mówi i wzdycha. – Wiem, że to były dla ciebie trudne tygodnie. Słyszałem o tej całej sprawie z pamięcią. Wiele rzeczy słyszałem. I nie mogę udawać, że jestem w stanie wyobrazić sobie, przez co w tej chwili przechodzisz. Ale nie możesz siebie obwiniać. Nie zrobiłaś nic złego. Przez całe życie byłaś pionkiem w samym środku wielkiego spisku. Zeszły miesiąc tego nie zmienia, okej? Powinnaś być dla siebie łaskawsza. I tak wiele już przeżyłaś.

Posyłam mu słaby uśmiech.

- Postaram się – mówię cicho.
- Czujesz się choć trochę lepiej?
- Nie. A myśl o tym, że mielibyśmy wylecieć stąd bez Warnera... I to, że nie wiadomo, czy w ogóle dotrze do samolotu... To mnie dobija, Kenji. Wypala we mnie dziurę.

Kenji wzdycha, odwraca wzrok.

– Rozumiem – rzuca. – Naprawdę. Martwisz się, że nie będziesz miała szansy wszystkiego z nim wyjaśnić.

Kiwam głową.

- Cholera.
- Nie zrobię tego. Nie mogę, Kenji.
- Rozumiem, z czego to wynika, dzieciaku, przysięgam. Ale nie możemy sobie na to pozwolić. Jeśli nie wrócą za pięć minut, musimy ruszać.

– W takim razie będziesz musiał wystartować beze mnie.

– Nie ma mowy, w ogóle nie ma takiej możliwości – odpowiada, wstając. – Nie chcę tego tak samo jak ty, ale znam Nazeerę na tyle, by wiedzieć, że sobie poradzi, a skoro jeszcze nie wróciła, pewnie czeka na bezpieczniejszy moment. Znajdzie jakiś sposób. I musisz wierzyć, że zabierze ze sobą Warnera. Okej?

– Nie.

– Daj spokój...

- Kenji, przestań. – Też się podnoszę, zderzają się we mnie gniew i ból.
- Nie rób tego – mówi Kenji, potrząsając głową. – Nie zmuszaj mnie do tego, czego nie chcę. Bo jeśli nie będę miał innego wyjścia, powalę cię na podłogę, J, przysięgam...

– Nie powalisz – stwierdzam cicho. Opuszcza mnie wola walki. Nagle czuję ogromne zmęczenie, moje serce opadło z sił i nie zniesie więcej ciosów. – Wiem, że nie zrobiłbyś tego. Nie zmusiłbyś mnie, żebym go zostawiła.

– Ella?

Odwracam się i emocje sprawiają, że brakuje mi tchu. Na sam dźwięk jego głosu tętno niebezpiecznie mi przyspiesza. Ten gwałtowny przeskok ze smutku w radość uderza mi do głowy, upaja mnie. Tak się martwiłam, tak długo, a teraz wiem...

Że jest cały i zdrowy.

Jego twarz i jego ciało nie noszą żadnych śladów. Jest idealny i piękny, i jest tutaj. Nie wiem, jakim cudem, ale tutaj jest.

Zakrywam usta dłońmi.

Potrząsam głową i rozpaczliwie szukam właściwych słów, lecz język mi kołowacieje. Mogę tylko patrzeć na Aarona, gdy robi krok do przodu, a jego oczy błyszczą i płoną.

Bierze mnie w objęcia.

Moim ciałem wstrząsa szloch, kulminacja tysiąca strachów i zmartwień, które w sobie dusiłam. Przyciskam twarz do jego szyi i próbuję, na próżno, jakoś wziąć się w garść.

– Przepraszam – mówię przez ściśnięte gardło, po mojej twarzy szybko płyną łzy. – Aaron, tak mi przykro. Przepraszam.

Czuję, jak sztywnieje.

Odsuwa się i patrzy na mnie dziwnym, wystraszonym wzrokiem.

– Dlaczego to powiedziałaś? – Rozgląda się dziko, zerka na Kenjiego, lecz on tylko potrząsa głową. – Co się stało, kochana? – Odgarnia mi włosy, ujmuje moją twarz w dłonie. – Za co przepraszasz?

Nazeera przepycha się obok nas.

Pozdrowia mnie skinieniem i od razu rusza do kokpitu. Chwilę później rozlega się ryk silnika i elektroniczne pikanie różnych urządzeń.

Słyszę ją przez głośniki nad naszymi głowami; wewnątrz samolotu wypełniają jej rzeczowe, zdecydowane polecenia. Każe nam usiąść i zapiąć pasy, a ja ostatni raz patrzę na Aarona i obiecuję sobie, że jeszcze będziemy mieli szansę porozmawiać. Obiecuję sobie, że wszystko naprawię.

Startujemy, a on trzyma mnie za rękę.

Od wielu minut wzbijamy się coraz wyżej, a Kenji i Nazeera byli tak mili, by dać nam trochę prywatności. Oboje spojrzeli na mnie z otuchą, zanim zniknęli przy sterach. Wreszcie możemy porozmawiać.

Jednak emocje ściskają mi pierś jak imadło.

Jest zbyt wiele do powiedzenia. Zbyt wiele tematów do poruszenia. Nie wiem, od czego zacząć. Nie wiem, co się z nim działo, czego się dowiedział, co sobie przypomniał. Nie wiem, czy nadal czuje to samo co ja. A cała ta niepewność zaczyna mnie przerażać.

– Co się stało? – pyta.

Odwrócił się do mnie. Wyciąga rękę, dotyka mojej twarzy, a ten dotyk jest przytłaczający – tak intensywny, że aż zapiera mi dech. Przechodzi mnie dreszcz emocji, uczucia rozpalają mi zmysły.

– Boisz się, kochana. Czego?

– Pamiętasz mnie? – szepczę. Z trudem zachowuję spokój, z trudem powstrzymuję łzy, które nie chcą zniknąć. – Pamiętasz mnie tak, jak ja pamiętam ciebie?

Coś się zmienia w jego wyrazie twarzy. Jego oczy patrzą inaczej, brwi ściąga ból.

Kiwa głową.

– Bo ja ciebie pamiętam – mówię i głos mi się łamie przy ostatnim słowie. – Pamiętam cię, Aaron. Pamiętam wszystko. I musisz wiedzieć... Musisz wiedzieć, jak strasznie cię przepraszam. Za to, jak zostawiłam sprawy między nami. – Znowu płaczę. – Za wszystko, co powiedziałam. Za wszystko, co przeze mnie...

– Skarbie – mówi łagodnie, a pytanie w jego oczach częściowo znika. – To nie ma już żadnego znaczenia. Mam wrażenie, jakby wydarzyło się w innym życiu. Jakbyśmy byli już innymi ludźmi.

Wycieram łzy.

– Wiem, ale tutaj... To wszystko... Myślałam, że już więcej cię nie zobaczę. I dobijało mnie to, jak wyglądały sprawy między nami.

Kiedy znowu unoszę wzrok, on wpatruje się we mnie, jego oczy są błyszczące, jasne. Przełyka ślinę.

– Wybacz – szepczę. – Wiem, że teraz to się wydaje głupie, ale nie chcę już niczego brać za pewnik. Wybacz, że cię skrzywdziłam. Wybacz, że ci nie ufałam. Wyładowywałam swoją złość na tobie. Byłam egoistką i zraniłam cię. Przepraszam.

Milczy tak długo, że nie mogę już tego znieść.

Kiedy wreszcie się odzywa, jego głos jest chropawy od emocji.

– Kochana, nie mam czego wybacząć.

WARNER

Ella śpi w moich ramionach.

Ella.

Nie potrafię już nazywać jej Juliette.

Od godziny jesteśmy w powietrzu i Ella płakała tak długo, aż całkiem skończyły jej się łzy; płakała tak długo, że prawie mnie to zabiło. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Byłem tak zdumiony, że nie miałem pojęcia, jak ją pocieszyć. I dopiero kiedy zmęczenie pokonało rozpacz, ona znieruchomiała w moich ramionach i zasnęła. Przytulam ją do piersi przez co najmniej pół godziny, nie mogąc się nadziwić temu, jak ta bliskość na mnie działa. Od czasu do czasu dopada mnie myśl, że to sen. Ella przyciska twarz do mojej szyi. Przywarła do mnie w taki sposób, jakby miała już nigdy nie puścić, a mi to uderza do głowy, upajam się świadomością, że mogłaby mnie pragnąć – albo potrzebować – w taki sposób. Chcę ją chronić, nawet jeśli tego nie potrzebuje. Chcę ją stąd zabrać. Stracić z nią poczucie czasu.

Delikatnie głaszczę ją po głowie. Przyciskam usta do jej czoła.

Wierci się, ale tylko trochę.

Nie spodziewałem się tego.

Ze wszystkich rzeczy, jakie wydawało mi się, że mogą się wydarzyć, kiedy ją zobaczę, nigdy bym sobie nie wymarzył takiego scenariusza.

Jeszcze nikt nigdy mnie nie przeproszał. Nie w ten sposób.

Mężczyźni padali przede mną na kolana, błagając, bym ocalił im życie – ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ktoś przeprosił za to, że uraził moje uczucia. Nikt nigdy nie przejmował się nimi na tyle, żeby prosić o wybaczenie. Zazwyczaj to ja byłem potworem. To ode mnie oczekiwano przeprosin.

A teraz...

Jestem oszołomiony. Zdumiewa mnie to doświadczenie oraz moje odczucia. Przez cały ten czas byłem przygotowany na to, że będę musiał o nią walczyć. Będę musiał ją przekonać, by spróbowała zignorować moje demony. I aż do tej chwili chyba nie byłem pewny, że kiedykolwiek zdołam nakłonić kogoś do dostrzeżenia we mnie dość człowieczeństwa, by wybaczył mi grzechy. By dał mi drugą szansę.

Lecz teraz ona wie wszystko.

Zna każdy mroczny kąt mojego życia. Każdą straszną rzecz, jaką próbowałem ukryć. Wie o tym wszystkim i nadal mnie kocha.

Boże. Przeciągam zmęczoną dłońią po twarzy. Poprosiła mnie o wybaczenie. Mnie. Właściwie nie wiem, co ze sobą teraz począć. Czuję radość i przerażenie. Moje serce przepełnia coś, czego nawet nie umiem opisać.

Być może to wdzięczność.

Tęsknota w mojej piersi przybrała na sile, zaczęła mi ciążyć. Bliskość Elli z jakiegoś powodu przynosi mi jednocześnie ulgę i jakieś nowe cierpienie. Tak wiele przed nami, tak wielu rzeczom musimy jeszcze wspólnie stawić czoła, lecz nie chcę o tym myśleć. W tej chwili wolę rozkoszować się tym, że Ella jest blisko. Chcę obserwować jej łagodny oddech. Chcę czuć lekki zapach jej włosów i wtulić się w kojące ciepło jej ciała.

Ostrożnie dotykam palcami jej policzka.

Twarz Elli jest gładka, wolna od bólu i napięcia. Wydaje się spokojna. Wygląda pięknie.

Moja ukochana.

Moja piękna ukochana.

Unosi powieki i przez chwilę się martwię, czy nie powiedziałem tego na głos. Potem jednak Ella patrzy na mnie, jej oczy są sennie półprzymknięte, a ja przykładam dłoń do jej twarzy, tym razem przeciągając palcami po szczęce. Znowu opuszcza powieki. Uśmiecha się.

– Kocham cię – szepcze.

Wzbiera we mnie dreszcz uczuć, zapiera mi dech w piersi. Mogę tylko patrzeć na Ellę, przyglądać się jej twarzy, tym rysom, które znałem od zawsze.

Ella powoli się prostuje.

Opada na oparcie, rozciąga obolałe, sztywne mięśnie. Kiedy zauważa, że na nią patrzę, posyła mi

nieśmiały uśmiech.

Nachyla się i ujmuje moją twarz w dłonie.

– Cześć – mówi cicho i delikatnie przechyla moją brodę, kierując mnie w stronę swoich ust. Całuje mnie raz, jej wargi są pełne i słodkie. To czuły pocałunek, lecz i tak przeszywa mnie dreszcz silnego podniecenia. – Strasznie za tobą tęskniłam – ciągnie Ella. – Nadal nie mogę uwierzyć, że tutaj jesteś. – Całuje mnie jeszcze raz, tym razem bardziej namiętnie, bardziej tęsknie, a moje serce bije tak mocno, że aż mi dudni w uszach. Ledwo słyszę cokolwiek innego. Nie mogę wydobyć głosu.

Czuję się ogłuszony.

Kiedy się rozdzielamy, w jej oczach widać troskę.

– Aaron, wszystko w porządku? – pyta.

I wtedy zdaję sobie sprawę, z przerażeniem, że chcę, by to trwało wiecznie. Chcę spędzić z Ellą resztę życia. Chcę zbudować z nią przyszłość. Chcę się z nią zestarzeć.

Chcę się z nią ożenić.

JULIETTE

ELLA

– Aaron? – powtarzam, tym razem cicho. – Dobrze się czujesz?

On mruga zaskoczony.

– Tak – odpowiada, wciągając głośno powietrze. – Tak, doskonale.

Uśmiecham się lekko.

– Czyli czujesz się tak, jak wyglądasz.

On marszczy brwi, zbity z tropu, i kiedy wreszcie do niego dociera...

Rumieni się.

Pierwszy raz od tygodni moje usta rozciągają się w szerokim, szczerym uśmiechu. To takie przyjemne. Ludzkie.

Jednak Aaron kręci głową, wyraźnie zażenowany, i mówi ostrożnie, cicho:

– Wcale nie.

– Hej – rzucam, a mój uśmiech znika. Chwytam jego dłonie, ściskam. – Spójrz na mnie.

Patrzy.

I zapominam, co miałam powiedzieć.

On ma taką twarz. Taką, która sprawia, że zapominasz, gdzie jesteś, kim jesteś, co miałas zrobić albo powiedzieć. Tak bardzo za nim tęskniłam. Za jego oczami. Minęło dopiero parę tygodni, ale mam wrażenie, jakbyśmy nie widzieli się całą wieczność, wypełnioną potwornymi wiadomościami, które mogły nas złamać. Nie mogę uwierzyć, że jest tutaj, że odnaleźliśmy siebie nawzajem i naprawiliśmy naszą relację.

To nie tak mało.

Mimo wszystko – mimo tych licznych koszmarów, z którymi jeszcze musimy stoczyć walkę – bycie z nim tutaj wydaje się wielkim sukcesem. Wszystko wydaje się nowe. Mój umysł wydaje się nowy, moje wspomnienia też. Nawet twarz Aarona jest jakaś inna. Widzę ją teraz inaczej.

Jest znajoma.

Jakby była obok mnie od zawsze. Od zawsze żyła w moim sercu.

Pamiętam jego włosy, grube i złociste, i piękne – Evie musiała też coś z nimi zrobić. I chociaż nie podoba mi się to, jaki zmęczony się wydaje, jego twarz nadal jest olśniewająca. Piękne, ostre rysy. Przeszywające spojrzenie oczu tak jasnych i błyszczących, że patrzenie na nie jest niemal bolesne. Wszystko w nim jest misternie wyrzeźbione. Jego nos. Podbródek. Uszy i brwi. Ma też piękne usta.

Na nich zatrzymuję się trochę zbyt długo, mój wzrok zdradza myśli i Aaron się uśmiecha. Aaron. Mówienie na niego Warner jakoś przestało mi pasować.

– Co robisz, kochanie?

– Rozkoszuję się widokiem – odpowiadam, gapiąc się na jego usta. Wyciągam rękę, dotykam dwoma palcami jego dolnej wargi. Zalewają mnie wspomnienia, ich napływ jest nagły i zapiera mi dech w piersi. Długie noce. Wczesne poranki. Jego pocałunki na moim ciele. Wszędzie. Raz po raz.

Słyszę, jak Aaron wypuszcza niespodziewanie powietrze, i unoszę wzrok.

Jego oczy są ciemniejsze, ciężkie od emocji.

– O czym myślisz?

Potrząsam głową, onieśmielona. To dziwne, zważywszy na to, jak blisko ze sobą byliśmy. Dlaczego teraz miałabym się wstydzić? Jednak Aaron wydaje mi się w tym momencie jednocześnie znany i nieznanym – jakbyśmy dopiero się nawzajem odkrywali. Wciąż dowiadujemy się, czym jest nasza relacja i ile dla siebie znaczymy. Nasza więź wydaje się głębsza, bardziej straceńcza.

Ważniejsza.

Znowu chwytam jego dłonie.

– Jak się czujesz? – szepczę.

Aaron wpatruje się w nasze splecione palce i mówi:

– Mój ojciec wciąż żyje.

– Słyszałam. Bardzo mi przykro.

Kiwa głową. Odwraca wzrok.

– Widziałeś go?

Raz jeszcze potwierdza skinieniem.

– Próbowałem go zabić.

Zamieram.

Wiem, jak trudno było mu zmierzyć się z ojcem. Anderson zawsze był jego najbardziej onieśmielającym oponentem; Aaron nie potrafił stawić mu czoła. Nigdy nie umiał spełnić swoich groźb wobec ojca.

Niesamowite, że zabrnął aż tak daleko.

A potem opowiada mi o nowych zdolnościach Andersona, które zdobył dzięki temu, że Evie próbowała odtworzyć dla niego DNA bliźniaczek.

– Czyli twój ojciec jest praktycznie niezniszczalny?

Aaron śmieje się cicho. Potrząsa głową.

– Nie wydaje mi się. Trudniej go zabić, ale zdecydowanie dałoby się znaleźć jakieś słabe ogniwo w jego zbroi. – Wzdycha. – A najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że potem ojciec czuł się ze mnie dumny. Za to, że próbowałem go zabić. – Aaron unosi wzrok, patrzy mi w oczy. – Wyobrażasz sobie?

– Tak, niestety tak – szepczę.

Jego spojrzenie staje się ciężkie od emocji. Przyciąga mnie bliżej.

– Tak mi przykro, kochanie. Przepraszam za wszystko, co ci zrobili. Za wszystko, co przez nich musiałaś przejść. Dobija mnie myśl o tym, że cierpiałaś. Że nie mogłem być przy tobie.

– Nie chcę teraz o tym myśleć. – Potrząsam głową. – W tej chwili chcę tylko być tu z tobą. Cokolwiek nas jeszcze czeka, wspólnie stawimy temu czoła.

– Ella – mówi cicho.

Zalewa mnie fala uczuć. Kiedy słyszę w jego ustach swoje imię – prawdziwe imię – wszystko wydaje mi się prawdziwe. Nawet my.

Spoglądam mu w oczy.

Aaron się uśmiecha.

– Wiesz co... Kiedy mnie dotykasz, czuję wszystko, kochana. Czuję twoją ekscytację. Twoją nerwowość. Twoją przyjemność. I uwielbiam to – tłumaczy cicho. – Uwielbiam to, jak na mnie reagujesz. Uwielbiam to, że mnie pragniesz. Czuję, kiedy się zatracasz, kiedy zawierzasz mi, gdy jesteśmy razem. Czuję twoją miłość do mnie – szepczę. – Do szpiku kości. – Odwraca się. – Kochałem cię całe życie – wyznaje i znowu patrzy na mnie, przepelniony tak głębokimi emocjami, że prawie mi pęka serce. – I po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, po tych wszystkich kłamstwach i tajemnicach, i nieporozumieniach, mam wrażenie, że dostaliśmy szansę, by zacząć od nowa. Chcę zacząć od początku. Nie chcę już nigdy więcej cię okłamywać. Chcę, żebyśmy sobie ufali i byli prawdziwymi partnerami we wszystkim. Koniec z nieporozumieniami. Koniec z tajemnicami. Zacznijmy od nowa, tu i teraz.

Kiwam głową, odsuwając się, żeby móc wyraźniej widzieć jego twarz. Emocje ściskają mi gardło, zaraz się ze mnie wyleją.

– Też tego pragnę. Bardzo.

– Ella – mówi, a jego głos jest chropawy od wzruszenia. – Chcę spędzić z tobą resztę życia.

Moje serce przestaje bić.

Wpatruję się w niego, stropiona, a w głowie kłębią mi się myśli. Dotykam jego policzka, Aaron odwraca wzrok i wciąga powietrze z drzeniem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pytam.

– Kocham cię, Ella. Kocham cię bardziej niż...

– O rany. Poważnie, nie mogliście z tym poczekać, aż wrócimy do bazy? Moglibyście mi oszczędzić tych widoków.

Głos Kenjiego nagle i gwałtownie odciąga moje myśli od Aarona. Odwracam się, za szybko, i niezdarnie się odsuwam.

Z kolei Aaron robi się blady jak ściana.

Kenji rzuca w niego cienką, samolotową poduszką.

– Nie ma za co – mówi.

Aaron bez słowa rzuca poduszką w Kenjiego, wbijając w niego płonący wzrok. Wydaje się

jednocześnie zszokowany i wściekły, wychyla się do przodu, opierając się łokciami o kolana, a nasadę dłoni przyciska do oczu.

- Jesteś jak zaraza, Kishimoto.
- Przecież powiedziałem, nie ma za co.

Aaron ciężko wzdycha.

- Nie masz pojęcia, jak strasznie bym chciał ci teraz przetrącić kark.

– Hej, to ty nie masz pojęcia, co właśnie dla ciebie zrobiłem – odpowiada Kenji. – Dlatego powtórzę się jeszcze raz: nie ma za co.

- Przecież o nic cię nie prosiłem.

Kenji krzyżuje ręce na piersi. Kiedy znowu się odzywa, wymawia każde słowo z przesadną dokładnością, jakby rozmawiał z idiotą.

- Chyba nie myślisz trzeźwo.
- Trzeźwiej niż kiedykolwiek.
- I naprawdę uznałeś, że to dobry pomysł? – dziwi się Kenji, potrząsając głową. – Tutaj? Teraz?

Aaron zaciska szczęki. Wygląda, jakby opanowała go żądza mordu.

- Stary, to nie jest dobry moment.
- A kiedy niby stałeś się ekspertem w tych sprawach?

Patrzę to na jednego, to na drugiego.

- Co tu się dzieje? – pytam. – O czym wy mówicie?

– O niczym – odpowiadają jednocześnie.

- Aha, okej.

Wbijam w nich wzrok, wciąż stropiona, i już mam zadać kolejne pytanie, kiedy nagle odzywa się Kenji:

- Ktoś głodny?

Brwi podjeżdżają mi aż pod linię włosów.

- Mamy jedzenie?

– Jest paskudne, ale zabraliśmy z Nazeerą kosz piknikowy.

- No to ja się chyba piszę na sprawdzenie jego zawartości. – Uśmiecham się do Aarona. – A ty?

Lecz Aaron milczy. Wciąż gapi się w podłogę. Dotykam jego dłoni i wreszcie słyszę, jak wzdycha.

- Nie jestem głodny – odpowiada.

– Nie ma takiej możliwości – rzuca ostro Kenji. – Założę się, że nie zjadłeś nawet okruszka, odkąd wydostałeś się z tego niby-więzienia.

Aaron marszczy brwi, po czym unosi wzrok i pyta:

- W tym więzieniu nie było nic na niby. Truli mnie tygodniami.

- Słucham? – Otwieram szeroko oczy. – Nic mi...

Kenji przerywa mi w pół zdania machnięciem ręki.

- Dali ci jedzenie i wodę, pozwolili zatrzymać ubrania, prawda?

- Tak, ale...

Kenji wzrusza ramionami.

- Mnie się wydaje, że to były raczej wakacje.

Aaron wzdycha. Wydaje się jednocześnie zirytowany i wykończony. Przeciąga dłonią po twarzy.

Nie podoba mi się to.

– Hej... Dlaczego tak mu dokuczasz? – pytam Kenjiego, marszcząc brwi. – Zaraz przed tym, jak pojawili się z Nazeerą, bez końca się nim zachwycałeś, a teraz...

Kenji klnie pod nosem.

- Chryste, J. – Patrzy na mnie z ukosa. – Co ja ci mówiłem o powtarzaniu tamtej rozmowy na głos?

Aaron się prostuje, frustracja w jego oczach powoli ustępuje miejsca zaskoczeniu.

- Zachwycałeś się mną? – rzuca, przyciskając dłoń do piersi w teatralnym geście. – To takie urocze.

- Wcale się nie zachwycałem.

Aaron przechyla głowę.

- No to co o mnie mówiłeś?

Kenji odwraca wzrok. Milczy.

Szczerzę zęby do pleców przyjaciela i wypalam:

– Powiedział, że dobrze we wszystkim wyglądasz i w ogóle we wszystkim jesteś dobry.

Usta Aarona rozciągają się w jeszcze szerszym uśmiechu.

Prawie nigdy nie uśmiecha się tak, by pokazały się jego dołeczki, a kiedy już się to dzieje, jego twarz wygląda zupełnie inaczej. Oczy błyszczą, na policzkach pojawiają się rumieńce. Nagle wygląda słodko. Uroczo.

Ten widok zapiera mi dech w piersi.

Jednak on nie patrzy na mnie, patrzy na Kenjiego, jego oczy są pełne śmiechu, kiedy się do niego zwraca:

– Proszę, powiedz, że to tylko żart.

Kenji pokazuje nam obojgu fakulce.

Aaron wybucha śmiechem. A potem się nachyla...

– Naprawdę myślisz, że we wszystkim mi do twarzy?

– Zamknij się, dupku.

Aaron znowu się śmieje.

– Nie bawcie się beze mnie – krzyczy Nazeera z kokpitu. – Koniec z żarcikami, dopóki nie ustawię tempomatu.

Sztywnieję.

– Samoloty mają tempomat?

Kenji drapie się po głowie.

– No, w sumie to nie wiem.

Zaraz jednak Nazeera podchodzi do nas, wysoka i piękna, i spokojna. Dzisiaj nie zasłoniła włosów, co chyba ma sens, ponieważ co do zasady to nielegalne. Niemniej czuję, jak dopada mnie panika, kiedy zdaję sobie sprawę, że dziewczyna nie ma zamiaru wracać do sterów.

– Czekaj... Nikt nie pilotuje samolotu – rzucam. – Czy ktoś nie powinien jednak tego robić?

Zbrywa mnie machnięciem ręki.

– Wyluzuj. Teraz te maszyny działają praktycznie same. Właściwie muszę tylko wklepać współrzędne i pilnować, żeby wszystko szło gładko.

– Ale...

– Wszystko w porządku – zapewnia, patrząc na mnie z ukosa. – Nic nam nie będzie. Ale ktoś powinien mi powiedzieć, co się dzieje.

– Na pewno nic nam nie będzie? – pytam jeszcze raz, cicho.

Posyła mi groźne spojrzenie.

Wzdycham.

– Cóż, skoro tak. Powinnaś wiedzieć, że Kenji podziwia wycucie stylu Aarona.

Nazeera odwraca się do Kenjiego. Unosi brew.

Kenji potrząsa głową, wyraźnie zirytowany.

– Wcale nie... Cholera jasna, J, może choć odrobinę lojalności, co?

– Ależ jestem lojalna – odpowiadam nieco urażona. – Ale stresują mnie te wasze kłótnie. Chciałabym po prostu, żeby Aaron wiedział, że tak naprawdę ci na nim zależy. Kocham was obu i chciałabym, byście zostali przyja...

– Czekaj. – Aaron marszczy brwi. – Jak to kochasz nas obu?

Patrzę to na niego, to na Kenjiego, zaskoczona.

– Chodzi mi o to, że zależy mi na was obu. Kocham was obu.

– Aha – odpowiada z wahaniem Aaron – ale tak naprawdę nie kochasz nas obu. To tylko taka metafora, co nie?

Teraz to ja ściągam brwi.

– Kenji jest moim najbliższym przyjacielem. Kocham go jak brata.

– Ale...

– Ja ciebie też, księżniczko – odzywa się Kenji, trochę zbyt głośno. – Doceniam, że to mówisz.

Aaron mamrocze pod nosem coś, co brzmi podejrzenie podobnie do „niedomyty idiota”.

– Co ty właśnie powiedziałaś? – Kenji otwiera szeroko oczy. – Tak się składa, że ciągle się myję...

Nazeera kładzie mu rękę na ramieniu, a on się wzdryga. Unosi na nią wzrok, mruga.

– Przed nami jeszcze pięć godzin na pokładzie tego samolotu – mówi dziewczyna stanowczo, lecz przyjaźnie. – Dlatego radzę wam zostawić tę sprawę w spokoju. To chyba oczywiste dla wszystkich, że ty i Warner w sekrecie bardzo się lubicie, a udawanie, że jest inaczej, nikomu w niczym nie pomaga.

Kenji blednie.

– Zgodzicie się, że to rozsądny plan? – Patrzy na nas wszystkich po kolei. – Możemy uznać, że gramy w jednej drużynie?

– Tak – odpowiadam entuzjastycznie. – Tak, zgadzam się.

– Spoko – rzuca Aaron.

– Świetnie – stwierdza Nazeera. – Kenji, ty też?

Chłopak kiwa głową i coś mamrocze.

– Idealnie. A teraz, oto inny plan – ciągnie energicznie Nazeera. – Zjemy i będziemy spać na zmianę. Mamy jeszcze mnóstwo spraw do ogarnięcia i lepiej, żebyśmy po wylądowaniu od razu się nimi zajęli. – Każdemu z nas rzuca kilka zamykanych próżniowo torebek. – To wasz obiad. W lodówce jest kilka butelek wody. Razem z Kenjim weźmiemy pierwszą wartę...

– Nie ma mowy – protestuje Kenji, krzyżując ręce na piersi. – Nie spałaś przez dwadzieścia cztery godziny. Sam wezmę pierwszą wartę.

– Ale...

– Właściwie to razem z Warnerem. – Patrzy na niego z ukosa. – Pasuje?

– Tak, oczywiście – odpowiada Aaron i już wstaje. – Z przyjemnością.

– Świetnie – kwituje Kenji.

Nazeera już walczy z ziewaniem, wyjmując cienkie koce i poduszki z szafki.

– No dobrze. W takim razie obudźcie mnie za dwie godziny, okej?

Kenji unosi brew.

– Jasne.

– Mówię poważnie.

– Spoko. Masz to jak w banku. – Kenji teatralnie jej salutuje, Aaron posyła mi uśmiech, a potem obaj znikają w kokpicie.

Kenji zamyka za nimi drzwi.

Patrząc i myśląc o tym, co się między nimi dwoma dzieje, kiedy Nazeera mówi:

– Nie miałam pojęcia, że między wami jest tak poważnie.

Zaskoczona unoszę wzrok.

– Między nami? Między mną i Aaronem?

– Nie, między tobą i Kenjim – odpowiada z uśmiechem.

– Och, nie wydaje mi się.

Patrzy na mnie dziwnie.

– Serio. Moim zdaniem łączy nas zupełnie normalna przyjaźń.

Zamiast to skomentować, pyta:

– A czy wy... – wykonuje nieokreślony gest ręką – chodziliście kiedyś ze sobą?

– Słucham? – Otwieram szeroko oczy. Czuję, jak moje ciało rozpala zdradziecki rumieniec. – No co ty.

– Nigdy? – dopytuje już nie tak uśmiechnięta.

– Nigdy. Przysięgam. Nic z tych rzeczy.

– Okej.

– Nie, żeby cokolwiek było z nim nie tak – dodaję szybko. – Kenji to cudowny facet. Kiedyś jakaś dziewczyna będzie z nim bardzo szczęśliwa.

Nazeera cicho się śmieje.

Zanosi poduszki i koce na rząd siedzeń i zaczyna opuszczać oparcia. Patrząc na jej pracę. W jej ruchach jest coś płynnego i misternego – a w oczach zawsze widać bystrość. Zaczynam się zastanawiać, o czym Nazeera myśli, co planuje. Dlaczego w ogóle się tutaj znalazła.

Nagle wzdycha. Odzywa się, nie patrząc na mnie.

– Pamiętasz mnie już?

Zaskoczona unoszę brwi.

– Oczywiście – odpowiadam cicho.

Ona kiwa głową.

– Już od jakiegoś czasu czekałam, aż nadrobisz – tłumaczy i siada, po czym poklepuje miejsce obok, zachęcając, żebym do niej dołączyła.

Kiedy to robię, ona bez słowa podaje mi koce i poduszki. Kładziemy się, a ja obrzucam podejrzliwym spojrzeniem pakowane próżniowo „jedzenie”, które wcześniej od niej dostałam.

– Czyli ty też mnie pamiętasz? – pytam.

Nazeera rozrywa folię. Zagląda do środka.

– Emmaline mnie do ciebie zaprowadziła – wyjaśnia szeptem. – Tamte wspomnienia. Wiadomości. To wszystko od niej.

– Wiem. Próbowaliśmy nas zjednoczyć. Chce, żebyśmy współpracowali.

Nazeera wytrząsa zawartość torebki na dłoń, zaczyna przebierać liofilizowane owoce. Zerka na mnie.

– Miałaś pięć lat, kiedy zniknęłaś – opowiada. – Emmaline sześć. Jestem sześć miesięcy starsza od ciebie i sześć młodsza od Emmaline.

Kiwam głową.

– Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Nazeera odwraca wzrok, wydaje się smutna.

– Kochałam ją jak siostrę. Byłyśmy nierozłączne. Wszystko robiłyśmy razem. – Wzrusza ramionami, chociaż jej twarz wykrzywia ból. – Tylko tyle nam zostało. Reszta została skradziona.

Sięga po dwa kawałki i wrzuca sobie do ust. Obserwuję ją, jak przeżuwa w zamyśleniu, i czekam na dalszą część opowieści.

Jednak mijają sekundy, a Nazeera dalej milczy, czuję więc, że powinnam przerwać ciszę.

– Czyli tak naprawdę nie będziemy spać, co?

Udaje mi się wywołać jej uśmiech. Jednak nadal na mnie nie patrzy.

– Wiem, że ty i Warner mieliście zdecydowanie najgorzej – odzywa się w końcu – ale jeśli to ma cię pocieszyć, na początku wszystkim nam wymazali wspomnienia.

– Emmaline już mi o tym powiedziała.

– Nie chcieli, żebyśmy was pamiętali – ciągnie. – Woleli, żebyśmy zapomnieli o wielu różnych rzeczach. Czy Emmaline powiedziała ci też, że skontaktowała się z nami wszystkimi? Tobą, mną, Warnerem, moim bratem... Wszystkimi dziećmi przywódców.

– Trochę mi o tym mówiła, tak. Rozmawiałaś z innymi?

Nazeera kiwa głową. Wrzuca kolejny kęs do ust.

– No i? – dopytuję.

Przechyla głowę.

– Zobaczymy.

Otwieram szeroko oczy.

– Co to znaczy?

– Będę wiedzieć więcej, kiedy już wylądujemy, to wszystko.

– Czyli... Skąd w ogóle wiedziałaś? – mówię, marszcząc nieco brwi. – Skoro miałaś tylko wspomnienia ze mną i Emmaline, jak powiązałaś to z teraźniejszością? Skąd wiedziałaś, że byłam Ellą z twojego dzieciństwa?

– Wiesz co, nie miałam pewności, czy dobrze sobie to poukladałam, dopóki nie zobaczyłam cię przy kolacji tamtego pierwszego dnia w bazie.

– Rozpoznałaś mnie? Chociaż widziałyśmy się ostatni raz, gdy miałam pięć lat?

– Nie – odpowiada i wskazuje kiwnięciem moją prawą dłoń. – Rozpoznałam bliznę na twoim nadgarstku.

– To? – rzucam, unosząc rękę. A potem przypominam sobie, że Evie naprawiła moją skórę. Kiedyś na całym ciele miałam blade blizny; te na rękach były najgorsze. Moja przybrana matka raz włożyła mi dłonie w ogień. Dużo też raniłam się w czasie pobytu w zakładzie; zostało mi z tamtego okresu sporo poparzeń, sporo kiepsko zagojonych skaleczeń. Potrząsam głową, mówiąc: – Kiedyś miałam tutaj blizny z zakładu. Evie się ich pozbyła.

Nazeera chwyta moją dłoń, obraca ją wewnętrzną stroną do góry. Ostrożnie przeciąga palcem od mojego nadgarstka do przedramienia.

– Pamiętasz taką?

– Tak – odpowiadam, unosząc brwi.

– Mój tata miał bogatą kolekcję broni białej – tłumaczy, puszcżając moją rękę. – Były naprawdę piękne, pozłacane, ręcznie kute, stare, misternie zdobione i tak dalej. Nieważne – rzuca, stukając w niewidzialną bliznę na moim przegubie. – Ja ci to zrobiłam. Włamałam się do sali z kolekcją ojca i uznałam, że świetną zabawą będzie poćwiczyć walkę na miecze. Ale nieźle cię wtedy zraniłam i mama złoila mi skórę. – Wybuchła śmiechem. – Nigdy tego nie zapomnę.

Patrzę na nią, marszcząc czoło, a potem przenoszę wzrok na miejsce, gdzie znajdowała się kiedyś blizna.

– Nie mówiłaś przypadkiem, że przyjaźniłyśmy się jako pięciolatki?

Potakuje.

– Miałymy pięć lat, a ty uznałaś, że fajnie będzie się pobawić prawdziwymi mieczami?

Nazeera zaczyna się śmiać.

– Nigdy nie ukrywałam, że nie mieliśmy normalnego dzieciństwa. Nasze życie było zwyczajnie chore – odpowiada i znowu się śmieje. – Nie ufałam swoim rodzicom. Zawsze przeczuwałam, że tkwią po uszy w jakichś mrocznych sprawach. Staralam się dowiedzieć czegoś więcej, latami próbowałam włamać się do dokumentacji elektronicznej ojca – tłumaczy. – I bardzo długo miałam dostęp wyłącznie do podstawowych informacji. Dowiedziałam się o zakładach dla obłąkanych. O Nienaturalnych.

– To dlatego ukryłaś przed nimi swoje zdolności – mówię, gdy wreszcie to do mnie dociera.

Nazeera kiwa głową.

– Ale chciałam więcej. Zdawałam sobie sprawę, że to dopiero wierzchołek góry lodowej. Jednak nigdy wcześniej nie miałam styczności z takim poziomem zabezpieczeń, jakie były zainstalowane u ojca. Udało mi się zyskać dostęp do tych mniej pilnie strzeżonych rzeczy, właśnie w ten sposób dowiedziałam się o istnieniu ciebie i Emmaline. To było kilka lat temu. Baba miał mnóstwo plików, raportów z twoich codziennych zwyczajów i aktywności, a także opatrzony datami zapis wszystkich wspomnień, które ci ukradli. Pochodziły z ostatnich lat i miesięcy.

Wciążam głośno powietrze, a Nazeera spogląda na mnie ze współczuciem.

– Było też kilka krótkich wzmianek o siostrze – ciągnie – lecz nic konkretnego. Głównie tylko notatka, że obie miałyście potężne moce i zostałyście oddane przez rodziców. Jednak nie udało mi się znaleźć nic na temat tej nieznaney siostry, więc założyłam, że jej dane były lepiej chronione. Poświęciłam kilka lat na próby przebicia się przez kolejne poziomy zabezpieczeń, lecz na próżno. Dlatego na jakiś czas odpuściłam. – Wrzuca kolejną garść liofilizowanych owoców do ust. – Dopiero kiedy mój ojciec zaczął dosłownie świrować po tym, jak prawie zabiłaś Andersona, obudziło to moje podejrzenia. Właśnie wtedy w mojej głowie pojawiła się myśl, czy ta cała Juliette Ferrars, o której ciągle krzyczał, była kimś ważnym. – Przygląda mi się kątem oka. – Wiedziałam, że to niemożliwe, byś była jakąś tam przypadkową Nienaturalną. Po prostu to czułam. Baba dostał spazmów. Dlatego wróciłam do prób hakowania.

– Nieźle – rzucam.

– No – odpowiada, kiwając głową. – Tak czy inaczej, chciałam tylko powiedzieć, że od lat próbowałam wybadać, co tu właściwie nie gra, a kiedy Emmaline nawiązała ze mną więź, wreszcie znalazłam się blisko rozgryzienia tego wszystkiego.

Unoszę na nią wzrok.

– Jedyne, czego wciąż nie wiem, to dlaczego Emmaline pozostaje uwięziona. Nie wiem, co z nią robią. I nie rozumiem, dlaczego to taka tajemnica.

– Ja wiem – odpowiadam.

Szybko się do mnie odwraca i patrzy, otwierając szeroko oczy.

– Długo czekałaś z tymi rewelacjami, Ella.

Śmieję się, niestety smutno.

WARNER

Gdy tylko zajmujemy miejsca, Kenji zwraca się do mnie:

– Mógłbyś z łaski swojej powiedzieć mi, co się dzieje, do cholery?

– Nie.

Przewraca oczami. Otwiera paczuszkę z przekąskami i nawet nie zagląda do środka, tylko od razu wsypuje sobie zawartość do ust. Zamyka oczy i przeżuwa. Cicho pojękuje z zadowolenia.

Udaje mi się jakoś nie skrzywić, ale nie gryzę się w język.

– Jesz jak jaskiniowiec.

– Wcale nie – odpowiada ze złością, ale po chwili dodaje: – Naprawdę?

Waham się, bo nagle dopada mnie zażenowanie. Ze wszystkich emocji, których nie lubię doświadczać, współodczuwanie czyjegoś wstydu jest chyba najgorsze. To jak cios w splot słoneczny. Aż mnie ciarki przechodzą.

To najkrótsza droga do mojej kapitulacji.

– Nie – odpowiadam ciężko. – Wcale nie jesz jak jaskiniowiec. To nie było w porządku z mojej strony.

Kenji spogląda na mnie, a w jego oczach jest zbyt dużo nadziei.

– Po prostu nigdy wcześniej nie widziałem, by ktoś z takim entuzjazmem podchodził do jedzenia – dodaje.

Kenji unosi brew.

– To nie entuzjazm. To głód.

Ostrożnie otwieram swoją paczkę. Wytrząsam kilka kawałków owoców na otwartą dłoń.

Wyglądają jak suszone robale.

Wsypuję je z powrotem, otrzepuję dłonie i oddaję swoją porcję Kenjiemu.

– Na pewno? – dopytuje, chociaż już ją przyjął.

Kiwam głową, on dziękuje.

Przez chwilę obaj milczymy.

– Czyli – odzywa się w końcu, nadal przeżuwając – zamierzałeś się jej oświadczyć. Nieźle.

Wypuszczam powoli powietrze, wzdychając.

– Skąd ty to w ogóle możesz wiedzieć?

– Przecież nie jestem głuchy.

Unoszę brwi.

– Tu jest straszne echo.

– Zdecydowanie nie.

– Przestań zmieniać temat – wypala, wytrząsając owoce z paczki. – Rzecz w tym, że zamierzałeś się oświadczyć. Zaprzeczysz?

Odwracam wzrok, przeciągam dłonią po szyi, masując obolałe mięśnie.

– Nie zaprzeczam.

– Gratulacje. Tak, z przyjemnością zostanę twoim przyjacielem.

Patrzę na niego, zaskoczony.

– Nie mam najmniejszego zamiaru odnosić się do drugiej części twojej wypowiedzi, ale... dlaczego mi gratulujesz? Myślałem, że jesteś zdecydowanie przeciwny.

Kenji marszczy brwi.

– Słucham? Nie jestem.

– No to dlaczego tak się wściekłeś?

– No bo głupi jesteś, że chciałeś to zrobić tutaj – tłumaczy. – I teraz. Nie chciałem, żebyś zrobił coś, czego byś potem żałował. Czego oboje byście żalowali.

– Dlaczego miałbym żałować oświadczenia się Elli teraz? To równie dobry moment jak każdy inny.

Kenji się śmieje, ale jakimś cudem powstrzymuje się przed otwarciem ust. Przełyka kęs i mówi:

– Nie wolałbyś, no wiesz, kupić jej jakichś róż? Zapalić świeczkę? Może wręczyć jej pudełko czekoladek czy coś? Albo, cholera, nawet zaszaleć i dać jej pierścionek?

- Nie rozumiem.
- Daj spokój, stary. Nie widziałeś żadnego filmu czy co?
- Nie.

Kenji patrzy na mnie ze zdumieniem.

- Jaja sobie robisz. Proszę, powiedz, że to tylko żarty.

Jeżę się.

– Rodzice nie pozwalali mi oglądać filmów, kiedy byłem dzieckiem, a potem mnie do tego jakoś nie ciągnęło. Kiedy Przywrócenie objęło rządy, i tak wszystkiego zakazano. Poza tym nie lubię zbyt długo siedzieć w ciemności. I nie lubię tego, jak kino manipuluje emocjami.

Kenji klepie się w czoło, robi wielkie oczy.

- No bez kitu, nie wierzę.

– Dlaczego... Nie rozumiem, dlaczego to takie dziwne. Nie chodziłem do normalnej szkoły. Mój ojciec był bardzo...

– Jest w tobie tak wiele rzeczy, których nigdy nie rozumiałem – ciągnie Kenji, patrząc, zupełnie zбитy z tropu, w ścianę za moimi plecami. – Na przykład, wiesz, jesteś taki dziwny.

- Nie – odpowiadam ostro. – Nie uważam, że bym był dziwny.

– Ale teraz to ma sens. – Kręci głową. – Wszystko ma sens. Nieźle. Kto by pomyślał.

- Co takiego ma sens?

Kenji jakby mnie nie słuchał. Zamiast tego opowiada dalej:

– Hej, jest jeszcze coś, czego nigdy nie robiłeś? Na przykład, nie wiem, nigdy nie pływałeś? Albo nigdy nie zdmuchnąłeś świeczek na urodzinowym tortie?

– Oczywiście, że pływałem – rzucam z irytacją. – Pływanie było ważną częścią mojego szkolenia taktycznego. Ale nigdy... – Chrząkam. – Nie, nigdy nie miałem własnego tortu urodzinowego.

- Chryste.

- Co jest z tobą nie tak?

– Hej – wypala nagle Kenji. – Czy ty w ogóle wiesz, kim jest Bruce Lee?

Waham się.

W jego głosie slychać wyzwanie, lecz poza tym nie daje żadnych innych emocjonalnych wskazówek, więc nie rozumiem, na czym polega waga tego pytania. W końcu odpowiadam:

– Bruce Lee był aktorem. Chociaż uważa się go też za jednego z największych mistrzów sztuk walki naszych czasów. Założył szkołę jeet kune do, odmianę chińskiego kung fu, które wystrzega się wzorów i form. Jego chińskie imię to Lee Jun-fan.

– No proszę – kwituje Kenji, opada na oparcie i gapi się na mnie jak na przybysza z kosmosu. – Okej, tego się nie spodziewałem.

- A co ma Bruce Lee wspólnego z naszą rozmową?

– Po pierwsze – tłumaczy, unosząc palec – nie ma takiego tematu, w którym nie można by było wspomnieć o Brusie Lee, bo to w końcu Bruce Lee. A po drugie, ty możesz robić takie rzeczy? – Pstryka palcami przy mojej głowie. – Możesz, no wiesz, przypominać sobie takie rzeczy? Przypadkowe fakty?

– To nie są przypadkowe fakty. To są informacje. Informacje na temat świata, jego lęków, historii, fascynacji i przyjemności. Moim zadaniem jest to znać.

- Ale nie obejrzałeś ani jednego filmu?

– Nie musiałem. Wiem wystarczająco dużo o popkulturze, żeby wyróżnić filmy ważne albo przełomowe.

Kenji potrząsa głową i patrzy na mnie z czymś na kształt podziwu.

– Ale nie wiesz nic o najlepszych filmach. Nigdy nie widziałeś nic naprawdę dobrego. Cholera, pewnie nawet nie slyszales o tym, co jest naprawdę dobre.

- Pytaj.

– Slyszales na przykład o *Diamentowej aferze*?

Patrzę na niego, mrugając.

- To tytuł filmu?

– *Romeo musi umrzeć*? *Bad Boys*? *Godziny szczytu*? *Godziny szczytu 2*? *Godziny szczytu 3*? Właściwie to nie, *Godziny szczytu 3* nie były takie dobre. *Zapłątani*?

– To ostatnie, o ile dobrze pamiętam, to kreskówka o dziewczynie z bardzo długimi włosami, inspirowana niemiecką baśnią o Roszpunce.

Kenji patrzy na niego, jakby się dusił.

– Kreskówka? – wypala z oburzeniem. – *Zaplątani* to żadna tam kreskówka! *Zaplątani* to jeden z najlepszych filmów wszech czasów. Opowiada o walce o wolność i prawdziwą miłość.

– Daruj – mówię, przeciągając dłonią po twarzy. – Naprawdę nie obchodzi mnie, jakie kreskówki lubią oglądać dzieciaki po szkole. Chcę tylko wiedzieć, skąd ta twoja pewność, że popełniłem dzisiaj błąd.

Kenji wzdycha tak głęboko, że aż unosi i opuszcza ramiona. Opada na oparcie.

– Nie mogę uwierzyć, że nie widziałeś *Facetów w czerni*. Ani *Dnia Niepodległości*. Will Smith bije ufoludka po twarzy, na miłość boską. Jest świetny.

Patrzę na niego oniemiały.

– Kiedyś ciągle oglądałem filmy z tatą – dodaje ciszej Kenji. – Uwielbiał filmy. – Kenji tylko na chwilę pozwala sobie na odczuwanie żalu po stracie ojca, ale i tak uderza to w niego jak dzika, desperacka fala.

– Moje kondolencje – mówię szeptem.

– Tak, cóż. – Kenji przeciera twarz i oczy, potem wzdycha. – Tak czy inaczej, rób, jak uważasz. Tylko moim zdaniem powinieneś kupić jej pierścionek czy coś, zanim padniesz przed nią na kolano.

– Nie zamierzałem przed nią klękać.

– Słucham? – Marszczy brwi. – Dlaczego nie?

– Bo mi się to wydaje nielogiczne.

Kenji się śmieje. Przewraca oczami.

– Słuchaj, po prostu mi zaufaj i przynajmniej na początek wybierz pierścionek. W ten sposób pokażesz jej, że naprawdę to przemyślałeś. Zastanów się chwilę, okej?

– Przecież się zastanowiłem.

– Przez ile? Pięć sekund? A może zastanawiałeś się nad oświadczeniami, kiedy truli cię w więzieniu, co? – Kenji rechocze. – Stary, dosłownie dwie godziny temu zobaczyłeś ją pierwszy raz od jakichś dwóch tygodni, a teraz nagle oświadczyły wydają ci się racjonalnym, przemyślanym krokiem? – Kręci głową. – Po prostu nie śpiesz się. Poczekaj. Zaplanuj coś.

I nagle coś do mnie dociera.

– Twoim zdaniem ona mnie nie przyjmie. – Zdumiony opadam na fotel. Patrzę w ścianę. – Uważasz, że odmówi.

– Słucham? Niczego takiego nie powiedziałem.

– Ale tak myślisz, prawda?

– Słuchaj – zaczyna i wzdycha. – Nie mam pojęcia, co powie. Naprawdę, najmniejszego. Moim zdaniem to oczywiste, że cię kocha, a jeśli była gotowa zostać najwyższą przywódczynią Ameryki Północnej, pewnie jest też gotowa ogarnąć coś takiego, ale... – Drapie się po brodzie, odwraca wzrok. – No wiesz, moim zdaniem może powinieneś się chwilę zastanowić.

Wbijam w niego wzrok. Rozważam jego słowa i w końcu mówię:

– Twoim zdaniem powinienem kupić jej pierścionek.

Kenji uśmiecha się do podłogi. Wydaje się powstrzymywać śmiech.

– Aha. Takie mam zdanie.

– Ale ja nic nie wiem o biżuterii.

Patrzy na mnie oczami pełnymi rozbawienia.

– Nic się nie martw. Na pewno w tych plikach w twojej głowie jest mnóstwo informacji na ten temat.

– Ale...

Samolotem niespodziewanie szarpie, siła odrzuca mnie do tyłu. Wymieniamy z Kenjimi spojrzenia, ostrożność szybko ustępuje miejsca strachowi, a ten powoli zmienia się w panikę.

Jeszcze jedno szarpnięcie, tylko tym razem mocniejsze.

I kolejne.

– To nie są turbulencje – zauważam.

Kenji klnie głośno i skacze na równe nogi. Patrzy na deskę rozdzielczą, po czym odwraca się i łapie za głowę.

– Nie znam się na tym – rzuca. – Nie znam się na tym cholerstwie...

Otwieram drzwi do kokpitu i w tej samej chwili Nazeera już do nas biegnie. Przepycha się do przodu, żeby spojrzeć na monitory, a kiedy się odwraca, wygląda na przerażoną.

– Straciliśmy jeden z silników – stwierdza, a jej głos to ledwie szept. – Ktoś do nas strzela.

– Co takiego? Jak to mo...

Jednak nie ma czasu na dyskusje. Ledwo zdążymy się obejrzeć, kiedy samolotem znowu szarpie i tym razem ze schowków nad naszymi głowami wypadają maseczki tlenowe. Rozlega się sygnał alarmowy. Czerwone światła migoczą, szybko i uporczywie, a ostre dźwięki ostrzegają, że właśnie pada system.

– Musimy awaryjnie lądować – stwierdza Nazeera. – Musimy znaleźć... Cholera jasna – wypala i zakrywa usta dłonią. – Straciliśmy drugi silnik.

– Czyli teraz po prostu spadniemy z pieprzonego nieba? – rzuca Kenji.

– Nie możemy wylądować – zauważam, a serce bije mi jak obłąkane i z trudem opieram się panice. – Nie w ten sposób, nie, kiedy straciliśmy dwa silniki. Nie, kiedy jesteśmy pod ostrzałem.

– No to co robimy? – pyta Nazeera.

Wtedy stojąc w progu, cicho odzywa się Ella:

– Musimy skoczyć.

JULIETTE

ELLA

– Co takiego?

Odwracają się do mnie wszyscy troje.

– O czym ty mówisz? – wypala Kenji.

– Kochanie, to naprawdę nie jest dobry pomysł... Nie mamy żadnych spadochronów, a bez nich...

– Nie, ona ma rację – odzywa się ostrożnie Nazeera. Patrzy mi w oczy. Wydaje się rozumieć, co mam na myśli.

– To zadziała, prawda? – mówię.

– Szczerze? Nie mam pojęcia – odpowiada. – Ale zdecydowanie warto spróbować. Być może to nasza jedyna szansa.

Kenji zaczyna chodzić w kółko.

– Okej, ktoś musi mi powiedzieć, o co tutaj chodzi, do cholery.

Aaron blednie.

– Kochanie, co... – zaczyna.

– Nazeera umie latać – wyjaśniam. – Jeśli znajdziemy sposób na to, żeby bezpiecznie się spiąć albo związać, mógłbyś skorzystać z jej zdolności, żeby pomóc, a ponieważ są małe szanse, żebyście we dwoje dali radę utrzymać nas czworo, w końcu będziemy powoli opadać w stronę ziemi.

Nazeera jeszcze raz spogląda na deskę rozdzielczą.

– Znajdujemy się na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów i szybko ją tracimy. Jeśli mamy wyskoczyć, powinniśmy to zrobić teraz, kiedy samolot leci jeszcze dosyć stabilnie.

– Czekaj... gdzie jesteśmy? – pyta Kenji. – Gdzie wylądujemy?

– Nie jestem pewna – odpowiada Nazeera. – Ale wygląda na to, że znajdujemy się między sektorami dwieście a trzysta. – Spogląda na Aarona. – Masz jakichś przyjaciół w tym regionie?

Aaron patrzy na nią chmurnie.

– Ja nigdzie nie mam przyjaciół.

– Zero umiejętności społecznych – mamrocze Kenji.

– Kończy nam się czas – zauważam. – Skaczemy czy nie?

– Chyba tak. Innego planu nie mamy – odpowiada Kenji.

– Myślę, że to się może udać – stwierdza Aaron i posyła mi nieśmiałe, ale dodające otuchy spojrzenie. – Tylko moim zdaniem powinniśmy znaleźć sposób na to, żeby się do siebie nawzajem przypiąć. Jakąs uprzęż albo coś, żebyśmy nie rozdzielili się w powietrzu.

– Nie mamy na to czasu. – Spokój Nazeery szybko zmienia się w panikę. – Będziemy musieli się po prostu mocno trzymać.

Kenji kiwa głową i nagle szarpnięciem otwiera drzwi samolotu. Do środka wpada rozpędzone powietrze i prawie zwała nas z nóg.

Szybko łapiemy się za ręce, Nazeera i Aaron stoją od zewnątrz, a po kilku okrzykach na wyjąłym wietrze...

Skaczemy.

To przerażające uczucie.

Powietrze uderza w nas szybko i mocno, po czym w jednej chwili zamiera. Jest zupełnie tak, jakbyśmy zastygli w czasie. Patrzymy na upadek oddalającego się od nas samolotu. Nazeera i Aaron najwyraźniej są w stanie wykonać swoje zadanie wręcz aż za dobrze. Nie opadamy dość szybko i nie tylko na tej wysokości jest potwornie zimno, ale też brakuje tlenu.

– Przystanę czerpać z twojej zdolności – woła Aaron do Nazeery, a ona odpowiada krzykiem, że okej.

Zaczynamy powoli zmniejszać wysokość.

Patrzę, jak świat dokoła staje się niewyraźny. Lecimy w dół, nieśpiesznie, wiatr uderza w nasze stopy. A potem nagle, jakby ktoś zwolnił zapadnię, gwałtownie opadamy.

Z moich ust wydostaje się jeden wrzask przerażenia – a może to jednak był Kenji? – po czym równie niespodziewanie zatrzymujemy się jakieś pół metra nad ziemią. Aaron ściska mnie za rękę i patrzę na niego

z wdzięcznością.

I zaraz spadamy.

Ładuję twardo i boli mnie noga w kostce, ale mogę ją obciążyć, więc nic złego się nie stało. Rozglądam się, żeby sprawdzić, co z moimi przyjaciółmi, lecz zdaję sobie sprawę – zbyt późno – że nie jesteśmy sami.

Znaleźliśmy się na wielkim, otwartym terenie. Dawno temu to musiała być ziemia uprawna, lecz teraz został z niej piach. W oddali widać szybko zbliżających się do nas ludzi.

Zaprzęgam swoją moc, szykując się do walki. Jestem gotowa, żeby stawić czoła zagrożeniu. Energia we mnie szumi, iskrzy w mojej krwi.

Nie czuję strachu.

Aaron obejmuje mnie i przyciąga do siebie.

– Jesteśmy w tym razem – szepcze. – Bez względu na wszystko.

Wreszcie, po chwili, która zdawała się trwać wieczność, od grupy odrywa się dwoje ludzi. Podchodzą do nas powoli.

Cała się spinam w gotowości na atak, lecz kiedy nieznanymi są już wystarczająco blisko, dostrzegam ich twarze. To dwoje dorosłych.

Kobieta jest szczupła i śliczna, ma krótko obcięte włosy i ciemną, błyszczącą skórę. Kiedy idzie, zdaje się promieniować, z każdym krokiem uśmiecha się coraz szerzej. Obok niej widać jeszcze inną uśmiechniętą twarz, lecz na widok znajomej brązowej skóry i długich dredów dopada mnie szok i panika, ale też obmywa fala nadziei. Aż mi się kręci w głowie.

Castle.

Jego obecność tutaj może zwiastować coś zarówno dobrego, jak i złego. W mojej głowie pojawia się tysiąc pytań. Co on tutaj robi? Jak się tutaj dostał? Gdy ostatni raz się widzieliśmy, wcale nie wydawał się stać po mojej stronie, więc czy to możliwe, by całkiem się od nas odwrócił?

Jako pierwsza odzywa się kobieta.

– Cieszę się, że jesteście cali i zdrowi – mówi. – Obawiam się, że nie miałam innego wyjścia, jak zestrzelić wasz samolot.

– Słucham? Jak to...

– Castle? – Cichy, nieśmiały głos Kenjiego rozlega się gdzieś za moimi plecami.

Castle robi krok do przodu, a Kenji rusza w jego kierunku i ściskają się na powitanie. Castle trzyma go tak mocno, że nawet z daleka czuję to napięcie. Obaj zdają się odczuwać silne emocje, a ten wzruszający widok sprawia, że opuszcza mnie strach.

– Nic ci nie jest – mówi Kenji. – Myślałem...

Z tłumu wychodzą Haider i Stephan, syn najwyższego przywódcy Afryki. Na ich widok moim ciałem wstrząsa szok. Chłopaki dają znak Nazeerze i we troje odchodzą na bok. Rozmawiają cicho, pośpiesznie.

Castle bierze głęboki oddech.

– Mamy wiele rzeczy do omówienia – oznajmia, po czym dodaje, zwracając się do mnie: – Ella, chciałbym, żebyś poznała moją córkę, Nourię.

Moje brwi wędrują aż po linię włosów. Zerkam na Aarona, który wydaje się równie zaskoczony, ale Kenji krzyczy radośnie i jeszcze raz rzuca się na Castle'a. Śmieją się we dwóch, a Kenji powtarza:

– Nie wierzę, nie wierzę.

Nouria wymownie ich ignoruje i uśmiecha się do mnie.

– Nazywamy nasz dom Sanktuarium – mówi. – Razem z żoną jesteśmy tutaj liderkami ruchu oporu. Witajcie.

Z tłumu wychodzi druga kobieta. Jest drobna, ma długie jasne włosy. Ścisną moją dłoń.

– To zaszczyt poznać cię osobiście – oznajmia. – Nazywam się Samantha.

Mierzę je obie wzrokiem, gdy stoją obok siebie. Patrzę na szczęście Castle'a. Na radość Kenjiego. Na stojących z boku Nazeerę, Haidera i Stephana. I większą grupę z tyłu.

– To raczej zaszczyt dla nas – odpowiadam z uśmiechem i dodaję: – Ale jesteśmy tutaj bezpieczni? Na otwartym terenie?

Nouria kiwa głową.

– Moja moc pozwala na niezwykle manipulowanie światłem – tłumaczy. – Rzuciłam wokół nas

tarczę ochronną i każdy, kto spojrzy w naszą stronę, zobaczy tylko oślepiający blask, po czym odwróci wzrok.

– Nieźle – wypala Kenji, otwierając szeroko oczy.

– Dziękuję – kwituje Nouria. Wydaje się promieniować, jej ciemnobrązowa skóra migocze, chociaż kobieta się nie rusza. Jest w niej coś zapierającego dech.

– To wasi ludzie? – odzywa się Aaron, po raz pierwszy. Patrzy ponad jej ramieniem na mały tłum w oddali.

Nouria potakuje.

– Są tutaj, żeby mieć pewność, że nie zrobimy wam krzywdy?

Nouria się uśmiecha.

– Są tutaj, żeby mieć pewność, że nikt nie robi krzywdy wam – odpowiada. – Jesteście tutaj mile widziani. Udowodniłeś już, po czyjej stronie stoisz. Wszyscy słyszeliśmy historie o Sektorze 45.

– Naprawdę? – dziwię się. – Myślałam, że Przywrócenie wszystko ukryło.

Nouria potrząsa głową.

– Plotki roznoszą się tak szybko, że nikt nie jest w stanie nad nimi zapanować. Cały kontynent ekscytuje się wieściami o tym, co robiliście przez ostatnie miesiące. To naprawdę wielki przywilej móc cię poznać – zwraca się do mnie, wyciągając rękę. – Jestem pod ogromnym wrażeniem twoich dokonań.

Chwytam jej dłoń, czując jednocześnie dumę i zawstydzenie.

– Dziękuję – mówię cicho. – To bardzo miłe z twojej strony.

Wtedy jednak jej wzrok staje się ponury.

– Naprawdę mi przykro, że musieliśmy was zestrzelić – tłumaczy. – To musiało być przerażające. Ale Castle zapewnił mnie, że dwoje spośród was umie latać.

– Zaraz, jak to? – Kenji zerka na Castle'a. – Ty to zaplanowałaś?

– Nie było innego wyjścia – odzywa się Castle. – Kiedy udało nam się wydostać z zakładu – patrzy z wdzięcznością na Nazeerę i pochyla głowę – wiedziałem, że możemy być bezpieczni tylko tutaj, z Nourią. Niestety nie mogliśmy przekazać wam wiadomości, żebyście lądowali w tym miejscu; z pewnością zostalibyśmy podsłuchani. A z oczywistych powodów nie mogliście też lądować w bazie. Dlatego śledziliśmy wasz lot, czekając na właściwy moment. Zestrzelenie was kieruje uwagę bezpośrednio na wojsko. Przywrócenie uzna, że to akcja innego sektora, a kiedy zaczną łączyć kropki, my zdążymy już zniszczyć wszelkie ślady naszego pobytu tutaj.

– Czyli... czekaj... – mówię. – Jak udało wam się skoordynować te wszystkie działania z Nourią? Jak udało wam się odnaleźć? – A po chwili dodaje: – Castle, skoro porzuciłeś cywilów, czy Anderson ich teraz po prostu nie zamorduje? Nie lepiej było zostać i ich chronić? Spróbować walczyć?

Castle potrząsa głową.

– Nie mieliśmy innego wyjścia, niż ewakuować Omega Point z Sektora 45. Po tym, jak wy dwoje – wskazuje mnie i Aarona – zostaliście porwani, szybko zagościł chaos. Wszystkich nas pojmano i wtrącono do zakładu. Zdołaliśmy tutaj dotrzeć wyłącznie dzięki Nazeerze, która skontaktowała nas z Haiderem i Stephanem. Sektor 45 na powrót stał się więzieniem. – Castle wciąga głośno powietrze. – Jest wiele rzeczy, które musimy sobie nawzajem opowiedzieć. Przez ostatnie dwa tygodnie wydarzyło się tak dużo, że nie da się tego szybko wytłumaczyć. Ale w tej chwili najważniejsze jest to, byś poznała rolę, jaką odegrała w tym Nouria.

Odwraca się do córki i daje jej znak, kiwając głową. Nouria patrzy mi w oczy i mówi:

– Tamtego dnia, kiedy zostałam postrzelona na plaży. Pamiętasz?

Waham się.

– Oczywiście.

– To ja wydałam tamten rozkaz.

Jestem tak zdumiona, że wyraźnie się wzdrygam.

– Co takiego? – wypala Aaron z oburzeniem i robi krok do przodu. – Castle, czyś ty oszalał? Oczekujesz, że schronimy się u osoby, która prawie zamordowała Ellę? – Odwraca się i patrzy na mnie z dzikim wyrazem. – Jak mogłeś...

– Castle? – W głosie Kenjiego słychać ostrzeżenie. – Co się dzieje?

Jednak ojciec i córka patrzą po sobie, wymieniając znaczące spojrzenia.

W końcu Castle wzdycha.

– Najpierw się rozgoście, a potem wszystko sobie wyjaśnimy – mówi Castle. – To będzie długa i ważna rozmowa.

– Odbądźmy ją teraz – rzuca Aaron.

– Tak – zgadza się ze złością Kenji. – Teraz.

– Próbowała mnie zamordować – odzywam się wreszcie. – Dlaczego się tutaj znalazłam? Co próbujesz osiągnąć?

– Mielicie długą i trudną podróż – zauważa Castle. – Chciałbym, żebyście mieli chwilę odpoczynku. Weźcie prysznic, zjedzcie coś. A potem, obiecuję, odpowiem na wszystkie wasze pytania.

– Ale jak możemy mieć pewność, że będziemy tutaj bezpieczni? – pytam. – Skąd wiesz, że Nouria nie spróbuje nas skrzywdzić?

– Bo zrobiłam to, żeby ci pomóc – wyjaśnia spokojnie Nouria.

– Niby jak? – wypala ostro Aaron.

– To był jedyny sposób, jaki przyszedł mi do głowy, żeby przekazać ci wiadomość – ciągnie Nouria, wciąż nie odrywając ode mnie wzroku. – Nie chciałam cię zabić, wiedziałam, że twoje zdolności ochronią cię przed śmiercią.

– Bardzo ryzykowne założenie.

– Uwierz mi – mówi cicho – że to była trudna decyzja. Wiele nas kosztowała, straciliśmy jednego z naszych ludzi.

Czuję, jak się spinam, poza tym jednak nie okazuję żadnych emocji. Pamiętam dzień, w którym Nazeera mnie uratowała – zabiła wtedy zamachowca.

– Niemniej udało mi się do ciebie dotrzeć – tłumaczy dalej Nouria, jej ciemnobrązowe oczy są przepełnione emocjami. – To był jedyny sposób, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń.

Moja ciekawość wygrywa ze sceptycyzmem. Na chwilę.

– No to dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś? – pytam. – Dlaczego mnie zatrzymałaś?

Nouria niespodziewanie się uśmiecha.

– Chciałam, żebyś zobaczyła to, co ja widziałam. I zdaniem Castle'a zadziałało.

– Co zadziałało?

– Ella... – Waha się. – Mogę zwracać się do ciebie prawdziwym imieniem?

Mrugam, zaskoczona. Spoglądam na Castle'a.

– Powiedziałaś jej?

– Nie musiał. W tym miejscu sekrety nie pozostają nimi zbyt długo – odpowiada Nouria. – Bez względu na to, co próbowało ci wmówić Przywrócenie, udaje nam się przekazywać sobie nawzajem wiadomości. Wszystkie grupy oporu na całej planecie znają już prawdę na twój temat. I z tego powodu czują do ciebie jeszcze większą sympatię.

Nie wiem, jak na to zareagować.

– Ella – mówi cicho Nouria. – Udało mi się ustalić, dlaczego twoi rodzice tak długo zachowywali istnienie twojej siostry w tajemnicy. I chciałam, żebyś...

– Już wiem – przerywam jej szeptem.

Jeszcze z nikim o tym nie rozmawiałam; nikomu nie pisałam o tym słówka. Nie było czasu, żeby zająć się tak poważnym tematem. Nie było czasu na odpowiednio długą rozmowę. Ale chyba odbędziemy ją teraz.

Nouria patrzy na mnie zdumiona.

– Wiesz?

– Emmaline powiedziała mi o wszystkim.

Po tłumie niesie się szmer. Wszyscy się odwracają, żeby na mnie spojrzeć. Nawet Haider, Stephan i Nazeera wreszcie milkną i patrzą.

– Jest więziona – tłumaczę. – Żyje w zbiorniku, permanentnie zanurzona w wodzie. Jej fale mózgowe są podłączone do turbin pływnych, które zmieniają energię kinetyczną jej umysłu w elektryczność. Moja matka Evie znalazła sposób na to, by zaprząć tę elektryczność i transmitować ją na zewnątrz. Na cały świat. – Biorę głęboki wdech. – Emmaline jest silniejsza, niż ja kiedykolwiek byłam i kiedykolwiek będę. Ma dość mocy, żeby kontrolować umysły innych ludzi, może przekształcać i wykrzywiać postrzeganą przez nich

rzeczywistość. Tutaj i wszędzie indziej.

Twarz Kenjiego jest idealną maską przerażenia, która znajduje odbicie na dziesiątkach oblicz dokoła. Z kolei mina Nazeery sprawia wrażenie zbolełej.

– Co tutaj widzisz? – pytam. – Dokoła nas? Upadek społeczeństwa, zanieczyszczoną atmosferę, niebo puste, pozbawione ptaków... To wszystko iluzja. Prawda, że nasz klimat się zmienił, że dokonaliśmy poważnych zniszczeń w atmosferze, faunie i florze, ogólnie na całej planecie, ale to nie jest nieodwracalne. Naukowcy wciąż żywili nadzieję, że jeśli zdobędziemy się na wspólny wysiłek, możemy jeszcze naprawić Ziemię. Uratować przyszłość. Jednak Przywróceniu się to nie podobało. Nie chcieli, żeby ludzie mieli nadzieję. Woleli, by myślano, że Ziemi nie da się już ocalić. A dzięki Emmaline udało im się to osiągnąć.

– Ale dlaczego? – pyta zdumiony Kenji. – Dlaczego to zrobili?

– Zdesperowanych i przerażonych ludzi znacznie łatwiej kontrolować – tłumaczy poważnie Nouria. – Wykorzystali siostrę Elli, żeby stworzyć iluzję nieodwracalnych zniszczeń, a potem wykorzystali słabych i bezsilnych, przekonując ich, by zwrócili się do Przywrócenia o wsparcie.

– Zostałyśmy z Emmaline stworzone do przeprowadzenia tak zwanej Operacji Syntezy. Ona miała być architektem świata, a ja wykonawcą. Tylko że moja siostra umiera. Potrzebują kolejnej potężnej broni, za pomocą której będą kontrolować ludzi. Jakiś plan awaryjny.

Aaron chwyta mnie za rękę.

– Przywrócenie chciało, żebym zastąpiła Emmaline – oznajmiam.

Nouria po raz pierwszy zamarła. O tym nikt nie wiedział. Nikt oprócz mnie.

– Jak? – pyta. – Masz zupełnie inne zdolności.

Wtedy odzywa się Castle.

– Właściwie łatwo sobie to wyobrazić. – A jednak wydaje się przerażony. – Gdyby spotęgowali zdolności Elli w taki sam sposób, jak zrobili to w przypadku jej siostry, stałaby się ludzkim odpowiednikiem bomby atomowej. Mogłaby spowodować ogromne zniszczenia. Obezwładniający ból. Śmierć, jeśli sobie tego zażyczą. I to wszystko na niebywałe odległości.

– Nie mamy innego wyjścia – oznajmia Nouria, ostro i wyraźnie. – Musimy zabić Evie.

Patrzę w dal i odpowiadam cicho:

– Już to zrobiłam.

Z tłumu niesie się jeden wielki zduszony okrzyk. Stojący obok mnie Aaron sztywnieje.

– A teraz – ciągnę – muszę też zabić siostrę. Właśnie tego chce. Nie da się inaczej.

WARNER

Główna siedziba grupy Nourii jest jednocześnie dziwna i piękna. Nie muszą chować się pod ziemią, ponieważ ich przywódczyni znalazła sposób na to, by nasycać przedmioty swoją mocą – tej ewolucji naszych zdolności Castle nie przewidział. Obozowisko Sanktuarium jest chronione przez szereg mierzących sześć metrów lamp, które otaczają polanę. Połączone z mocą Nourii światło tworzy barierę, która nie pozwala patrzeć w stronę ich obozowiska. Nouria twierdzi, że jej zdolności nie tylko mogą oślepić, ale też zniekształcać dźwięki. Dlatego żyją tutaj, na otwartej przestrzeni, a ich słowa i działania pozostają ukryte przed innymi. Do obozowiska mogą się dostać jedynie ci, którzy znają jego położenie.

Nouria twierdzi, że ta iluzja od lat zapewnia im bezpieczeństwo.

Słońce powoli zaczyna zachodzić, gdy ruszamy w stronę kremowych namiotów rozstawionych na niezwykle zielonej polanie. Ten widok jest tak olśniewający, że mimowolnie zatrzymuję się, żeby go podziwiać. Niebo zapłonęło, złociste światło zalewa powietrze i ziemię. Wydaje się jednocześnie piękne i smutne, a ja drzę, kiedy moje ciało owiewa chłodny wiatr.

Ella chwyta mnie za rękę.

Spoglądam na nią, zaskoczony, a ona się uśmiecha. Gasnące światło odbija się w jej oczach. Wyczuwam jej strach, nadzieję, miłość do mnie. Jednak jest coś jeszcze – coś na kształt dumy. Niezbyt wyraźne, ale jest i sprawia mi ogromną radość. Powinna być z siebie dumna. Ja na pewno jestem z niej dumny jak nigdy wcześniej. W sumie zawsze wiedziałem, że jeszcze wiele osiągnie. Nie jestem ani trochę zaskoczony, że nawet po tym wszystkim, co przeszła – po tym całym horrorze, któremu musiała stawić czoła – zdołała zainspirować cały świat. Jest jedną z najsilniejszych osób, jakie kiedykolwiek znałem. Mój ojciec może i wstał z martwych, a my utraciliśmy kontrolę nad Sektorem 45, lecz nie można nie doceniać wpływu Elli. Nouria powiedziała, że nikt nie wierzył w jej śmierć, ale teraz, gdy ich domysły zostały oficjalnie potwierdzone – gdy rozeszły się wieści, że Ella nadal żyje – cieszy się jeszcze większym uznaniem niż wcześniej. Podobno ludzie w podziemiu coraz bardziej się burzą. Rozpaczliwie pragną działać, zaangażować się i sprzeciwić Przywróceniu. Grupy oporu rosną w siłę. Cywile znajdują sposoby na to, by się organizować i wspierać. A Ella stała się dla nich swego rodzaju symbolem. Wszyscy o niej mówią.

Dla wielu osób stała się źródłem nadziei.

Ściskam jej dłoń, odwzajemniam uśmiech i kiedy jej policzki się rumienią, muszę się powstrzymać, żeby nie przyciągnąć jej w objęcia.

Każdego dnia wzbudza we mnie coraz większy zachwyt.

Mimo wszystko wciąż nie mogę zapomnieć o rozmowie z Kenjim. Ostatnio otacza nas tyle desperacji, że nie opuszcza mnie nowe, dręczące poczucie, że ten moment spokoju może być moją jedyną szansą na szczęście. Niemal nieustannie jesteśmy w stanie wojny: albo próbujemy ratować swoje życie, albo uciekamy – i nie mamy żadnej gwarancji przyszłości. Żadnej gwarancji, że dożyję kolejnego roku. Żadnej obietnicy, że będę mógł się zestarzeć. Z tego powodu mam ochotę...

Nagle zamieram i Ella omal nie traci równowagi.

– Wszystko w porządku? – pyta, ściskając moją dłoń.

Kiwam głową. Posyłam jej roztargniony uśmiech, przepraszam i znowu ruszamy, ale...

Raz jeszcze wszystko liczę.

W końcu się odzywam, nie unosząc wzroku:

– Czy ktoś wie, jaki mamy dzisiaj dzień?

Z grupy niesie się jakiś głos, nawet nie próbuję go zidentyfikować. Ktoś potwierdza moje przypuszczenia. Ojciec nie kłamał.

Jutro są moje urodziny.

Skończę dwadzieścia lat.

Jutro.

Przechodzi mnie dreszcz. Te urodziny wydają się bardziej znaczące niż wcześniejsze, ponieważ moje życie dokładnie rok temu stało się niemal nie do poznania. Prawie wszystko w nim jest teraz inne. Rok temu byłem innym człowiekiem. Byłem w okropnym, destrukcyjnym związku z inną osobą. Rok temu miałem tak potworne lęki, że pięć minut sam na sam z własnymi myślami sprawiało, że na kilka dni wpadałem

w otchłań. Jedynie codzienna rutyna i sztywne plany pozwalały mi jakoś funkcjonować, przywiązując mnie do niekończących się koszmarów mojej pracy i jej wymagań. Byłem wręcz absurdalnie nieelastyczny. Moje człowieczeństwo wisiało na włosku. Czułem się zdziczały, prawie traciłem zmysły, cały czas. Moje intymne myśli i lęki były tak mroczne, że niemal wszystkie wolne chwile spędzałem na ćwiczeniach, na strzelnicy albo w odmętach Sektora 45, przeprowadzając symulacje treningowe, które – nie przyznaję tego z dumą – zaprojektowałem tak, bym doświadczał zabijania samego siebie, raz po raz.

Tak było rok temu. Mniej niż rok temu. A jednak mam wrażenie, jakby wydarzyło się w innym życiu. A kiedy myślę o tym, jaki byłem i jaką wizję przyszłości miała tamta wersja mnie sprzed roku...

Czuję głęboką, bezbrzeżną pokorę.

Dzisiaj nie jest nam dane na wieczność. Szczęście nie zdarza się samo. Szczęście należy odkryć, oddzielić od wierzchniej warstwy bólu. Trzeba po nie sięgnąć. I trzymać blisko.

Chronić.

– Chcielibyście najpierw wziąć prysznic i przebrać się przed spotkaniem z pozostałymi? – pyta Nouria.

Jej słowa słysząc głośno i wyraźnie, przywracają mnie do rzeczywistości.

– Tak – odpowiadam szybko. – Bardzo by mi się przydała chwila odpoczynku.

– Żaden problem. Spotykamy się na kolację w głównym namiocie za dwie godziny. Zaprowadzę was do waszych nowych miejsc noclegowych. – Waha się. – Mam nadzieję, że nie uznacie tego za bezczelność, ale założyłam, że będziecie chcieli – patrzy na mnie i Ellę – współdzielić przestrzeń. Oczywiście jeśli to nie...

– Tak, dziękuję – mówi szybko Ella i już się rumieni. – Dziękujemy za troskę.

Nouria kiwa głową. Wydaje się zadowolona. A potem zwraca się do Kenjiego i Nazeery:

– Jeśli chcecie, mogę polecić, by wasze oddzielne pokoje zostały połączone...

Kenji i Nazeera odpowiadają jednocześnie.

– Co? Nie.

– Absolutnie nie.

– Och, przepraszam – reflektuje się od razu Nouria. – Wybaczcie, nie powinnam była niczego zakładać.

Pierwszy raz widzę stropioną Nazeerę. Z trudem wydobywa z siebie głos, odpowiadając:

– Dlaczego pomyślałaś, że moglibyśmy chcieć spać razem w pokoju?

Nouria kręci głową. Zerka zmieszana na Castle'a, ale nagle sprawia wrażenie zażenowanej.

– Nie wiem, przepraszam. Wyglądaliście...

– Oddzielne pokoje będą najlepsze – rzuca ostro Kenji.

– Świetnie – kwituje Nouria trochę zbyt radośnie. – Zaprowadzę was.

A ja przyglądam się z rozbawieniem, jak Castle próbuje powstrzymać uśmiech, na próżno.

Nasze miejsca noclegowe, jak nazwała je Nouria, przewyższają moje oczekiwania. Myślałem, że będziemy mieli warunki campingowe, tymczasem każdy namiot jest miniaturowym, niezależnym domem. W środku znajduje się łóżko, niewielka przestrzeń salonowa, mała kuchnia i łazienka z pełnym wyposażeniem. Wszystko jest może i proste, ale czyste, solidnie wykonane i w jasnych kolorach.

Kiedy Ella wchodzi, zdejmuje buty i rzuca się tyłem na łóżko, oczami wyobraźni widzę nas dwoje – może kiedyś – w naszym własnym domu. Na tę myśl moje ciało zalewa fala uderzającej do głowy euforii.

A potem – strachu.

Nadzieja na taką przyszłość wydaje się kuszeniem losu. Jednak rozbrzmiewa we mnie jakiś cichy, lecz uparty głos, który podpowiada, żeby z tego nie rezygnować. Razem z Ellą stawiliśmy czoła przeciwnościom, które wydawały się niemożliwe do pokonania. Nie śmiałybym marzyć, że wiedząc wszystko na mój temat, nadal będzie mnie kochać. Nie śmiałybym marzyć, że trudy ostatnich wydarzeń tylko nas do siebie zbliżą ani że moja miłość do niej zdoła w jakiś sposób wzmocnić się dziesięciokrotnie w ciągu dwóch tygodni. Dorastałem z przeświadczeniem, że przyjemności tego świata są dla innych ludzi. Byłem pewien, że moje przeznaczenie to smutne, samotne życie pozbawione radości, jaką można czerpać z bliskich relacji.

Ale teraz...

Ella ziewa cicho, przyciska poduszkę do piersi i zwija się w kłębek. Zamyka oczy.

Patrzę na nią i moje usta rozciągają się w uśmiechu.

Wciąż nie mogę się nadziwić ukojeniu, jakie przynosi mi jej widok. Ella się wierci, wtula mocniej w poduszkę, a ja zdaję sobie sprawę, że pewnie jest wykończona. I chociaż chciałbym ją wziąć w ramiona, lepiej dać jej przestrzeń. Wycofuję się cicho i postanawiam rozejrzeć się po naszym nowym, tymczasowym domu.

Nadal zaskakuje mnie to, jak bardzo mi się podoba.

Mamy tutaj więcej prywatności niż kiedykolwiek. Więcej wolności. Tutaj jestem tylko gościem, któremu oferuje się czas na prysznic i odpoczynek przed kolacją. Nikt nie oczekuje, że będę zarządzał jego światem. Nie muszę zajmować się żadną korespondencją. Nie muszę wykonywać żadnych nieprzyjemnych zadań. Nie muszę nadzorować żadnych cywilów ani torturować niewinnych. Czuję znacznie większą wolność, kiedy ktoś inny zasiada za sterem.

To coś jednocześnie obcego i wspianego.

Tak dobrze jest dzielić z Ellą przestrzeń – dosłownie i w przenośni – w której możemy być sobą, możemy być razem, zwyczajnie odetchnąć. Co prawda mieliśmy wspólny pokój w bazie, ale nigdy nie czuliśmy się tam jak w domu. Wszystko było zimne, sterylne. Nienawidziłem tamtego budynku. Nienawidziłem tamtego pokoju. Nienawidziłem każdej minuty swojego życia. Tamte ściany były duszące, przesycone okropnymi wspomnieniami. Lecz tutaj, chociaż pokój jest mały, ciasna przestrzeń jest też przytulna. A do tego nowa, świeża, nieskażona. W tym miejscu przyszłość nie wydaje się nieprawdopodobna. Nadzieja nie wydaje się absurdalna.

Czuję, że mamy szansę zacząć od nowa.

I już nie wydaje mi się takim ryzykownym marzyć, że pewnego dnia Ella będzie moja pod każdym względem. Będzie moją żoną, moją rodziną, moją przyszłością.

Nigdy, przenigdy nie miałem odwagi sobie tego wyobrażać.

Jednak moja nadzieja gaśnie tak szybko, jak się pojawiła. Przypominam sobie ostrzeżenie Kenjiego i niespodziewanie czuję niepokój. Najwyraźniej oświadczenie się Elli jest bardziej skomplikowane, niż mi się na początku wydawało. Podobno potrzebuję planu. Pierścionka. Muszę uklęknąć. To wszystko wydaje mi się absurdalne. Nawet nie wiem, dlaczego tak jest, po prostu nie czuję, żeby to było w moim stylu. Nie wiem, jak odegrać taką scenę. Nie chcę robić przedstawienia. Przerazająca wydaje mi się myśl, że miałbym się tak odsłonić przed innymi ludźmi albo w nieznanym otoczeniu. Nie wiedziałbym, co ze sobą począć.

Jednak te problemy nie sprawiają wrażenia niemożliwych do pokonania dla celu, jakim jest wieczność z Ellą. Mógłbym paść przed nią na kolana, gdyby chciała. Mógłbym oświadczyć jej się w pokoju pełnym najbliższych przyjaciół, jeśli tego potrzebuje.

Nie, mój strach dotyczy czegoś znacznie poważniejszego.

Coś innego na wskroś mną dzisiaj wstrząsnęło w trakcie rozmowy z Kenjim – to, że Ella mogłaby powiedzieć „nie”. Nieprawdopodobne, że taka możliwość w ogóle nie przyszła mi do głowy.

Oczywiście, że mogłaby powiedzieć „nie”.

Może nie być zainteresowana małżeństwem z wielu powodów. Na przykład może nie jest jeszcze gotowa. Może w ogóle nie wierzy w instytucję małżeństwa. Albo, myślę sobie, zwyczajnie nie chce wiązać się ze mną w tak permanentny sposób.

Aż przechodzi mnie od tego dreszcz.

Chyba założyłem, że emocjonalnie znajdujemy się na tym samym etapie. Jednak moje założenia w tej materii nieraz już kończyły się kłopotami, a teraz stawka jest zbyt wysoka, żeby nie brać wątpliwości Kenjiego pod uwagę. Nie jestem gotowy na zniszczenia, jakie dokonałyby się w moim sercu, gdyby Ella odrzuciła oświadczenia.

Biorę głęboki oddech.

Kenji powiedział, że muszę kupić jej pierścionek. Do tej pory miał rację w kwestii różnych błędów popełnianych przeze mnie w związku, więc skłaniam się ku założeniu, że w tej sytuacji jest podobnie. Jednak nie mam pojęcia, skąd miałbym teraz wziąć pierścionek. Może gdybyśmy byli dalej w Sektorze 45, gdzie znałem okolice i rzemieślników...

Ale tutaj?

Zupełnie sobie tego nie wyobrażam.

Jest tyle rzeczy do przemyślenia, że właściwie nie mogę uwierzyć, że w ogóle zastanawiam się nad takim krokiem – i w takim momencie. Nie miałem nawet kiedy przetrwać wieści o rzekomych zdolnościach

samouzdrawiających mojego ojca ani dosłownie nic z nowych, oburzających informacji, jakie dostaliśmy od naszych rodzin. Jesteśmy w samym środku walki o życie – i o przyszłość całego świata.

Może Kenji miał rację. Może nie myślałem trzeźwo. Może rozstanie z Ellą i odzyskanie wszystkich tych wspomnień...

Może to sprawiło, że stałem się nieracjonalny.

Odsuwam się od ściany, próbując przewietrzyć głowę. Przemierzam resztę niedużej przestrzeni, sprawdzając wszystko, co znajduje się w naszym namiocie, a potem zaglądam do łazienki. Z ulgą odkrywam, że mają tutaj prawdziwą instalację. Właściwie to im więcej się rozglądam, tym bardziej przekonuję się, że to w zasadzie nie jest żaden namiot. Są tu prawdziwe podłogi i ściany, a do tego łukowy sufit, zupełnie jakbyśmy znaleźli się w jednym z małych, niezależnych budynków, jedynie skrytym pod namiotem. Ciekawe, czy stanowią bardziej praktyczną, lecz mniej oczywistą funkcję.

Wiele lat, powiedziała Nouria.

Żyją tutaj od wielu lat i uczynili to miejsce swoim domem. Znaleźli sposób, żeby stworzyć coś z niczego.

Łazienka ma całkiem przyjemne rozmiary – przestrzeni wystarczyłoby dla dwojga, jednak nie ma tutaj wanny. Mimo wszystko kiedy zbliżaliśmy się do polany, nie byłem pewien, czy mają tutaj jakiekolwiek zabudowania albo bieżącą wodę, więc dostałem więcej, niż oczekiwałem. A im dłużej patrzę na prysznic, tym większą czuję potrzebę, żeby zmyć z siebie ostatnie tygodnie. Zawsze bardzo dbałem o swoją higienę, nawet uwięziony, a teraz minęło zbyt wiele czasu, odkąd ostatni raz myłem się pod ciepłą bieżącą wodą, więc trudno mi oprzeć się pokusie. Ściągam ubrania i jestem już prawie nagi, kiedy słyszę, jak Ella mnie woła. Jej zaspany głos niesie się z pomieszczenia służącego za sypialnię. Albo coś w tym guście. To właściwie nie jest oddzielny pokój, tylko wydzielona na posłanie przestrzeń.

– Tak? – odpowiadam.

– Gdzie jesteś?

– Pomyślałem, że wezmę prysznic – mówię, starając się nie krzyżeć. Właśnie zdjąłem bieliznę i stoję już w brodziku, ale przekręcam kurek w złą stronę i oblewa mnie zimna woda. Skaczę do tyłu, szybko naprawiając swój błąd, a wtedy prawie wpadam na Ellę.

Ellę, która nagle znalazła się tuż za mną.

Nie wiem, czy to kwestia nawyku, czy instynktu, ale sięgam po ręcznik i szybko przyciskam go do nagiego ciała. W zasadzie nie rozumiem, dlaczego nagle dopada mnie wstyd. Wcześniej zawsze czułem się pewnie. Podoba mi się to, jak wyglądam nago.

Jednak zaskoczyła mnie i czuję się bezbronny.

– Cześć, kochanie – mówię, biorąc szybki oddech. Przypominam sobie o uśmiechu. – Nie widziałem cię.

Ella krzyżuje ręce na piersi i udaje rozzłoszczoną, ale widzę, jak z trudem powstrzymuje śmiech.

– Aaron – mówi surowym tonem. – Zamierzałeś wziąć prysznic beze mnie?

Unoszę wysoko brwi, zdumiony.

Przez moment nie wiem, co powiedzieć. A potem pytam ostrożnie:

– Czy zechciałabyś do mnie dołączyć?

Robi krok do przodu, otacza mnie rękami w pasie i patrzy mi w oczy ze słodkim, tajemniczym uśmiechem. Samo jej spojrzenie wystarczy, żebym zaczął rozważać wypuszczenie ręcznika.

Wymawiam szeptem jej imię, moje serce wypełnia się emocjami.

Ella przyciąga mnie bliżej, delikatnie przystawia usta do mojej piersi, a ja zamieram. Jej pocałunki stają się bardziej namiętne, wargi pozostawiają ogniste ślady na mojej skórze, kierując się w dół. W moich żyłach krążą płynne płomienie. Nagle zapominam, na co mi w ogóle ten ręcznik.

Nie zauważam, kiedy spada na podłogę.

Biorę ją w ramiona, przysuwam do siebie. Cudownie jest ją dotykać, jej ciało idealnie pasuje do mojego. Przechylam jej głowę do góry, moja dłoń zatrzymuje się gdzieś między jej karkiem a szczęką i całuję ją, delikatnie i powoli, czując, jak moja krew niebezpiecznie szybko się nagrzewa. Przyciągam ją jeszcze bliżej i Ella wzdycha, traci równowagę i przypadkiem robi krok do przodu, a ja łapię ją i przyciskam do ściany. Zbieram materiał jej sukienki i jednym płynnym ruchem szarpnię do góry, moja dłoń wślizguje się pod spód, żeby dotknąć gładkiej skóry na jej brzuchu i chwycić mocno za biodra. Rozsuwam jej nogi udem,

a ona wydaje z siebie cichy gardłowy jęk rozkoszy i coś się wtedy ze mną dzieje, gdy czuję ją w ten sposób, gdy słyszę ją w ten sposób – gdy atakują mnie niezliczone fale jej przyjemności i pożądania...

Doprowadza mnie to do obłędu.

Chowam twarz, przyciskając ją do jej szyi, moje dłonie wędrują do góry, pod sukienkę, żeby poczuć jej skórę, rozgrzaną, miękką i wrażliwą na mój dotyk. Tak bardzo tęskniłem za Ellą. Tęskniłem za bliskością jej ciała, za zapachem jej skóry i delikatnej pieścioty jej włosów omiatających moją skórę. Całuję ją w szyję, próbując ignorować napięcie w mięśniach albo siłę, z jaką przyciąga mnie do siebie, w stronę szaleństwa. Coś we mnie krwawi, domagając się więcej, domagając się tego, bym odwrócił ją i zagubił się w niej tutaj, teraz, a ona szepcze...

– Jak... Jak to możliwe, że tak mi z tobą dobrze? – Trzyma się mnie kurczowo, przytykając oczy z żądz. Ma zarumienioną twarz. Jej słowa są nasycone emocjami, kiedy dodaje: – Jak to możliwe, że za każdym razem tak na mnie działasz?

Odrywam się od niej.

Robię dwa kroki do tyłu i oddycham ciężko, starając się odzyskać kontrolę nad sobą, a Ella otwiera szerzej oczy i nagle zamiera.

– Aaron? – rzuca. – Co się...

– Zdejmij sukienkę – mówię cicho.

W jej oczach budzi się zrozumienie.

Milczy, jedynie bacznie mnie obserwuje, tak samo jak ja patrzę, uwięziony przez rozkoszne cierpienie. Jej dłonie drżą, lecz oczy są chętne, pożądlive, przejęte. Zsuwa z siebie materiał, ubranie spływa z jej ramion na podłogę, a ja spijam ją wzrokiem i mój umysł wchodzi na obłądne obroty.

Jest prześliczna, myślę. Prześliczna.

Moje tętno bije rekordy.

Ella rozpina stanik, kiedy ją o to proszę. Chwilę później jej majtki dołączają do reszty ubrań na podłodze i nie mogę już oderwać od niej wzroku, moja głowa nie jest w stanie pogodzić się z tym, że Ella jest moja, że mnie pragnie, że mnie kocha. Nie słyszę nawet własnych myśli, serce dudni mi tak głośno i mocno, jakby obijało się o czaszkę. Na widok stojącej przede mną Elli, nagiej i zarumienionej z pożądania, mój umysł wpada w dziki, rozpaczliwy stan. Boże, te wszystkie fantazje, jakie miałem z nią w roli głównej. Te wszystkie scenariusze, które odtwarzałem w wyobraźni.

Robię krok do przodu i biorę ją na ręce, a ona wciąga głośno powietrze, zaskoczona, i obejmuje mnie mocno za szyję, ja zakładam sobie jej nogi w pasie, łapiąc ją pod biodrami. Uwielbiam czuć ciężar jej miękkich kształtów. Uwielbiam mieć ją tak blisko siebie. Uwielbiam to, jak obejmuje mnie rękami i nogami. Uwielbiam to, jaka jest gotowa, jej uda już są rozsunięte, ciało przyciska się do mnie każdym możliwym skrawkiem. Jednak wtedy Ella przeciąga dłońmi po moich nagich plecach i muszę uważać, żeby się nie wzdrygnąć. Nie chciałem wstydzić się swoich blizn. Nie chciałem, żeby jakkolwiek część mojego ciała była dla niej poza zasięgiem. Chcę, żeby знаła mnie dokładnie takiego, jakim jestem, a chociaż to trudne, pozwalam sobie poddać się jej dotykowi, zamykam oczy, kiedy ona wędruje dłońmi wysoko, na moje ramiona, a potem opuszcza je po rękach.

– Jesteś piękny – mówi cicho. – Zawsze mnie to zaskakuje. Chociaż już tyle razy widziałam cię nago, zawsze mnie to zaskakuje. To niesprawiedliwe, nikt nie powinien być taki piękny jak ty.

Patrzy na mnie, jakby oczekiwała odpowiedzi, ale ja nie mogę dobyć głosu. Boję się, że mógłbym się wtedy rozpaść. Pragnę jej z rozpaczliwą koniecznością, jakiej wcześniej nie znałem – desperacką, bolesną koniecznością, która jest tak przytłaczająca, że zaraz całkiem spłonę. Potrzebuję jej. Potrzebuję tego. Teraz. Biorę głęboki, niepewny oddech i zanoszę ją do kabiny prysznic.

Ona krzyczy.

Gorąca woda uderza w nas szybko i mocno, przyciskam Ellę do ściany prysznic, zatracam się w niej jak nigdy wcześniej. Pocałunki są bardziej namiętne, bardziej spragnione. Żar rozpala się tak mocno, że prawie wybucha. Wszystko między nami wydaje się dzikie, nieokiełznane, kruche.

Tracę poczucie czasu.

Nie wiem, jak długo tam jesteśmy. Nie wiem, na jak długo odpłynąłem, kiedy ona jęczy głośno, chwytając moje ramiona tak mocno, że wbija mi paznokcie w skórę. Jej krzyk tłumi tylko fakt, że przycisnęła usta do mojej piersi. Jest mi słabo, tracę równowagę, kiedy Ella opada bezsilnie w moich

objęciach. Upoiłem się czystą, zdumiewającą siłą jej emocji: niekończących się fal miłości i pożądania, miłości i dobroci, miłości i szczęścia. I czułości. Tak dużo w tym czułości.

Prawie za dużo.

Robię krok do tyłu, opieram się o ścianę, a Ella przykładła policzek do mojej piersi i przytula mnie, nasze ciała są mokre i ciężkie od emocji, nasze serca biją czymś potężniejszym, niż wydawało mi się możliwe. Całuję Ellę w ramię, w nasadę szyi. Zapominam, gdzie jesteśmy i co jeszcze musimy zrobić, po prostu ją trzymam, gorąca woda spływa po moich rękach, po moich nogach, nieco drżących, i za bardzo się boję, żeby ją puścić.

JULIETTE

ELLA

Budzę się nagle.

Po wyjściu spod prysznica osuszyliśmy się i bez słowa położyliśmy do łóżka, a sen przyszedł szybko.

Nie mam pojęcia, która jest godzina.

Aaron wtulił się we mnie, jedną rękę trzyma pod moją głową, drugą obejmuje mnie w pasie. Jego ręce są ciężkie, ale to słodki ciężar – sprawia, że czuję się bezpiecznie i nie chcę się stąd ruszać.

Jednak wiem, że pewnie powinniśmy wstać.

Wzdycham, bo wołałabym go nie budzić – wydaje się taki zmęczony – i odwracam się powoli w jego objęciach.

On tylko przyciąga mnie bliżej.

Przesuwa się w taki sposób, żeby jego broda spoczywała na mojej głowie; moja twarz teraz dotyka jego szyi i wciągam zapach jego skóry, głaszcząc potężne, umięśnione ręce. Wszystko w nim wydaje się emanować surową siłą. Jego serce ma w sobie coś dzikiego, ale też jakiś lęk, a ta wiedza sprawia, że kocham go jeszcze bardziej. Przeciągam dłońmi po jego łopatkach, po kręgosłupie. Aaron się wierci, ale tylko troszkę, i chowa twarz w moich włosach, wciąga powietrze.

– Nie odchodź – mówi cicho.

Przechylam głowę, delikatnie całuję go w szyję.

– Aaron, donikąd się nie wybieram.

On wzdycha i odpowiada:

– To dobrze.

Uśmiecham się.

– Chociaż pewnie powinniśmy wstać z łóżka. Musimy iść na kolację. Wszyscy już na nas czekają.

Potrząsa głową, ledwo zauważalnie. Stęka z niezadowoleniem.

– Ale...

– Nie. – A potem sprawnie pomaga mi się odwrócić. Raz jeszcze mnie mocno przytula, przyciskając pierś do moich pleców. Jego głos jest cichy, chrapliwy od pożądania. – Pozwól mi się tobą nacieszyć, kochana. Tak mi z tobą dobrze.

I poddaję się. Wtapiam się z powrotem w jego objęcia.

Prawda jest taka, że właśnie te chwile lubię najbardziej. Ciche zadowolenie. Spokój. Uwielbiam jego ciężar, jego dotyk, jego nagie ciało owinięte wokół mojego. Nigdy nie czułam większej bliskości niż w takim momencie, kiedy nic nas nie dzieli.

Delikatnie całuje mnie w skroń. Jakimś cudem przyciąga mnie jeszcze mocniej. Czuję jego usta na uchu, kiedy mówi:

– Kenji stwierdził, że powinienem ci kupić pierścioneł.

Sztywnieję, stropiona. Próbuje się odwrócić, odpowiadając:

– Co masz na myśli?

Jednak Aaron łagodnie przytrzymuje mnie w miejscu. Kładzie brodę na moim ramieniu. Jego dłonie przesuwają się po moich rękach, badają kształt moich bioder. Całuje mnie w szyję, leciutko, raz i drugi.

– Wiem, że nie tak powinienem to zrobić – tłumaczy. – Wiem, że nie nadaję się do takich rzeczy, kochana, i mam nadzieję, że mi to wybaczysz, ale nie umiem inaczej. – Pauza. – A zaczynam myśleć, że jeszcze chwila i zwariuję przez to oczekiwanie.

Moje ciało zamiera, chociaż serce dudni jak oszalałe.

– Aaron – mówię, ledwo ośmielając się oddychać. – O co chodzi?

Milknie.

Odwracam się znowu i tym razem on mnie nie powstrzymuje. Jego oczy płoną od emocji i patrzę na łagodny ruch w jego gardle, kiedy przełyka. Jakiś mięsień w jego szczęce wyraźnie drga.

– Wyjdź za mnie – szepcze Aaron.

Wbijam w niego wzrok. Niedowierzanie zderza się z radością, a spojrzenie Aarona – pełne nadziei i strachu – prawie mnie zabija.

Nagle wybucham płaczem.

Zakrywam twarz dłońmi, z moich ust wydobywa się szloch.

Aaron łagodnie odsuwa moje ręce.

– Ella? – pyta ciszej niż szeptem.

Wciąż nie przestając płakać, rzucam mu się na szyję, a on mówi nieco nerwowo:

– Skarbie, naprawdę chciałbym wiedzieć, czy to znaczy tak, czy nie...

– Tak – odpowiadam nieco histerycznie. – Tak. Zgadzam się na wszystko. Zgadzam się na zawsze z tobą. Tak.

WARNER

Czy to radość?

Chyba zaraz przez nią umrę.

– Aaron?

– Tak, kochana?

Ella ujmuje moją twarz w dłonie i całuje mnie, całuje z miłością tak głęboką, że uwalnia mój umysł z więzienia. Serce zaczyna mi bić jak młot.

– Ella, zostaniesz moją żoną – mówię.

Ona znowu mnie całuje, znowu płacze i niespodziewanie przestaję rozpoznawać samego siebie. Nie rozpoznaję swoich dłoni, swoich kości, swojego serca. Czuję się nowy. Inny.

– Kocham cię – szepcze Ella. – Tak bardzo cię kocham.

– To chyba jakiś cud, że możesz mnie w ogóle kochać.

Ona się uśmiecha, chociaż kręci głową.

– Chyba żartujesz – protestuje. – Ciebie bardzo, bardzo łatwo kochać.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Nie wiem, jak zareagować.

Przyciągam ją do siebie, całuję i ponownie zatracam się w jej smaku i dotyku, w wizji naszego wspólnego życia. Wizji naszej przyszłości. A potem wciągamy ją delikatnie na swoje kolana, ona siada na mnie okrakiem i kładzie się na mnie, policzkiem na klatce piersiowej. Otaczam ją rękami, dotykam dłońmi jej pleców. Wyczuwam jej łagodny oddech, jej rzęsy łaskoczą mnie, gdy mruga, a ja postanawiam, że już nigdy, przenigdy nie opuszczę tego łóżka.

Zapada między nami radosna, cudowna cisza.

– Poprosiłeś mnie o rękę – mówi cicho Ella.

– Tak.

– Wow.

Uśmiecham się, moje serce nagle przepełnia niewyrażalne szczęście. Prawie siebie nie poznaję. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tyle się uśmiechałem. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek odczuwał tak czystą, niczym niezmaconą błogość.

Jest zupełnie tak, jakby moje ciało mogło odpłynąć beze mnie.

Dotykam delikatnie jej włosów. Przyciągam palcami po miękkich, jedwabistych kosmykach. Kiedy wreszcie się podnoszę, ona też to robi i zaraz się rumieni pod wpływem mojego oczarowanego spojrzenia. Jej oczy są szeroko otwarte i błyszczące. Usta pełne i różowe. Jest idealna, tutaj, naga i piękna w moich objęciach.

Przyciskam czoło do jej ramienia, ustami muskam jej skórę.

– Kocham cię, Ella – szepczę. – Będę cię kochał do końca życia. Moje serce należy do ciebie. Proszę, nigdy mnie nie opuszczaj.

Przez chwilę nie odpowiada i mam wrażenie, jakby minęła wieczność.

W końcu czuję, jak się porusza. Dotyka mojej twarzy.

– Aaron – szepcze. – Spójrz na mnie.

Potrząsam głową.

– Aaron.

Unoszę powoli wzrok i patrzę Elli w oczy, a jej twarz zdaje się wyrażać jednocześnie smutek i słodką czułość. Czuję, jak coś się we mnie roztapia, kiedy tak na nią spoglądam, a gdy ona już ma coś powiedzieć, w pomieszczeniu rozlega się skomplikowana melodia.

Zamieram.

Ella marszczy brwi. Rozgląda się.

– To brzmi jak dzwonek do drzwi – oznajmia.

Szkoda, że nie mogę zaprzeczyć.

Prostuję się, chociaż Ella wciąż siedzi mi na kolanach. Chciałbym, żeby znowu zapadła cisza, żebym mógł wrócić do naszej rozmowy. Chcę pozostać przy pierwotnym planie i spędzić resztę wieczoru tutaj, w łóżku, z moją idealną, nagą narzeczoną.

Niestety raz jeszcze rozlega się ten dźwięk i teraz rzucam pod nosem coś zdecydowanie niezgodnego z etykietą.

Ella zaskoczona wybuchą śmiechem.

– Czy ty właśnie przekląłeś?

– Nie.

Trzeci dzwonek. Tym razem wbijam wzrok w sufit, próbując się opanować. Staram się przekonać samego siebie, by wstać i się ubrać. To musi być jakaś pilna sprawa, inaczej...

Nagle słychać głos:

– Słuchajcie, nie chciałem tu przychodzić, okej? Naprawdę. Nie podoba mi się to, ale Castle wysłał mnie, żebym was przyprowadził, bo przegapicie kolację. Robi się strasznie późno i wszyscy się trochę martwią, a teraz nawet nie otwieracie mi drzwi, więc... Chryste, otwórzcie te przeklęte drzwi...

Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że on tutaj jest. Zawsze musi mi psuć najlepsze chwile.

Zamorduję go.

Prawie się potykam, wciągając spodnie i podchodząc do drzwi jednocześnie, ale kiedy docieram na miejsce, szarpnięciem za nie, praktycznie wyrывая je z zawiasów.

– Jeśli nikt nie zginął, nie umiera albo nas nie zaatakowano, masz stąd zniknąć, zanim dokończę to zdanie.

Kenji patrzy na mnie zmrużonymi oczami, a potem przepycha się obok i wchodzi do środka. Jestem tak zdumiony jego bezczelnością, że dopiero po chwili do mnie dociera, że naprawdę będę musiał go zabić.

– J? – rzuca, rozglądając się. – Jesteś tutaj?

Ella zakryła się pościelą aż po szyję.

– Eee, cześć – mówi z nerwowym uśmiechem. – Co tutaj robisz?

– Hej, mogę nadal zwracać się do ciebie w ten sposób? – pyta Kenji. – Wiem, że tak naprawdę nazywałeś się Ella i w ogóle, ale tak się przyzwyczaiłem do J, że jakoś mi tak po prostu pasuje, wiesz?

– Możesz tak do mnie mówić – odpowiada Ella, po czym marszczy brwi. – Kenji, co się stało?

Jęczę.

– Wynoś się – warczę do niego. – Nie wiem, po co tutaj przylazłeś, i nie obchodzi mnie to. Nie chcemy, żeby ktokolwiek nam przeszkadzał.

Ella spogląda na mnie spode łba. Ignoruje mnie, zwracając się do Kenjiego:

– Możesz zostać. Mnie obchodzi. Powiedz, co się stało.

– Nic się nie stało – odpowiada Kenji. – Ale wiem, że twój chłopak mnie nie posłucha, więc chciałem przekazać tobie, że już prawie północ i naprawdę powinniście przyjść na kolację, okej? Jak najszybciej.

Posyła Elli znaczące spojrzenie, a ona otwiera szeroko oczy i kiwa głową. Wyczuwam jej ekscytację i zbija mnie to z tropu.

– O co chodzi? – pytam.

Jednak Kenji już wychodzi.

– Stary, naprawdę powinienes zjeść pizzę czy coś – wypala, klepiąc mnie po ramieniu. – Masz za duży kaloryfer.

– Słucham? – Ściągam brwi. – To nie...

– Tylko żartowałem – stwierdza Kenji, zatrzymując się na moment w progu. – To taki żart – powtarza. – Po prostu żart, Chryste.

Potem zatrząskuje za sobą drzwi. Odwracam się.

– O co chodzi? – powtarzam.

Jednak Ella tylko się uśmiecha.

– Powinniśmy się ubrać.

– Ella...

– Obiecuję, że wytłumaczę ci wszystko po drodze.

Potrząsam głową.

– Czy coś się wydarzyło?

– Nie, tylko... Jestem naprawdę podekscytowana tym, że znowu zobaczę wszystkich z Omega Point, a oni czekają w namiocie jadalnianym. – Wstaje z łóżka, wciąż zasłaniając się pościelą, a ja muszę zacisnąć pięści, żeby jej nie ściągnąć. Albo nie przyspilić Elli do ściany.

Zanim w ogóle zdążę odpowiedzieć, moja narzeczona znika w łazience, ciągnąc za sobą pościel.

Podążam za nią.

Szuka swoich ubrań, nie zdając sobie sprawy z mojej obecności. Sukienka leży na podłodze w kącie, Ella jeszcze jej nie zauważyła, ale wątpię, żeby chciała włożyć na siebie coś zakrwawionego. Powinienem jej powiedzieć, że znalazłem szufladę pełną prostych, standardowych ubrań, które pewnie możemy pożyczyć.

Może później.

Na razie staję za nią i chwytam ją za biodra. Ona podskakuje lekko, pościel spada na podłogę.

– Ella – mówię cicho, przyciągając ją do siebie. – Skarbie, musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

Powoli ją odwracam. Ona patrzy w dół, zaskoczona – niezmiennie zaskoczona – widokiem swojego nagiego ciała.

– Nie mam na sobie żadnych ubrań – szepcze.

– Wiem – mówię z uśmiechem i przeciągam dłońmi po jej plecach, rozkoszując się jej łagodnymi, idealnymi krągłościami. Szkoda, że nie mogę zachować tych momentów. Chciałbym do nich wracać. Przeżywać je na nowo. Ella drży w moich ramionach, przysuwam ją bliżej.

– To niesprawiedliwe – mówi, otaczając mnie rękami. – Niesprawiedliwe, że możesz wyczuwać emocje. Nie da się przed tobą niczego ukryć.

– Niesprawiedliwe jest to, że za chwilę się ubierzesz i zmusisz mnie do wyjścia, a ja nie wiem dlaczego.

Wpatruje się we mnie wielkimi oczami i uśmiecha nerwowo. Wyczuwam w niej rozdarcie, jej serce jest w dwóch miejscach jednocześnie.

– Aaron – mówię cicho. – Nie lubisz niespodzianek?

– Nie cierpię.

Śmieje się. Potrząsa głową.

– Chyba powinnam była to wiedzieć.

Wbijam w nią wzrok i unoszę brwi, wciąż czekając na wyjaśnienia.

– Oni mnie zabijają, jeśli ci powiem – odpowiada, a potem, zauważając moje spojrzenie, dodaje: – Nie... nie dosłownie. Ale... – Wreszcie wzdycha. I nie patrzy na mnie, mówiąc: – Urządzamy ci przyjęcie urodzinowe.

Musiałem się przesłyszeć.

JULIETTE

ELLA

Kosztowało mnie to więcej wysiłku, niż myślałam. Dopytywał, skąd w ogóle inni wiedzieli, że jutro są jego urodziny, i jakim cudem zdołaliśmy zaplanować imprezę, skoro nie mieliśmy pojęcia, że się tutaj rozbijemy, a poza tym dlaczego ktokolwiek chciałby wyprawiać mu urodziny, skoro on nawet nie był pewien, czy lubi przyjęcia, i tak dalej, i tak dalej.

Dopiero kiedy weszliśmy do namiotu jadalnianego i wszyscy wykrzyczeli mu życzenia, w końcu mi uwierzył. Oczywiście niewiele udało się zrobić. Właściwie nie mieliśmy czasu na przygotowania. Wiedziałam, że zbliżają się jego urodziny, ponieważ pilnowałam tego od czasu, kiedy powiedział mi o tym, jak traktował go kiedyś ojciec w ten dzień, rok w rok. Przysięgłam sobie wtedy, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zastąpić te wspomnienia lepszymi. Że już zawsze będę się starać przegonić mrok, który przesłonił całe jego dzieciństwo i okres dojrzewania.

Kiedy Kenji mnie znalazł, powiedziałam mu, że jutro są urodziny Aarona, i kazałam mu obiecać, że cokolwiek by się wydarzyło, spróbujemy jakoś je świętować, nawet w symbolicznej formie.

Ale to...

To więcej, niż mogłam sobie wyobrazić. Myślałam, że ze względu na ograniczenia czasowe może uda nam się nakłonić ludzi do odśpiewania mu *Sto lat* albo zjemy deser na jego cześć, ale to...

Mamy prawdziwy tort.

Tort ze świeczkami, które tylko czekają, żeby je zapalić.

Obecni są wszyscy członkowie Omega Point – cała grupa znajomych twarzy: Brendan i Winston, Sonya i Sara, Alia i Lily oraz Ian i Castle. Brakuje tylko Adama i Jamesa, jednak mamy też nowych przyjaciół.

Haidera. Stephana. Nazeerę.

No i jeszcze nowy ruch oporu. Mieszkańcy Sanktuarium, których nie zdążyliśmy poznać, wychodzą do przodu, zbierając się wokół jednego, skromnego ciasta. Na wierzchu widać napis:

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO WARNER

Wymalowany czerwonym lukrem.

Dekoracja jest trochę niedbała. Lukier niedoskonały. Lecz kiedy ktoś ściemnia światło i zapala świeczki, Aaron nagle zamiera. Ściskam jego dłoń, a on patrzy na mnie oczami szeroko otwartymi z emocji.

W jego spojrzeniu jest tragedia i piękno: coś stoickiego, co opiera się wzruszeniu, a także coś dziecinnego, co nie umie nie odczuwać radości. W skrócie – Aaron wygląda, jakby coś go bolało.

– Aaron – szepczę. – Wszystko w porządku?

Czekam na jego odpowiedź kilka sekund, lecz w końcu kiwa głową. Tylko raz, jednak to wystarcza.

– Tak – mówi cicho. – W porządku.

Czuję, jak się rozluźniam.

Jutro będziemy musieli stawić czoła cierpieniu i zniszczeniom. Jutro rzucimy się na główkę w zupełnie nowy rozdział trudności. Szykuje się wojna obejmująca cały świat. Walka o nasze życie – o przyszłość ludzkości. W tej chwili niewiele wiemy na pewno. Lecz dzisiaj wybieramy świętowanie. Dzisiaj będziemy cieszyć się małymi i dużymi radościami. Ponieważ jak możemy opierać się tyranii, jeśli sami jesteśmy wypełnieni nienawiścią? Albo gorzej...

Niczym?

Chcę pamiętać o tym, by więcej świętować. Chcę pamiętać o doświadczaniu radości. Chcę pozwolić sobie na to, by częściej być szczęśliwa. Chcę na zawsze zapamiętać wyraz twarzy Aarona, kiedy zmuszamy go, by pierwszy raz w życiu zdmuchnął świeczki.

W końcu właśnie o to walczymy, prawda?

O drugą szansę na radość.

TAHEREH MAFI

DOSTRZEŻ MNIE

PRZEŁOŻYŁA
AGNIESZKA BRODZIK



JEDEN

Straciłem apetyt.

Chyba pierwszy raz w życiu.

A jednak gapię się na zupełnie normalny kawałek ciasta i z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu nie mogę go zjeść. Dopadły mnie mdłości.

Cały czas trącam ciasto widelcem, za każdym razem odrobinę mocniej, teraz trochę się już zapadło i w lukrze porobiły się ślady. Jest okaleczony. Nie zamierzałem szpeci ć niewinnego kawałka tortu – marnowanie jedzenia to zbrodnia, szczególnie jeśli to słodczye – ale jest coś kojącego w tym powtarzalnym ruchu i miękkim, delikatnym oporze waniliowego biszkoptu.

Powoli przeciągam dłońmi po twarzy.

Miewałem gorsze dni. Większe straty. Paskudniejsze noce. Lecz z jakiegoś powodu czuję, jakbym się znalazł w jakimś nowym piekle.

Napięcie zbiera mi się ramionach, spina mięśnie i wywołuje tępy, pulsujący ból, który promieniuje aż na plecy. Próbuje się rozluźnić oddechem, rozciąganiem, niestety nic nie pomaga. Nie wiem, jak długo już tu siedzę, skulony nad niezjedzonym kawałkiem ciasta. Może kilka godzin.

Rozglądam się po na wpół pustej stołówce.

Znajduje się w namiocie. A może nie?

Mrużę oczy i patrzę na długie, bielone drewniane belki, które podtrzymują sufit. Może to nie do końca namiot. Z zewnątrz wszystko jest nakryte kremowym płótnem, lecz w środku widać, że to solidny, niezależny budynek. Nie wiem, po co w ogóle ten materiał na wierzchu. Oby miał jakieś praktyczne zastosowanie, inaczej to po prostu głupota. Poza tym panują tutaj raczej spartańskie warunki. Stoły zostały zbite z niewykończonych desek, które z czasem się wygładziły. Krzesła są proste. Też drewniane. Zwyczajne, ale ładne. Wszystko tu jest ładne. To miejsce wydaje się nowsze, czystsze i jaśniejsze niż Omega Point. Trochę jak elegancki obóz.

Sanktuarium.

Znowu uderzam widelcem w ciasto. Jest już późno – dawno minęła północ – i z minuty na minutę tracę sensowny powód, żeby tutaj siedzieć. Prawie wszyscy się zmywają, słychać szuranie krzesel, tupot stóp, trzask zamykanych drzwi. Warner i Juliette – nadal dziwnie mi nazywać ją Ellą – są jeszcze gdzieś tutaj, ale pewnie dlatego, że ona próbuje na siłę nakarmić go jego własnym tortem. A może on je z własnej woli. Nieważne. Kiedy się nad sobą użalam, nienawidzę go jeszcze bardziej niż zwykle.

Zaciskam powieki. Jestem piekielnie zmęczony.

Wiem, że powinienem już iść, ale nie umiem się zmusić do porzucenia ciepłego blasku stołówki na rzecz zimnej samotności mojego namiotu. Tutaj jest tak jasno. To oczywiste, że Nouria – córka Castle'a i szefowa tego ruchu oporu – naprawdę lubi światło. Specjalizuje się w nim. To jej supermoc. Ale światło jest wszędzie. Po suficie ciągną się sznury lampek. Wzdłuż ścian wiszą lampiony. Ogromny kamienny kominek jest też źródłem światła, nie ognia. Przytulnie tu.

Poza tym pachnie ciastem.

Przez lata tylko ciągle narzekałem na brak prywatności, ale teraz, gdy nie muszę z nikim dzielić przestrzeni – dostałem własny domek – nie chcę tego. Tęsknię za wspólnymi salami w Omega Point i Sektorze 45. Lubiłem widzieć przyjaciół, gdy tylko otworzyłem drzwi. Lubiłem słyszeć ich głupie głosy, kiedy nietaktownie gadali, podczas gdy ja chciałem zasnąć.

No i dlatego nadal tu siedzę.

Nie jestem jeszcze gotów na samotność.

Cały wieczór patrzę, jak ludzie dobierają się w pary i znikają. Lily i Ian. Brendan i Winston. Sonya i Sara. Nouria i jej żona, Sam. Castle krok za nimi.

Wszyscy uśmiechnięci.

Wydają się pełni nadziei. Jakby im ulżyło. Świętują przetrwanie i te rzadkie chwile piękna w obliczu rozlewu krwi. A ja mam ochotę wrzeszczeć.

Rzucam widelec na stół, przyciskam przeguby do oczu. Frustracja wzbierała we mnie już od kilku godzin i teraz w końcu osiągnęła szczyt. Czuję ją, czuję na szyi jej zaciskające się dłonie.

Gniew.

Dlaczego tylko ja jeden w tej chwili odczuwam strach? Dlaczego tylko ja jeden zostałem z tym ciężarem w żołądku? Dlaczego ja jeden raz po raz zadaję pytanie:

Gdzie, do cholery, są Adam i James?

Kiedy dotarliśmy do Sanktuarium, przywitano nas z radością i entuzjazmem. Wszyscy zachowywali się jak na zjeździe rodzinnym, jakby była jeszcze jakaś nadzieja na przyszłość, jakby wszystko miało się dobrze skończyć...

Najwyraźniej nikogo nie obchodził brak Adama i Jamesa.

Tylko ja jeden sprawdziłem listę obecności. Ja jeden rozejrzałem się dokoła, popatrzyłem na nieznanome twarze, zerknąłem w każdy kąt i zadawałem pytania. Wygląda na to, że jako jedyny uznałem, że to nie jest w porządku, gdy brakuje nam dwóch ludzi.

– Stary, on nie chciał tu być. Przecież już to wiesz.

Taką ściemę próbował mi wcisnąć Ian.

– Kent powiedział, że nie zamierza dłużej uciekać – wyjaśnił. – Dosłownie oznajmił, że mamy snuć plany bez niego, a ty siedziałeś obok, gdy to mówił. – Ian popatrzył na mnie zmrużonymi oczami. – Nie okłamuj samego siebie. Adam chciał zostać z Jamesem i poprosić o ułaskawienie. Słyszałeś go. Nie draż.

Nie mogłem.

Cały czas się upierałem, że coś jest nie tak. To wszystko potoczyło się inaczej, niż powinno. *Coś jest nie w porządku*, powtarzałem, a Castle za każdym razem odpowiadał – łagodnie, jakby zwracał się do wariata – że Adam jest opiekunem Jamesa, że to nie moja sprawa, że choćbym kochał chłopca najbardziej na świecie, nie mogę decydować o jego losie.

Najwyraźniej nikt nie pamięta, że Adam wpadł na ten arcykretyński pomysł z ułaskawieniem w momencie, gdy nie wiedzieliśmy jeszcze, że Anderson nadal żyje. To było, zanim usłyszeliśmy od Delalieu, że Anderson miał jakieś sekretne plany wobec Adama i Jamesa. Zanim Anderson osobiście zamordował Delalieu, a my wszyscy trafiliśmy do zakładu dla obłąkanych.

Coś jest nie tak.

Nic mnie nie przekona, że Adam wolałby pozostać w Sektorze 45 – i ryzykować życie Jamesa – gdyby wiedział, że będzie tam Anderson. Może i Adam bywa głupio uparty, ale całe życie próbował chronić młodszego brata przed ojcem. Prędzej dałby się zabić, niż pozwolił, by James znalazł się w pobliżu Andersona – a już szczególnie po tym, jak usłyszeliśmy o jego mglistych planach wobec nich. Adam by tego nie zrobił, nie podjąłby takiego ryzyka. Wiem to. Jestem o tym absolutnie przekonany.

Tylko że nikt nie chce tego słuchać.

– Daj spokój, stary – powiedział cicho Winston. – Nie jesteś odpowiedzialny za Jamesa. Cokolwiek mu się przydarzy, nie przydarzy się z twojej winy. Nie możemy oglądać się za siebie.

Było zupełnie tak, jakbym mówił w obcym języku. Jakbym rozmawiał ze ścianą. Wszyscy uważali, że przesadzam. Że daję się ponieść emocjom. Nikt nie chciał słuchać o moich obawach.

W końcu Castle przestał odpowiadać na moje pytania. Zamiast tego dużo wzdychał, tak jak wtedy, gdy miałem dwanaście lat i przyłapał mnie na ukrywaniu bezdomnych psów w moim pokoju. Dzisiaj przed samym wyjściem posłał mi znaczące spojrzenie – takie, które dawało mi jasny sygnał, że było mu mnie szkoda – i nie wiem, co do cholery mam z tym począć.

Nawet Brendan – serdeczny, współczujący Brendan – pokręcił głową i stwierdził:

– Adam podjął decyzję. Było nam trudno ich stracić, ale musisz odpuścić, Kenji.

Pieprzyć to.

Nie odpuściłem.

I nie zamierzam odpuszczać.

Unoszę wzrok i widzę resztki ogromnego tortu Warnera. Nikt ich nie pilnuje, leżą sobie na stoliku na środku pomieszczenia, a mnie dopada nagła chęć, żeby wbić w nie pięść. Zaciskam znowu palce na widelcu i nie zastanawiam się nad tym niespodziewanym impulsem.

Nie jestem zły, że świętujemy urodziny Warnera. Naprawdę. To miłe i kumam, że koleś nigdy wcześniej nie obchodził urodzin. Ale w tej chwili nie jestem w nastroju do celebrowania czegokolwiek. W tej chwili mam ochotę walnąć w ten biszkopt, a potem rzucić nim o ścianę. Mam ochotę wziąć go i rzucić w ścianę, po czym...

Przechodzi mnie prąd i sztywnieję, jednocześnie patrząc, jakby z daleka, jak czyjaś dłoń obejmuje moją pięść. Czuję, jak mnie ciągnie, jak zabiera widelec. I zaraz słyszę śmiech.

Nagle dopadają mnie jeszcze większe mdłości.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Trzymałeś ten widelec jak broń.

Brzmi, jakby się uśmiechała, ale nie widzę jej twarzy, bo nadal wpatruję się w przestrzeń, mrużąc oczy. Nazeera zdołała odebrać mi sztuciec i teraz siedzę z częściowo rozprostowanymi palcami, jakbym po coś sięgał.

Wyczuwam jej obecność obok.

Nawet z takiej odległości dociera do mnie jej ciepło. Zamykam oczy. Właściwie nie mieliśmy jeszcze okazji porozmawiać. A przynajmniej nie o nas. Nie o tym, jak głośno dudni mi serce w jej pobliżu, a już na pewno nie o tych niestosownych wizjach, które zdarza mi się snuć w ciągu dnia. Właściwie od tamtej krótkiej sceny w moim pokoju nie wychodziliśmy poza tematy związane z naszą misją i w gruncie rzeczy nie wiem, dlaczego miałyby być inaczej. Przecież to bez sensu.

Bez sensu, że ją pocałowałem.

Ja jestem idiotą, Nazeera to pewnie wariatka, a to, co się między nami wydarzyło, było ogromnym błędem. Ona ciągle miesza mi w głowie, wywołuje we mnie sprzeczne emocje, a ja bez przerwy muszę sobie powtarzać, ciągle muszę przekonywać samego siebie, że to głupie. Jednak z jakiegoś powodu moje ciało nie chce słuchać. Reaguje na samą jej obecność w taki sposób, jakbym doznał jakiegoś udaru.

Albo pękł mi tętniak w mózgu.

– Hej – zwraca się do mnie poważnym tonem, jakby przestała się uśmiechać. – Co się stało?

Potrząsam głową.

– Nie próbuj mnie zbyć – mówi ze śmiechem. – Właśnie zamordowałeś swój kawałek tortu, Kenji. Coś się musiało stać.

Słyszając te słowa, odwracam się nieznacznie w jej stronę. Spoglądam na nią kątem oka.

Ona w odpowiedzi przewraca oczami.

– Och, daruj – rzuca, wbijając mój widelec w zapadnięte ciasto. – Wszyscy wiedzą, że uwielbiasz jeść. Ciągle coś przeżuwasz. Rzadko przestajesz na dość długo, żeby się odezwać.

Patrzę na nią i mrugam, zaskoczony.

Nazeera zeszkrobuje trochę lukru z talerzyka i unosi widelec, niczym lizak, po czym wkłada sobie do ust. Dopiero kiedy kończy, zauważam:

– Ten widelec był w moich ustach.

Nazeera się waha. Wpatruje w ciasto.

– Myślałam, że nie jadłeś.

– Już nie jem. Ale zdążyłem wziąć parę kęsów.

– Oczywiście – mówi.

Prostuje się i zażenowana odkłada widelec, a robi to w taki sposób, że coś we mnie puszcza. Jej reakcja jest taka dziecinna – zupełnie jakbyśmy wcale się nie całowali, jakbyśmy nie wiedzieli, jak to jest smakować to samo w tym samym czasie – że nie mogę się powstrzymać. Wybucham śmiechem.

Chwilę później ona też się śmieje.

I nagle znowu niemal czuję się jak człowiek.

Wzdycham i tracę część napięcia w ramionach. Opieram łokcie na drewnianym blacie i opuszczam głowę, chowając twarz w dłonie.

– Hej – mówi cicho Nazeera. – Pamiętaj, że możesz mi o tym opowiedzieć.

Jej głos rozbrzmiewa blisko. Jest ciepły. Biorę głęboki wdech.

– O czym miałbym ci opowiedzieć?

– O tym, co się stało.

Znowu się śmieję, lecz tym razem gorzko. Nazeera jest ostatnią osobą, z którą chciałbym porozmawiać. To chyba jakiś okrutny żart, że ze wszystkich znanych mi ludzi akurat ona udaje, że ją obchodzi.

Wzdycham i się prostuję, marszcząc brwi i patrząc gdzieś w dal.

Zauważam po drugiej stronie sali Juliette – widzę jej długie brązowe włosy i zaraźliwy uśmiech. W tej chwili moja najbliższa przyjaciółka nie widzi świata poza swoim chłopakiem, a mnie z jednej strony to

wkurza, a z drugiej już się z tym pogodziłem. Nie mogę jej obwiniać za to, że dzisiaj postanowiła być radosna. Wiem, że przeżyła piekło.

Jednak w tej chwili jej potrzebuję.

To była ciężka noc i chciałem wcześniej porozmawiać z Juliette, zapytać, co myśli o tej sytuacji z Adamem i Jamesem. Niestety udało mi się dotrzeć do połowy sali, kiedy Castle mnie odciągnął. Kazał mi obiecać, że dam jej święty spokój. Powiedział, że to ważne, by została sam na sam z Warnerem. Chciał, żeby mieli trochę intymności – jeden cały wieczór, żeby dojść do siebie po tym wszystkim, co przeszli. Przewróciłem oczami tak mocno, że prawie mi wypadły z oczodołów.

Mnie jakoś nikt nie dawał czasu na dojście do siebie po tym gównie, które ja musiałem przeżyć. Nikogo nie obchodzi mój stan psychiczny; nikogo prócz J, jeśli mam być szczerzy. Ciągle na nią patrzę, mój wzrok wypala dziury w jej plecach. Chciałbym, żeby się na mnie obejrzała. Wiem, że gdyby tylko mnie zobaczyła, od razu poznałaby, że coś jest nie tak, a wtedy przyszłaby tutaj. Jestem tego pewien. Jednak prawda jest taka, że odpuszczam nie tylko ze względu na Castle'a. Faktycznie powinni mieć dzisiaj spokój. Zasłużyli z Warnerem, by przez chwilę nacieszyć się sobą nawzajem. A poza tym myślę, że gdybym spróbował ją teraz od niego odciągnąć, Warner naprawdę by mnie zamordował.

Ale czasami tak się zastanawiam...

Co ze mną?

Dlaczego moje uczucia nie mają znaczenia? Inni ludzie mogą bez osądzania doświadczać całego zakresu emocji, a ja muszę ciągle być zadowolony, żeby oszczędzić innym dyskomfortu. Wszyscy zdążyli się przyzwyczaić do mojego wiecznego uśmiechu, wiecznych wygłupów. Ja jestem tym fajnym, wyluzowanym gościem. Jestem tym, po którym można się spodziewać, że wszystkich rozbawi. Kiedy jestem smutny albo wkurzony, nikt nie wie, co ze mną począć. Próbowaliśmy rozmawiać z Castle'em i Winstonem – nawet Ianem – ale żaden nie podpasował mi tak jak J. Castle zawsze się stara, jak może, ale on nie uznaje użalania się nad sobą. Daje mi trzydzieści sekund na narzekanie, po czym wygłasza swoją przemowę motywacyjną i każe mi być silnym. Z kolei Ian robi się nerwowy, kiedy powiem mu za dużo. Sili się na empatię, ale ucieka, gdy tylko ma okazję. Winston słucha. Tyle dobrego, że umie słuchać. Jednak zamiast odpowiedzieć na to, co mu powiem, przechodzi do omawiania wszystkiego, z czym sam się zмага, a chociaż rozumiem, że też musi się wygadać, na koniec czuję się dziesięć razy gorzej.

Za to Juliette...

Ella?

Z nią jest inaczej. Nie zdawałem sobie sprawy, czego mi brakowało, dopóki nie poznaliśmy się bliżej. Ona pozwala mi się wyzalić. Nie pośpiesza mnie. Nie każe mi się uspokoić, nie wciska mi żadnego kitu ani nie obiecuje, że wszystko będzie dobrze. Kiedy próbujesz coś z siebie wyrzucić, ona nie zmienia tematu na siebie i swoje problemy. Rozumie. Widzę to po niej. Nie musi mówić ani słowa. Wystarczy, że spojrzę jej w oczy i już wiem, że rozumie. Przejmuje się mną w taki sposób, jak nikt nigdy się jeszcze nie przejmował. To właśnie dzięki temu jest świetną przywódczynią – naprawdę obchodzi ją dobro ludzi. Obchodzi ją ich życie.

– Kenji?

Nazeera znowu dotyka mojej dłoni, ale tym razem się wycofuję, wzdrygam niezdarnie. A kiedy w końcu na nią spoglądam – jej oczy są dla mnie zaskoczeniem.

Wydaje się szczerze przejęta.

– Kenji – mówi jeszcze raz. – Boję się o ciebie.

DWA

Kręcę głową i wstaję, starając się wyglądać na spokojnego.

– To nic – mówię, ale nadal gapię się na drugą stronę sali.

J właśnie śmieje się z tego, co akurat powiedział jej śliczny chłopak, a potem on się uśmiecha, ona się uśmiecha i nie przestaje się uśmiechać, kiedy on nachyla się i szepcze jej do ucha. Wtedy na moich oczach jej twarz robi się cała czerwona. I Warner zaraz ją dotyka, całuje przy wszystkich i...

Odwracam się gwałtownie.

Zdecydowanie nie powinienem był tego oglądać.

Technicznie rzecz biorąc, nie robią niczego przy wszystkich. Nie ma żadnych wszystkich. W sali zostało jakieś pięć osób. A J i Warner stoją tak daleko od pozostałych, jak się tylko da, w kącie pomieszczenia. Jestem pewien, że właśnie pogwałciłem ich prywatność.

Tak, zdecydowanie powinienem już iść do łóżka.

– Jesteś w niej zakochany, prawda?

Nagle odechciewa mi się spać.

Obracam się na pięcie. Nazeera patrzy na mnie, jakby uważała się za jakiegoś geniusza, jakby wreszcie odkryła Sekretną Tajemnicę Kenjiego.

Bo to przecież takie proste.

– Nie wiem, dlaczego nie widziałam tego wcześniej – tłumaczy. – Macie taką dziwną, intensywną relację. – Potrząsa głową. – Oczywiście, że jesteś w niej zakochany.

Chryste. Nie mam teraz siły na takie rzeczy.

Mijam Nazeerę, przewracając oczami.

– Nie jestem w niej zakochany.

– A mnie się coś wydaje, że...

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz, okej? – Zatrzymuję się i odwracam do niej. – Gównu o mnie wiesz. Tak samo jak ja gównu wiem o tobie.

Jej brwi wędrują aż po linię włosów.

– A to niby co miało znaczyć?

– Nie udawaj – rzucam, wskazując na nią palcem. – Nie rznij głupa.

Już wychodzę, jestem w połowie słabo oświetlonej drogi do swojego namiotu, kiedy znowu słyszę głos Nazeery.

– Nadal się na mnie gniewasz? – pyta. – O tę sprawę z Andersonem?

Zatrzymuję się tak gwałtownie, że prawie się przewracam. Oglądam się na Nazeerę i nie mogę się powstrzymać: wybucham głośnym, obłądnym śmiechem.

– Tę sprawę z Andersonem? Pytasz poważnie? Masz na myśli to, kiedy pojawił się niespodziewanie, chociaż rzekomo zginął, i był gotów nas wszystkich wymordować, bo ty mu zdradziłaś, gdzie jesteśmy? A może raczej to, jak zabił Delalieu? Nie, czekaj, na pewno chodzi o to, że wszyscy trafiliśmy do zakładu, gdzie mieliśmy zgnieć. Czy może jednak gniewam się, bo związałaś mnie, zakneblowałaś, naszprycowałaś jakimiś środkami i zaciągnęłaś na pokład samolotu, żebym poleciał z wami na pieprzony drugi koniec świata?

Nazeera porusza się z prędkością światła i staje przede mną w ciągu sekundy. A potem wypala z głosem drżącym od wściekłości:

– Zrobiłam, co musiałam, żeby ratować ci życie. Wszystkim wam uratowałam życie. Powinieneś mi dziękować, a ty stoisz i wydierasz się na mnie jak dziecko, chociaż bez niczyjej pomocy zdołałam uchronić całą twoją grupę przed śmiercią. – Kręci głową. – Nie mogę w to uwierzyć. Nie masz pojęcia, co ryzykowałam, żeby to wszystko wypaliło. To nie moja wina, że tego nie rozumiesz.

Między nami zapada cisza. Oddala nas od siebie.

– Wiesz, co mnie bawi? – Unoszę wzrok do nieba. – Ta rozmowa. Ta rozmowa niezmiernie mnie bawi.

– Piłeś?

– Skończ. – Odwracam się i patrzę jej groźnie w oczy. – Przestań brać mnie za idiotę. Twoim

zdaniem jestem zbyt głupi, żeby zrozumieć, na czym polega misja ratunkowa? Oczywiście, że rozumiem – wypalam z gniewem. – Rozumiem, że zrobiłaś jakieś podejrzone rzeczy, żeby tego dokonać. Nie jestem zły z tego powodu. Jestem zły, bo nie masz bladego pojęcia, co to jest komunikacja.

Widzę, jak jej twarz się zmienia. Ogień w jej oczach gaśnie, napięcie z ramion znika. A potem Nazeera patrzy, mruga i jest...

Stropiona.

– Nie pojmuję – przyznaje cicho.

Słońce zaszło już kilka godzin temu i ciemność wokół wijącej się ścieżki rozjaśniają tylko niskie lampy oraz rozproszone światło z pobliskich namiotów. Nazeera jest skąpana w tym blasku. Promienieje nim. Jest piękniejsza niż kiedykolwiek i jeśli mam być szczerzy, wręcz mnie to przeraża. Jej oczy są takie wielkie i błyszczące, a patrzy nimi jak dziewczynka. Patrzy nimi, jakbyśmy byli zwyczajnymi ludźmi, a nie parą kretynów zmierzających prosto ku słońcu. Jakbyśmy nie byli parą zabójców, w takim czy innym sensie.

Wzdycham. Przeciagam dłonią po włosach. Nie mam już siły na kłótnię i nagle czuję tak przytłaczające zmęczenie, że nie wiem, czy ustoję na nogach.

– Muszę się położyć – oznajmiam i próbuję wyminąć Nazeerę.

– Poczekaj...

Chwyta mnie za rękę i pod wpływem tego dotyku prawie podskakuję. Wycofuję się nerwowo, lecz ona robi krok do przodu i nagle stoimy tak blisko siebie, że praktycznie czuję jej oddech. Noc jest cicha i rześka, w migotliwym świetle nie widzę nic prócz Nazeery. Wciągam powietrze, wciągam jej zapach – subtelny, słodki – i wspomnienie uderza we mnie z taką siłą, że prawie zapiera mi dech w piersi.

Jej ręce na mojej szyi.

Jej dłonie w moich włosach.

To, jak przyspiliła mnie do ściany, jak nasze ciała stopiły się ze sobą, jak jej palce dotykały mojego tułowia, a usta mówiły, że jestem przystojny. I te ciche, pożądliwe westchnienia, jakie wydobywały się z niej, gdy się całowaliśmy.

Wiem, jak to jest ją obejmować. Wiem, jak to jest ją całować, lizać jej wargi, czuć jej dłoń na karku. Wciąż pamiętam jej smak, jej kształt, jej siłę i miękkość pod moimi palcami. Teraz jej nie dotykam, a jest zupełnie tak, jakby to się działo jeszcze raz, sekunda po sekundzie, i nie mogę oderwać wzroku od jej ust, ponieważ ten przekłety diamentowy kolczyk odbija światło i przez chwilę – krótką chwilę – niemal popadam w obłęd i znowu ją całuję.

W uszach mi szumi, krew uderza mi do głowy.

Nazeera doprowadza mnie do szaleństwa. Nawet już nie wiem, dlaczego tak bardzo mi się podoba. Straciłem zupełnie kontrolę nad tym, jak moje ciało reaguje na jej bliskość. To dzikie, nielogiczne i wspaniałe. I okropne.

Czasami, gdy zasypiam, wspominam jej oczy, jej dłonie, jej usta...

Jednak wizje zawsze urywają się w tym samym miejscu.

– *To by się nie udało, wiesz?* – *Wskazuje gestem nas dwoje.* – *Różnimy się od siebie, okej?*

– Kenji?

Ach. No tak. Cholera, jestem wykończony.

Wycofuję się. Nocne powietrze jest chłodne i ozięwiający, a kiedy wreszcie znowu patrzę w oczy Nazeery, myśli mam przejrzyste.

Jednak mój głos brzmi dziwnie, gdy mówię:

– Powiniennem już iść.

– Poczekaj – powtarza Nazeera i kładzie dłoń na mojej piersi.

Kładzie dłoń na mojej piersi.

Dotyka mnie tak, jakbym był jej własnością, jakby tak łatwo było mnie zatrzymać i zdobyć. Rozpala się we mnie iskra oburzenia. Nie mam wątpliwości, że jest przyzwyczajona do tego, by dostawać wszystko, czego zechce. Albo po dobroci, albo siłą.

Zdejmuję jej dłoń. Nazeera chyba tego nie zauważa.

– Nie rozumiem – mówi. – Co to znaczy, że nie mam pojęcia, czym jest komunikacja? Jeśli nie

powiedziałam ci niczego na temat misji, to dlatego, że nie musiałeś nic wiedzieć.

Przewracam oczami.

– Twoim zdaniem nie musiałem wiedzieć o tym, że uprzedziłaś Andersona? Twoim zdaniem nie trzeba było nas poinformować, że po pierwsze żyje, a po drugie jest w drodze, żeby nas zabić? Nie wpadłaś na to, by ostrzec Delalieu? Żeby nie gadał tyle, bo może stracić przez to życie? – Moja frustracja sięga zenitu. – Mogłaś mi powiedzieć, że zamierzacie wrzucić nas do zakładu tymczasowo. Mogłaś powiedzieć, że zamierzasz mi podać jakieś środki. Nie musiałeś pozbawiać mnie przytomności, porywać i pozwalać mi myśleć, że zostanę poddany egzekucji. Przecież poszedłbym z własnej woli – mówię coraz głośniej. – Mogłem ci pomóc, do cholery.

Jednak Nazeera pozostaje niewzruszona. Jej oczy są zimne.

– Najwyraźniej nie masz bladego pojęcia o tym, z czym muszę się zmagać, skoro uważasz, że to takie proste – tłumaczy cicho. – Nie mogłam ryzykować...

– A ty najwyraźniej nie masz bladego pojęcia, jak współpracować – wypalam, przerywając jej w pół zdania. – Co czyni cię jedynie obciążeniem.

Z wściekłości otwiera szeroko oczy.

– Ty zawsze grasz solo, Nazeera – ciągnę. – Żyjesz według zasad, których nie rozumiem, co w praktyce oznacza po prostu, że robisz, co chcesz, i zapominasz, co to lojalność, gdy tylko przestaje być dla ciebie wygodna. Czasami zakrywasz włosy, ale wyłącznie wtedy, gdy to bezpieczne. Bo to taki bunt za darmo, bez żadnego poświęcenia. Tak naprawdę nie sprzymierzyłaś się z żadną grupą i nadal robisz to, co każe ci tatuś, chyba że akurat masz kaprys i uznasz, że nie chcesz słuchać Przywrócenia. Jesteś nieprzewidywalna. Jesteś chaotyczna. Dzisiaj stoisz po naszej stronie, ale co będzie jutro? – Potrząsam głową. – Nie mam pojęcia, co naprawdę tobą kieruje. Nigdy nie wiem, co sobie myślisz. I nie mogę przy tobie opuścić gardy, bo nie mam żadnej pewności, że mnie nie wykorzystasz. Nie mogę ci zaufać.

Nazeera wpatruje się we mnie, nieruchoma jak skała, i nie odzywa się przez całą wieczność. W końcu robi krok do tyłu. Ma nieodgadniony wyraz twarzy.

– Powinieneś być ostrożniejszy – oznajmia. – Niebezpiecznie jest wygłaszać taką przemowę przed kimś, komu nie możesz zaufać.

Nie kupuję tego. Nie tym razem.

– Gówno prawda – wypalam. – Gdybyś miała mnie zabić, już dawno byłbym trupem.

– Mogę zmienić zdanie. Rzekomo jestem nieprzewidywalna. Chaotyczna.

– Jak tam sobie chcesz – mamrocę. – Ja już skończyłem.

Kręcę głową i odchodzę, robię pięć kroków w stronę ciszy i spokoju, kiedy Nazeera krzyczy za mną z gniewem:

– Otworzyłam się przed tobą! Ja opuściłam przy tobie gardę, chociaż ty nie umiesz odwdzińczyć się tym samym.

Zamieram. Odwracam się.

– Kiedy? – odkrzykuję, z frustracji wyrzucając ręce w powietrze. – Kiedy niby mi zaufałaś? Kiedy niby się przede mną otworzyłaś? Nigdy. Nie, ty zawsze działasz po swojemu, jak chcesz i kiedy chcesz, mając w nosie konsekwencje i oczekując, że wszyscy to zaakceptują. No a ja nie akceptuję, dobra? Nie kręci mnie to.

– Powiedziałam o swoich zdolnościach! – woła, zaciskając dłonie w pięści. – Powiedziałam wam wszystko, co wiem o Elli i Emmaline!

Zmęczony wypuszczam powoli powietrze. Robię kilka kroków w stronę Nazeery, ale tylko dlatego, że nie chcę już więcej krzyczeć.

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć – mówię, uspokajając głos. – Naprawdę się staram, jednak nie umiem... Słuchaj, kapuję, że opowiedzenie mi o niewidzialności było dla ciebie czymś ważnym. Rozumiem to. Jednak jest przepaść między podzieleniem się kilkoma tajnymi informacjami z grupą ludzi a otwarciem się przede mną. Nie chcę... Nie chciałbym... – Urywam, trochę za mocno zaciskając zęby. – Wiesz co? Nieważne.

– Śmiało – odpowiada Nazeera, ledwo panując nad złością. – Powiedz to. Czego byś nie chciał?

Wreszcie spoglądam jej w oczy. Są błyszczące. Wściekłe. I nie wiem, co się właściwie dzieje, ale kiedy na nią patrzę, coś we mnie pęka. Coś się uwalnia.

– Nie chcę tej wysterylizowanej wersji ciebie – mówię. – Nie chcę zimnej, wyrachowanej dziewczyny, którą musisz być dla wszystkich innych. Ta wersja jest okrutna, pozbawiona uczuć i lojalności wobec kogokolwiek. Nie jesteś miłą osobą, Nazeera. Jesteś wredna i arogancka, patrzysz na innych z góry. Jednak to wszystko dałoby się tolerować, przysięgam, gdybym czuł, że gdzieś tam bije w tobie serce. Bo jeśli mamy być przyjaciółmi, jeśli ma łączyć nas jakakolwiek relacja, muszę być w stanie ci zaufać. A nie ufam przyjaźniom, które rodzą się z wygody. Nie ufam maszynom.

Zbyt późno zdaję sobie sprawę z popełnionego błędu.

Nazeera wygląda na oniemiałą.

Mruga z otwartymi ustami i przez długą, niekończącą się sekundę jej kamienna twarz ustępuje miejsca nagim, drżącym emocjom, przez które dziewczyna wygląda jak dziecko. Patrzy na mnie i nagle wydaje się taka mała – młoda, wystraszona i drobna. Jej oczy błyszczą, mokre od uczuć, a cały obraz łamie serce, uderza mnie niczym cios w brzuch.

Chwilę później znika.

Nazeera się odwraca, ukrywa swoje emocje, z powrotem przywdziewa maskę.

Zamieram.

Właśnie kosmicznie nawaliłem i nie mam pojęcia, jak to naprawić. Nie wiem, co należy w takiej sytuacji zrobić. Nie wiem też, jak i kiedy dokładnie zmieniłem się w takiego pieprzonego dupka, ale chyba za dużo czasu spędziłem ostatnio w towarzystwie Warnera.

Przecież ja taki nie jestem. Nie doprowadzam dziewczyn do płaczu.

Jednak nie wiem, jak zawrócić z tego miejsca. Może nie powinienem nic więcej mówić. Może jeśli po prostu będę tutaj stał i mrugał, zdołam cofnąć wskazówki zegara. Nie wiem. Nie wiem, co się stanie. Ale na pewno niezły ze mnie sukinsyn, bo tylko prawdziwy potwór byłby w stanie sprawić, by Nazeera Ibrahim się rozpląkała. Nie byłem nawet pewien, czy to w ogóle możliwe. Nie miałem pojęcia, że ona w ogóle może jeszcze płakać.

Właśnie taki ze mnie kretyn. Przed chwilą wywołałem łzy u córki najwyższego przywódcy Azji.

Kiedy Nazeera wreszcie znowu na mnie patrzy, po płaczu nie ma już śladu, lecz głos brzmi lodowato. Jest zupełnie tak, jakby nie mogła w ogóle uwierzyć, że wymawia te słowa, kiedy mówi:

– Całowałam się z tobą. Twoim zdaniem wtedy też byłam maszyną?

Nagle mam pusto w głowie.

– Może?

Słyszę, jak gwałtownie wciąga powietrze. Na jej twarzy na moment pokazuje się ból.

O mój Boże, jestem głupi. Gorzej.

Jestem zwyczajnie złym człowiekiem.

Nie mam pojęcia, co jest ze mną nie tak. Muszę wreszcie się zamknąć. Nie chcę mówić jej tych wszystkich rzeczy. Nie chcę tu być. Chcę iść do swojego pokoju i położyć się do łóżka, a nie sterczeć tutaj. Jednak coś się we mnie zepsuło – mój mózg, moje usta, moje zdolności poruszania się.

Gorzej: nie wiem, jak się stąd wydostać. Gdzie jest przycisk ewakuacji z rozmów z przerażającymi, pięknymi kobietami?

– Naprawdę uważasz, że zrobiłabym coś takiego? Naprawdę myślisz, że pocałowałabym cię w ten sposób tylko po to, żeby tobą manipulować?

Mrugam, zaskoczony.

Czuję się, jakbym został uwięziony w koszmarze. Wyrzuty sumienia, stropienie, wycieńczenie i gniew mieszają się ze sobą, wzmagając chaos w mojej głowie do tego stopnia, że niespodziewanie dostaję jakiegoś zwarcia.

Jestem zdesperowany, głupi...

I nie mogę przestać krzyczeć.

– Skąd mam niby wiedzieć, co byś zrobiła albo czego byś nie zrobiła, żeby kimś manipulować? Skąd mam cokolwiek wiedzieć na twój temat? Jak to się w ogóle stało, że znalazłem się w jednym pomieszczeniu z kimś takim jak ty? Cała ta sytuacja to jakiś absurd. – Nadal nie przestaję się drzeć, bo nie znalazłem sposobu na to, by się uspokoić. – No bo nie tylko potrafiłabyś mnie zamordować na tysiąc różnych sposobów, ale w dodatku jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem... Co oznacza, że znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że tylko mieszałaś mi w głowie, a nie, że istnieje jakiś

alternatywny wszechświat, w którym ci się podobam.

– Oszaleję przez ciebie!

– Już jesteś wariatką.

Nazeera otwiera szeroko usta. Dosłownie opada jej szczęka. I przez sekundę widzę w jej oczach taki gniew, jakby naprawdę mogła wyrwać mi gardło.

Wycofuję się.

– Okej, przepraszam, wcale nie jesteś wariatką, ale dwadzieścia minut temu oskarżałaś mnie, że jestem zakochany w przyjaciółce, więc, szczerze mówiąc, moje odczucia nie są bezpodstawne.

– Patrzyłeś na nią tak, jakbyś był w niej zakochany!

– Chryste, kobieto, to na ciebie patrzę, jakbym był zakochany!

– Ale... zaraz, czekaj. Co, proszę?

Zaciskam powieki.

– Nic. Nieważne. Muszę iść.

– Kenji...

Jednak mnie już nie ma.

TRZY

Po powrocie do pokoju zatraskuję za sobą drzwi i opieram się o nie, po czym smutno i żałośnie zsuwam się na podłogę. Opuszczam głowę i chowam twarz w dłoń, przez jedną, porażającą chwilę...

Żałuję, że nie ma tutaj mojej mamy.

To uczucie obmywa mnie tak szybko, że nie umiem go w odpowiednim momencie powstrzymać. Zaraz narasta, wymykając się spod kontroli: smutek rodzący smutek, okrążające mnie bezlitośnie użalanie się nad sobą. Wszystkie gówniane doświadczenia – każdy emocjonalny cios, każde rozczarowanie – postanawiają w tej minucie rozerwać mi klatkę piersiową i pożywić się moim sercem, aż nic nie zostanie, aż żal pożre mnie żywcem.

Kruszę się pod ciężarem tego wszystkiego.

Chowam głowę między kolanami, obejmuję swoje piszczele. W mojej piersi rozchodzą się fale bólu, jakieś fantomowe palce przeciskają się przez żebra i chwytają za płuca.

Nie mogę zaczerpnąć tchu.

Z początku nie czuję łez spływających mi po twarzy. Z początku słyszę tylko swoje dyszenie, ostre i głośne, i nie rozumiem tego dźwięku. Zdumiony unoszę głowę i zmuszam się do śmiechu, ale wydaje się obcy, głupi. Ja jestem głupi. Przyciskam pięści do oczu i zagryzam zęby, żeby wtłoczyć łzy z powrotem do czaszki.

Nie wiem, co się ze mną dzisiaj dzieje.

Czuję się dziwnie, jakby wytracony z równowagi. Jakbym za czymś boleśnie tęsknił. Tracę cel z oczu, nie wiem, w którą stronę podążać. Ciągłe sobie powtarzam, że każdego dnia walczę o nadzieję, o zbawienie dla ludzkości, ale zawsze, kiedy udaje mi się przetrwać, ponoszę coraz większe straty i widzę coraz większe zniszczenia, a wtedy coś we mnie pęka. Jest zupełnie tak, jakby ludzie i miejsca, które kocham, były podtrzymującymi mnie wkretami. Bez nich jestem tylko bryłą metalu nadającą się na szrot.

Wzdycham, długo i z drzeniem. Opuszczam twarz w dłoń.

Niemal nigdy nie pozwalam sobie na wspomnianie matki. Niemal nigdy. Ale w tej chwili jest coś takiego w ciemności, zimnie, strachu i poczuciu winy... i stropieniu z powodu Nazeery...

Bardzo żałuję, że nie mogę porozmawiać z mamą.

Bardzo żałuję, że nie ma jej tutaj. Gdyby była, mogłaby mnie przytulić, poprowadzić. Mógłbym wślizgnąć się w jej objęcia jak kiedyś, poczuć jej palce masujące mi skórę głowy, by pomóc mi z nagromadzonym tam napięciem. Kiedy miałem koszmary albo kiedy tata był długo nieobecny, bo szukał pracy, siedzieliśmy razem do późna, przytuleni. Ona przeczesywała mi łagodnie włosy, opowiadając szeptem dowcipy. Była najbardziej zabawną osobą, jaką znałem. I inteligentną. Bystrą.

Boże, jak ja za nią tęsknię.

Czasami brakuje mi jej tak bardzo, że mam wrażenie, jakby moja klatka piersiowa się zapadała. Czuję się tak, jakbym zatapiał się w tym braku, jakbym już nigdy miał nie zaczerpnąć tchu. I czasami mam wrażenie, że mógłbym po prostu umrzeć, w takich chwilach, gwałtownie zalewany przez emocje.

Potem jednak, za sprawą cudu, kawałek po kawałku, to uczucie mija. Wymaga to wiele wysiłku i trwa wieczność, ale w końcu katarakta znika, a ja jakoś odzyskuję życie. Samotne życie.

Tutaj, w ciemności, ze wspomnieniami za towarzystwo.

Czasami czuję się taki samotny na tym świecie, że nie mogę oddychać.

Castle odzyskał córkę. Moi przyjaciele znaleźli sobie partnerów. Straciliśmy Adama. Straciliśmy Jamesa. Straciliśmy wszystkich w Omega Point. To mnie wciąż czasami boli. Wciąż potrafi zwalić mnie z nóg, kiedy pozwolę uczuciom wypłynąć na powierzchnię.

Długo tak nie pociągnę. Rozpadam się, a nie mam na to czasu. Ludzie mnie potrzebują, polegają na mnie.

Muszę się pozbierać.

Z trudem się podnoszę, zapierając się o drzwi. Siedziałem w ciemności, w zimnie, w tych samych ubraniach, które noszę już od tygodnia. Będzie dobrze, muszę tylko odetchnąć.

James i Adam pewnie mają się dobrze.

Nie ma innej możliwości.

Ruszam do łazienki, włączam po drodze światło i odkręcam kran. Zdejmuję stare ubrania, obiecując sobie, że podpalę je przy pierwszej okazji, a potem zaglądam do kilku szuflad, przekopując się przez podstawowe przybory i najprostsze bawełniane ciuchy, które obiecała nam Nouria. Nie wiem, skąd mają tutaj ciepłą wodę, ale w tym momencie mnie to nie obchodzi.

Jest idealnie.

Opieram się o chłodne kafelki, a rozgrzana woda uderza mnie w twarz. W końcu opadam na podłogę, zbyt zmęczony, żeby ustać.

Pozwalam, by woda ugotowała mnie żywcem.

CZTERY

Myślałem, że prysznic okaże się kuracją regeneracyjną, ale nie zadziałał tak, jak miałem nadzieję. Czuję się czysty, a to zawsze coś, lecz nadal jest mi źle ze sobą. Fizycznie źle. Sądziłem, że lepiej panuję nad emocjami, a tymczasem... Nie wiem.

Chyba mam gorączkę. Albo jet lag. Albo jedno i drugie.

To musi być przyczyna.

Jestem tak wykończony, że sen powinien przyjść łatwo, lecz nic z tego. Leżę parę godzin w łóżku, gapiąc się w sufit, a potem spaceruję przez chwilę w ciemności. W końcu zabawiam się rzucaniem zwiniętych w kulki skarpetek o ścianę, gdy słońce powoli wspina się po niebie.

Na horyzoncie pojawia się linia światła. Zaczątki wschodu. Gapię się na nie przez kwadratowe okno, wciąż próbując rozgryźć, co jest ze mną nie tak, kiedy nagle czyjeś głośne i niespodziewane pukanie w drzwi wysyła mi do mózgu solidną dawkę adrenaliny.

W ciągu kilku sekund jestem na nogach, serce mi dudni, w głowie szumi. Wkładam ubrania i buty tak szybko, że prawie się przy tym zabijam, ale kiedy wreszcie otwieram drzwi, Brendan wygląda, jakby mu ulżyło.

– Świetnie – rzuca. – Jesteś ubrany.

– Co się stało? – pytam odruchowo.

Brendan wzdycha. Wygląda na smutnego, a potem, tylko na sekundę:

Wystraszonego.

– Co się stało? – powtarzam pod wpływem rozchodzącej się po moim ciele adrenaliny, która gasi mój lęk, wyostrzając zmysły. – Co się wydarzyło?

Brendan się waha; ogląda przez ramię.

– Jakby co, ja jestem tylko posłańcem. Nie powinienem ci o niczym mówić.

– Słucham? Dlaczego nie?

– Zaufaj mi. – Patrzy mi w oczy. – Lepiej, żebyś usłyszał to od Castle'a.

PIĘĆ

– Dlaczego?

To pierwsze, co mówię do Castle'a po tym, jak wpadłem do środka, może trochę zbyt gwałtownie, ale nie mogłem się powstrzymać. Panikuję.

– Dlaczego muszę usłyszeć to bezpośrednio od ciebie? – pytam. – Co się dzieje?

Nie umiem nie dać po sobie poznać, że jestem zły. Oczami wyobraźni widzę wszystkie najgorsze scenariusze. Mogła się wydarzyć cała lista potwornych rzeczy, przez które zostałbym tutaj przyprowadzony o świcie, a zmuszanie mnie do czekania pięciu dodatkowych minut, aż się dowiem, co się dzieje, do cholery, to już czyste okrucieństwo.

Castle patrzy na mnie z ponurą miną, a ja biorę głęboki wdech, rozglądam się i próbuję uspokoić tętno. Nie mam pojęcia, gdzie jestem. To miejsce wygląda bardziej jak... główna siedziba. Kolejny budynek. Castle, Sam i Nouria siedzą przy długim drewnianym stole, na którym leżą porzrzucone papiery, zamokłe plany, linijka, trzy scyzoryki i kilka pustych kubków po kawie.

– Usiądź, Kenji.

Nadal się rozglądam, tym razem szukając J. Widzę Iana i Lily. Brendan i Winston również są obecni. Za to ani śladu J. Ani śladu Warnera. I nikt nie patrzy mi w oczy.

– Gdzie jest Juliette? – pytam.

– Masz na myśli Ellę – upomina mnie łagodnie Castle.

– Nieważne. Dlaczego jej tu nie ma?

– Kenji, proszę, usiądź. To i tak trudne, nie musisz nam jeszcze dokładać problemów, nie panując nad emocjami. Proszę.

– Z całym szacunkiem, sir, ale usiądę, kiedy już się dowiem, o co chodzi.

Castle wzdycha ciężko i w końcu zaczyna tłumaczyć:

– Miałeś rację.

Otwieram szeroko oczy, serce nadal mi dudni jak opętane.

– Słucham?

– Miałeś rację – powtarza Castle i głos mu się łamie. Zaciska i rozluźnia palce. – Na temat Adama.

Na temat Jamesa.

Potrząsam głową.

– Nie chcę mieć racji. Przesadzałem. Nic im nie jest. Nie słuchajcie mnie – mówię trochę jak obłąkany. – Nie mam racji. Ja nigdy nie mam racji.

– Kenji.

– Nie.

Castle unosi wzrok, patrzy mi prosto w oczy. Wydaje się zrozpaczony.

– Powiedz, że to jakiś żart – rzucam.

– Anderson wziął chłopaków jako zakładników – tłumaczy Castle, zerkając na Brendana i Winstona. Iana. Ducha Emory'ego. – Znowu to zrobił.

Nie mogę tego znieść.

Moje serce sobie z tym nie poradzi. I tak jestem już na granicy załamania nerwowego. Tego jest zbyt wiele. Zbyt wiele.

– Mylisz się – upieram się. – Anderson by tego nie zrobił, nie Jamesowi. James to tylko dziecko... Nie zrobiłby tego dziecku...

– A właśnie, że by zrobił – odzywa się cicho Winston.

Spoglądam na niego obłąkanym wzrokiem. Czuję się jak krety. Czuję się, jakby moja skóra była zbyt ciasna. Zbyt luźna. Patrzę znowu na Castle'a i mówię:

– Skąd wiecie? Skąd ta pewność, że to nie jest kolejna zasadzka, tak samo jak poprzednio...

– Oczywiście, że to zasadzka – wtrąca Nouria zdecydowanym tonem, lecz nie bez łagodności. Zerka na ojca i dodaje: – Nie do końca rozumiem dlaczego, ale mój tata opowiada o tym jak o zwyczajnym porwaniu. Tak nie jest. W tym momencie jeszcze nie jesteśmy właściwie pewni, co się dzieje. Zdecydowanie wygląda na to, że Anderson wziął chłopaków jako zakładników, ale nie jest jasne, czy za kulisami nie dzieje

się coś poważniejszego. Anderson coś knuje. Gdyby było inaczej, dlaczego nie...

– Wydaje mi się – przerywa jej Sam, ściskając dłoń żony – że Nouria chciała powiedzieć, że naszym zdaniem Adam i James odgrywają w tym wszystkim tylko niewielką rolę.

Patrzę na nich, stropiony. W pomieszczeniu pojawia się napięcie, którego jeszcze chwilę temu nie było, ale moja głowa jest pełna waty i nie mogę tego rozgryźć.

– Chyba nie rozumiem – przyznaję.

Castle mi to wyjaśnia.

– Nie chodzi tylko o Adama i Jamesa. Anderson w tej chwili przejął opiekę nad wszystkimi dziećmi, a dokładnie wszystkimi dziećmi najwyższych przywódców.

Już mam zadać kolejne pytanie, kiedy wreszcie coś do mnie dociera.

W tej chwili jestem tutaj jedyną osobą, która zadaje jakiegokolwiek pytania. Rozglądam się po zebranych, patrzę na twarze przyjaciół. Wyglądają na smutnych, lecz zdeterminowanych. Jakby już znali zakończenie tej historii i byli gotowi stawić jej czoła.

Przygniata mnie ta myśl. I nie mogę zapanować nad tonem, kiedy mówię:

– Dlaczego ja zostałem o tym poinformowany na samym końcu?

Odpowiada mi idealna cisza. Nerwowe spojrzenia. Grymasy udreki.

W końcu odzywa się Lily.

– Wiedzieliśmy, że to będzie dla ciebie trudne – wyjaśnia, chociaż zawsze ma w dupie moje uczucia. – Dopiero co brałeś udział w tej szalonej misji, a potem musieliśmy zestrzelić wasz samolot... Szczerze mówiąc, nie byliśmy pewni, czy możemy ci o tym powiedzieć od razu. – Waha się, a potem, spoglądając z irytacją na pozostałe kobiety w pomieszczeniu, dodaje: – Ale może poczujesz się lepiej, jak ci zdradzę, że też nie zostaliśmy poinformowani przez Nourię i Sam natychmiast.

– Słucham? – Moje brwi wędrują aż po linię włosów. – Co tu się dzieje, do cholery? Kiedy dotarły do was te informacje?

Znowu zapada cisza.

– Kiedy? – powtarzam z naciskiem.

– Czternaście godzin temu – odpowiada Nouria.

– Czternaście godzin temu? – Moje oczy otwierają się tak szeroko, że aż bolą. – Wiedzieliście o tym czternaście godzin temu i mówicie mi dopiero teraz? Castle?

Potrząsa głową.

– Przedemną też to ukrywali – tłumaczy i chociaż mówi spokojnie, widać, że zaciska szczękę. Unika mojego wzroku. Na Nourię też nie patrzy.

I wtedy niespodziewanie uderza mnie myśl. Wreszcie wszystko rozumiem: w tej metaforycznej kuchni jest zbyt wiele kucharek.

Nie miałem pojęcia, w jaką skomplikowaną kabałę właśnie dałem się wplątać, ale staje się jasne, że Nouria i Sam są przyzwyczajone do sprawowania niepodzielnej władzy w tym miejscu. Może Nouria jest córką Castle'a, ale też liderką tego ruchu oporu i bez względu na to, jak bardzo cieszy ją towarzystwo ojca, nie zamierza oddawać mu kontroli. Co najwyraźniej oznacza, że nie udzieli mu dostępu do tajnych informacji, dopóki nie uzna tego za konieczne. Z tego wynika... Cholera, z tego chyba wynika, że Castle nie ma tu już żadnej władzy.

Ja pierdolę.

– Czyli wiedzieliście o tym – odzywam się, patrząc na Nourię i Sam. – Wiedzieliście to w chwili, gdy wylądowaliśmy tutaj. Wiedzieliście, że Anderson porywa wszystkie dzieciaki przywódców. Kiedy my jedliśmy tort i śpiewaliśmy Warnerowi z okazji urodzin, wy wiedzieliście, że James i Adam zostali porwani. A gdy pytałem, raz po raz, dlaczego ich tutaj nie ma, wy znałyście odpowiedź i milczałyście...

– Uspokój się – rzuca ostro Nouria. – Tracisz panowanie nad sobą.

– Jak mogłyście nas tak okłamywać? – pytam z naciskiem, nie próbując kontrolować tonu. – Jak mogłyście stać i się uśmiechać ze świadomością, że nasi przyjaciele cierpią?

– Musiałyśmy się upewnić – odpowiada Sam, a potem ciężko wzdycha, zgarniając jasne włosy z twarzy. Pod oczami ma sine ślady, które świadczą o tym, że nie tylko ja ostatnio źle sypiam. – Anderson i jego ludzie zadbali o to, żeby podziemie dostało te informacje. Celowo podrzucił je do naszej sieci, przez co od samego początku miałam wątpliwości. Najwyraźniej domyślił się, że udało wam się dotrzeć do jakiejś

grupy ruchu oporu, jednak nie wie, kto dokładnie was ochrania. Uznałam, że to przynęta, dlatego chciałam najpierw zweryfikować te informacje, zanim przekazemy je kolejnym osobom. Wolaliśmy nie podejmować następnych kroków bez pewności, a rozprzestrzenianie wieści, które potem okazałyby się fałszywe, mogłoby mieć zły wpływ na morale.

– Czekaliście czternaście godzin z przekazaniem wieści, które mogły być prawdziwe – wołam. – Anderson mógł ich w tym czasie zabić!

Nouria potrząsa głową.

– Przetrzywanie zakładników nie działa w ten sposób. Anderson dał jasny sygnał, że czegoś od nas chce. Nie pozbyłby się swojej jedynej karty przetargowej.

Nagle zamieram.

– Co masz na myśli? Czego on od nas chce? – Potem dodaję, patrząc jeszcze raz dokoła: – I dlaczego nie ma tutaj Juliette, do cholery? Powinna to wszystko usłyszeć.

– Nie ma powodu, żeby ją budzić, bo w tym momencie nic nie możemy zrobić. Rano ją wtajemniczymy – odpowiada Sam.

– Chyba śnisz – wypalam gniewnie, zapominając się. – Przepraszam, sir, wiem, że nie jesteśmy już w Point, ale musisz jakoś zareagować. To nie jest w porządku. J była przywódczynią pieprzonego ruchu oporu, nie chciałyby być traktowana jak dziecko, nie trzeba jej chronić przed złymi wieściami. A kiedy się dowie, że została wykluczona z tej rozmowy, wkurwi się.

– Kenji...

– A poza tym to jakaś wielka ściema – ciągnę, chwytając się za włosy. – Blef. Kolejne kłamstwo. Nie ma mowy, żeby Anderson pochwyił wszystkie dzieciaki. To jasne, że próbuje nam namieszać w głowach, najwyraźniej skutecznie, bo dobrze wie, że nie mamy szans potwierdzić, czy naprawdę przetrzymuje ich jako zakładników. To jakaś skomplikowana manipulacja. Idealne oszustwo.

– Niestety nie – odzywa się Brendan, kładąc dłoń na moim ramieniu. Ściąga z troską brwi. – To nie jest manipulacja.

– Oczywiście, że...

– Sam ich widziała – mówi Nouria. – Mamy dowody.

Sztywnieję.

– Słucham?

– Potrafię widzieć z daleka – wyjaśnia Sam i próbuje się uśmiechnąć, ale wygląda na zmęczoną. – Naprawdę bardzo daleka. Pomyślałyśmy, że gdyby Anderson zamierzał przetrzymywać dzieciaki, z pewnością wybrałby jakieś miejsce w pobliżu bazy, gdzie miałyby żołnierzy i zasoby na wyciągnięcie ręki. A kiedy Ella powiedziała nam, że Evie nie żyje, poczułam się jeszcze pewniejsza tego, że wrócił do Ameryki Północnej, gdzie musi naprawić szkody i przejąć na powrót kontrolę nad kontynentem. Musi być tutaj i dbać o porządek, na wypadek gdyby jakaś inna grupa ruchu oporu próbowała wykorzystać nagły chaos. Dlatego skupiałam się na poszukiwaniach w Sektorze 45. Potrzebowałam na to prawie czternastu godzin, ale jestem pewna, że znalazłam wystarczająco dużo dowodów, by uwierzyć w jego twierdzenia.

– Co, do cholery... Jesteś pewna, że masz wystarczająco dużo dowodów? Co właściwie ma znaczyć to pieprzenie? I dlaczego to ty podejmujesz decyzję, czy...

– Uważaj, co mówisz, Kishimoto – rzuca ostro Nouria. – Sam pracowała bez wytchnienia, żeby zrobić rekonesans. Masz uznać jej autorytet i traktować ją z należytą wdzięcznością oraz szacunkiem.

Sam kładzie dłoń na ramieniu Nourii.

– Nic się nie stało – mówi, wciąż patrząc na mnie. – Po prostu jest wytrącony z równowagi.

– Jak my wszyscy – zauważa Nouria, patrząc na mnie zmrużonymi oczami. Pod wpływem gniewu nagle bije od niej eteryczny blask, czyniąc jej ciemną skórę niemal bioluminescentną. Przez chwilę nie mogę oderwać od niej wzroku.

Szybko potrząsam głową, żeby pozbierać myśli.

– Nie chciałem nikogo urazić – tłumaczę. – Po prostu nie rozumiem, dlaczego to kupujecie. „Wystarczające dowody” wcale mnie nie przekonują, szczególnie że Anderson w przeszłości już robił podobne rzeczy. Pamiętajcie, jak to się skończyło? Gdyby nie J, która nam wtedy uratowała tyłki, bylibyśmy martwi. A już na pewno Ian.

– Tak – odzywa się cierpliwie Castle – ale zapominasz o jednym istotnym szczególe.

Przechyliłam głowę w jego stronę.

– Anderson naprawdę przetrzymywał naszych ludzi. W tym względzie nie kłamał.

Zaciskam szczęki. Pięści. Całe moje ciało zmienia się w kamień.

– Zaprzeczenie to pierwsza faza żałoby, stary.

– Pierdol się, Sanchez.

– Wystarczy – wypala Castle i gwałtownie wstaje. Wygląda na wściekłego, stół drży pod jego rozczapierzonymi palcami. – Co się z tobą dzieje, synu? To w ogóle do ciebie niepodobne, ten gniew, ta bezmyślność, ten brak szacunku. Twoje ostre sądy w niczym nie pomagają w obecnej sytuacji.

Zamykam oczy.

Fajerwerki złości eksplodują w czerni pod moimi powiekami.

W głowie mi się kręci.

Serce mi dudni.

Kropelka potu spływa mi po plecach i przechodzi mnie mimowolny dreszcz.

– Dobra – rzucam, otwierając oczy. – Przepraszam za brak szacunku. Ale zadam jeszcze tylko raz pytanie, zanim sam po nią pójde: dlaczego, do cholery, nie ma z nami Juliette?

Ich milczenie jest jedyną odpowiedzią, jakiej potrzebuję.

– Co naprawdę się dzieje? – mówię ostro. – Dlaczego to robicie? Dlaczego pozwalacie jej tak długo spać i odpoczywać? Czego mi nie...

– Kenji – przerywa mi Castle niespodziewanie zmienionym tonem. Ściąga brwi, jego czoło jest zmarszczone z troski. – Dobrze się czujesz?

Mrugam. Oddycham głęboko, żeby się uspokoić.

– Nic mi nie jest – przekonuję, lecz nagle te słowa brzmią dziwnie, jakby odbijały się echem.

– Stary, nie wyglądasz dobrze.

Kto to powiedział?

Ian?

Odwracam się w stronę jego głosu, lecz wszystko wydaje się zniekształcać pod wpływem tego ruchu, dźwięki łamią się w pół.

– No, może powinieneś się przespać.

Winston?

Znowu się odwracam i tym razem odgłosy nienaturalnie przyspieszają. Zaczyna mi szumieć w uszach. Potem spoglądam w dół i zbyt późno zdaję sobie sprawę z tego, że trzęsą mi się ręce. Dzwonią mi zęby. Zamarzam.

– Co tu tak zimno? – pytam.

Nagle staje przy mnie Brendan.

– Zaprowadzę cię z powrotem do twojego pokoju – proponuje. – Może...

– Nic mi nie jest – kłamię, gwałtownie się od niego odsuwając. Czuję, jak serce mi łomocze, bije tak szybko, że praktycznie wibruje.

Zaczynam panikować.

Muszę się uspokoić. Muszę odetchnąć. Muszę usiąść albo chociaż się o coś oprzeć...

Zmęczenie uderza mnie z siłą pocisku między oczy. Nagle i gwałtownie wpija swoje szpony w moją klatkę piersiową i ciągnie w dół. Przewracam się na krzesło i powoli mrugam. Moje ręce wydają się ciężkie. Moje tętno zaczyna spadać. Staję się płynny.

Zamykam oczy.

W jednej chwili wyobraźnia podsuwa obraz Jamesa: głodnego, posiniaczonego, pobitego. Jest zupełnie sam i się boi.

Przerażenie wysyła elektryczny impuls do mojego serca i przywraca mnie do życia.

Nagle unoszę powieki.

– Słuchajcie. – W gardle mi zaschło, więc przełykam ślinę. – Słuchajcie – powtarzam – jeśli to prawda, jeśli James i Adam rzeczywiście zostali zakładnikami Andersona, musimy ruszać. Musimy natychmiast ruszać, w tej chwili, do cholery...

– Kenji, nie możemy tego zrobić – odzywa się Sam. Stoi przede mną, co jest dla mnie zaskoczeniem.

– W tej chwili nic nie możemy. – Wymawia te słowa bardzo wolno i starannie, jakby zwracała się do

dziecka.

– Dlaczego nie?

– Bo nie wiemy jeszcze dokładnie, gdzie się znajdują – mówi tym razem Nouria. – A także dlatego, że w jednej kwestii masz rację, cała ta sprawa to zasadzka.

Patrzy na mnie ze współczuciem, co wywołuje we mnie kolejny napad gniewu.

– Nie możemy być nieprzygotowani – tłumaczy. – Potrzebujemy więcej czasu. Więcej informacji.

– Odzyskamy ich – zapewnia Castle, robiąc krok do przodu. Opuszcza dłoń na moje ramiona, patrzy mi w oczy. – Przysięgam, że ich odzyskamy. Nic im się nie stanie. Tylko musimy najpierw stworzyć jakiś plan.

– Nie – rzucam wściekły, odsuwając się. – To wszystko nie ma najmniejszego sensu. Juliette powinna tutaj być. Cała ta sytuacja jest popierdolona.

– Kenji...

Wychodzę, trzaskając drzwiami.

SZEŚĆ

Chyba straciłem resztki rozumu.

Nie ma innego wyjaśnienia. Nie ma innego powodu, dla którego miałbym przeklinać prosto w twarz Castle'a, wrzeszczeć na jego córkę, kłócić się z przyjaciółmi i nadal stać tutaj o świcie, po raz trzeci naciskając guzik dzwonka. Przecież to zupełnie jakbym szedł prosto w paszczę lwa. Zupełnie jakbym chciał, żeby Warner wybił mi wszystkie zęby. Nawet teraz, z tą gęstą mgłą w głowie, dobrze wiem, że nie powinno mnie tu być. Wiem, że nie powinienem tego robić.

A jednak jestem albo zbyt głupi, albo zbyt zmęczony, albo zbyt wściekły, a może wszystko po trochu, żeby szanować ich prywatność czy intymną przestrzeń. I wtedy, zupełnie jak na dany znak, za drzwiami rozlega się jego stłumiony, rozgniewany głos.

– Proszę, kochanie, po prostu to zignoruj.

– A jeśli coś się stało?

– Nic się nie stało – przekonuje. – To tylko Kenji.

– Kenji?

Słysząc jakiś szelest i moje serce zaczyna szybciej bić. J stanie na wysokości zadania. Jak zawsze.

– Skąd wiesz, że to Kenji? – pyta.

– Powiedzmy, że mam takie przypuszczenia – odpowiada Warner.

Naciskam dzwonek jeszcze raz.

– Już idę! – woła w końcu J.

– Wcale nie idzie – wypala Warner. – Spadaj.

– Nigdzie się nie wybieram – odkrzykuję. – Chcę porozmawiać z Juliette. Ellą. Jellą. Jello. Nieważne.

– Ella, kochanie, proszę, pozwól mi go zabić.

Słyszę śmiech J, co w sumie jest miłe, bo ona wyraźnie bierze jego prośbę za żart. Ja bym nie był taki pewien.

Warner wtedy mówi coś, czego nie słyszę. W pokoju robi się cicho i przez chwilę jestem zbity z tropu, po czym zdaję sobie sprawę, że zostałem pokonany. Warner pewnie zaciągnął J z powrotem do łóżka.

Niech to szlag.

– Ale właśnie dlatego powinnam otworzyć – rozlega się głos J, po czym znowu zapada cisza i dopiero po chwili słycać szelest i stłumione łupnięcia. – Jeśli musi ze mną porozmawiać tak wcześnie rano, to na pewno coś ważnego.

Warner wzdycha tak głośno, że słyszę to przez drzwi.

Naciskam jeszcze raz dzwonek.

Ktoś krzyczy krótko, niezrozumiale.

– Hej – wołam. – Poważnie, niech ktoś otworzy. Jajka sobie przez was odmrozę.

Kolejne wściekłe jęki Warnera.

– Już idę – woła Jello.

– Co tak długo? – pytam.

– Staram się... – Słyszę jej śmiech, a potem miły cichy głos, skierowany do kogoś innego: – Aaron, proszę... Przysięgam, że zaraz wrócę.

– J?

– Ja tu się próbuję ubrać!

– Aha. – Naprawdę bardzo mocno się staram ich sobie nie wyobrażać, nagich i w łóżku, ale jakoś ten obraz sam materializuje się przed moimi oczami. – Okej, fuj.

– Skarbie, jak długo jeszcze planujesz się z nim przyjaźnić? – odzywa się Warner.

J znowu się śmieje.

Stary, ta dziewczyna nie ma o niczym pojęcia.

To znaczy, okej... To prawda, że gdybym choć przez pięć sekund próbował wyobrazić sobie, jakby to było być na miejscu Warnera, zrozumiałbym aż za dobrze, dlaczego tak często ma ochotę mnie zamordować. Gdybym leżał w łóżku z dziewczyną i jakiś kretyn dzwoniłby do drzwi, bo poczuł pilną potrzebę, żeby porozmawiać z nią o uczuciach, też bym chciał go udusić.

Ale ja nie mam dziewczyny i nie zapowiada się, żebym kiedykolwiek miał. Dlatego w sumie nie obchodzi mnie to – i Warner to wie. W dużej mierze właśnie z tego powodu tak mnie nie znosi. Nie może mnie usunąć z życia, nie krzywdząc J, lecz moja obecność oznacza też, że musi się ze mną podzielić uwagą J. Warner jest w naprawdę beznadziejnej sytuacji.

Ja za to nie mam problemu.

Mój palec już wisi nad dzwonkiem, kiedy słyszę dudnienie zbliżających się kroków. Jednak kiedy drzwi się w końcu gwałtownie otwierają, nagle odskakuję do tyłu.

Warner wygląda na wściekłego.

Włosy ma rozczochrane, nieuważnie zawiązał szlafrok. Nie włożył koszulki ani butów, pewnie jest całkiem nagi pod tym szlafrokiem i to jedyny powód, dla którego zmuszam się, by spojrzeć mu w oczy.

Cholera.

Ani trochę nie żartował. Jest szczerze wkurwiony.

Kiedy się odzywa, jego głos jest niski, śmiertelnie groźny:

– Powinienem być pozwolić ci zamarznąć na śmierć w starym mieszkaniu Kenta. Powinienem być pozwolić, by szczury pożarły twoje idealnie zakonserwowane zwłoki. Powinienem być...

– Słuchaj, stary, naprawdę nie próbuję...

– Nie przerywaj mi!

Zamykam się.

Warner bierze głęboki wdech. Jego oczy płoną. Zielono. Lodowato. Ognście. Dokładnie w takiej kolejności.

– Dlaczego mi to robisz? Dlaczego?

– Eee, okej, wiem, że dla takiego narcyza jak ty to trudne do zrozumienia, ale to nie ma nic wspólnego z tobą. J jest moją przyjaciółką. Właściwie to przyjaźniliśmy się na długo przed tym, jak ty się pojawiłeś.

Warner otwiera szeroko oczy pod wpływem nagłego gniewu, lecz zanim zdąży się odezwać...

– Sorki, pomyliłem się. Wybacz. – Unoszę ręce w przeproszającym geście. – Zapomniałem na moment o tej całej sprawie z wymazywaniem wspomnień. Ale szczerze, nieważne. Jeśli chodzi o moje wspomnienia, poznałem ją jako pierwszy.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie...

Warner marszczy brwi.

Jest zupełnie tak, jakby ktoś nacisnął guzik i ogień w jego oczach gaśnie. Teraz chłopak przygląda mi się uważnie i zaczynam się denerwować.

– Co się dzieje? – pyta i przechyla głowę, a chwilę później z zaskoczenia robi wielkie oczy. – Dlaczego jesteś przerażony?

Jello pojawia się, zanim zdążę odpowiedzieć.

Uśmiecha się do mnie – tym szerokim, błyszczącym i szczęśliwym uśmiechem, który zawsze rozpala moje serce – i z ulgą odkrywam, że ma na sobie komplet ubrań. Nie zarzuciła na nagie ciało szlafroka, jak Warner, tylko ubrała się do wyjścia.

Czuję, że mogę wreszcie odetchnąć.

Jednak w jednej chwili jej uśmiech znika. I kiedy blednie, kiedy jej brwi ściągają się z niepokoju – czuję się odrobinę lepiej. Wiem, że to brzmi dziwnie, lecz jest coś pokrzepiającego w jej reakcji; oznacza, że przynajmniej jedna rzecz na tym świecie jest taka, jak być powinna. Bo ja wiedziałem. Wiedziałem, że w przeciwieństwie do wszystkich innych ona od razu pozna, że nie jest ze mną dobrze. Nie potrzebuje do tego nadnaturalnych zdolności.

I z jakiegoś powodu to niesamowicie ważne.

– Kenji, co się stało? – pyta.

Już nie mogę dłużej wytrzymać. Tępy, pulsujący ból napiera na moje lewe oko; w polu widzenia pojawiają się i znikają czarne plamki. Czuję, że brakuje mi tlenu, że moje płuca są zbyt małe, a mózg zbyt duży.

– Kenji?

– Chodzi o Jamesa – mówię, a mój głos brzmi cienko. Nie tak, jak powinien. – Anderson go porwał. Anderson porwał Jamesa i Adama. Przetrzykuje ich jako zakładników.

SIEDEM

Wracamy do sali obrad wojennych.

Stoję w drzwiach z J obok – Warner potrzebował chwili, żeby wybrać sobie jakąś ładną stylóweczkę i zapleść włosy – a w ciągu piętnastu minut mojej nieobecności atmosfera w tym pomieszczeniu uległa dramatycznej zmianie. Wszyscy zerkają to na mnie, to na J. A raczej patrzą spode łba. Brendan wydaje się zmęczony. Winston – zirytowany. Ian jest zwyczajnie wściekły, tak samo jak Lily. I Sam. I Nouria.

Za to Castle jest naprawdę wkurwiony.

Wpatruje się we mnie zmrużonymi oczami, a po wspólnie spędzonych latach poznałem jego mowę ciała na tyle dobrze, by dokładnie wiedzieć, o czym teraz myśli.

W tej chwili jest mną poważnie rozczarowany, czuje się zdradzony tym, że nie dotrzymałem obietnicy nieprzeklinania przy nim, że świadomie okazałem mu brak szacunku i powinienem dostać dwa tygodnie szlabanu za krzyczenie na jego córkę i jej żonę. A poza tym jest zażenowany. Spodziewał się po mnie czegoś więcej.

– Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą, sir.

Castle zaciska zęby, obrzucając mnie taksującym spojrzeniem.

– Czujesz się już lepiej?

Nie.

– Tak.

– W takim razie omówimy to później.

Odwracam wzrok, zbyt zmęczony, żeby okazać właściwe poczucie winy. Brakuje mi energii. Jestem wykończony. Wypluty. Mam wrażenie, jakbym został wypatroszony tępyimi, zardzewiałymi narzędziami, ale jakimś cudem nadal tu jestem. Wciąż stoję o własnych siłach. Z jakiegoś powodu obecność J sprawia, że to wszystko staje się trochę bardziej znośne. Dobrze jest wiedzieć, że mam kogoś, na kim można polegać.

Po pełnej minucie niezręcznej ciszy to ona się odzywa.

– No dobra – rzuca i pozwala, by te słowa zawisły na moment w powietrzu. – Dlaczego nikt mnie nie poinformował o tym spotkaniu?

– Nie chcieliśmy ci przeszkadzać – oznajmia przymilnie Nouria. – Masz za sobą parę naprawdę ciężkich tygodni, więc pomyśleliśmy, że lepiej cię nie budzić, dopóki nie opracujemy konkretnego planu działania.

J marszczy brwi. Widzę, że się zastanawia nad tym, co usłyszała, i wątpi w słowa Nourii. Też uważam, że to ściema. Właściwie nigdy nie staramy się specjalnie, żeby ludzie mieli czas na odpoczynek po bitwie – chyba że zostali ranni. Czasami nawet wtedy nie. Szczególnie J nigdy nie mogła liczyć na tego rodzaju ulgowe podejście. Nie traktujemy jej jak dziecka, nie podchodzimy do niej jak do porcelanowej laleczki, która może się w każdej chwili roztrzaskać.

Jednak Jello postanawia odpuścić.

– Zdaję sobie sprawę, że chcieliście być mili – zwraca się do Nourii – i jestem wdzięczna za przestrzeń oraz serdeczne przyjęcie, szczególnie za wczorajsze urodziny Aarona, ale trzeba było nam powiedzieć od razu. Właściwie trzeba było nam powiedzieć, gdy tylko wylądowaliśmy. Nieważne, przez co musieliśmy przejść. Pozostajemy skupieni na rzeczywistości i na tym, z czym przyszło nam w tej chwili walczyć, a Aaron stanie u naszego boku. Czas, żebyście wszyscy zaczęli doceniać jego możliwości.

– Czekaj... Słucham? – Ian marszczy brwi. – Co niedoceniecie Warnera ma wspólnego z Jamesem?

J potrząsa głową.

– Wszystko. Tak się składa, że nie rozumiem, dlaczego nie był pierwszą osobą, z którą o tym porozmawialiście. Działacie na własną szkodę, poddając się swoim uprzedzeniom. One wam nie pozwalają ruszyć z miejsca.

Teraz to ja marszczę czoło.

– Jaki jest cel tej przemowy, księżniczko? Nie rozumiem, po co w tej rozmowie Warner. I dlaczego ciągle nazywasz go Aaronem? To dziwne.

– Och, przepraszam – mówi, ściągając brwi. – Mój umysł... Moje wspomnienia są nadal... Jeszcze nie doszłam do siebie. Dla mnie był Aaronem znacznie dłużej niż dla was Warnerem.

Patrzę na nią, zdziwiony.

- Chyba pozostanę przy Warnerze.
- Chyba bym wolała, żebyś tak zrobił.
- Dobrze. Nieważne. Czyli twoim zdaniem go nie doceniamy.
- Owszem.

Tym razem odzywa się Nouria.

– A to dlaczego?

J wypuszcza powietrze. Patrzy ze smutkiem i powagą, mówiąc:

– Anderson to potwór, który mógłby wziąć za zakładnika dziesięcioletnie dziecko i wrzucić je do jednej celi razem z wyszkolonymi żołnierzami. O ile dobrze nam wiadomo, traktuje Jamesa tak samo, jak traktuje Valentine. Albo Lenę. Albo Adama. To nieludzkie na tak niepokojącym poziomie, że aż wolę o tym nie myśleć. Trudno mi to pojąć. Jednak dla Aarona takie nie jest. On zna Andersona i jego sposób myślenia lepiej niż my wszyscy. Jego wiedza na temat Przywrócenia i w szczególności Andersona jest bezcenna. Co ważniejsze, James jest młodszym bratem Aarona. I jeśli ktoś ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak to jest mieć dziesięć lat i być dręczonym przez Andersona, to właśnie on. – Unosi wzrok, patrzy prosto w oczy Castle'a. – Dlaczego uznałeś wykluczenie go z tej rozmowy za dobry pomysł? Dlaczego w ogóle przyszło ci do głowy, że nie przejąłby się tym tak jak inni? Jest załamany.

A potem, jakby tymi słowami go przywołała, Warner staje w progu. Mrugam i widzę, że zaraz za nim wchodzi Nazeera. Mrugam jeszcze raz i w zasięgu wzroku pojawiają się Haider i Stephan.

Dziwnie jest patrzeć na nich, na te króliczki doświadczalne. Superżołnierzy. Wszyscy chodzą tak samo, wyprostowani i dumni, z idealną postawą, jakby byli władcami świata.

I w sumie w pewnym sensie nimi są. A przynajmniej są dziećmi przywódców świata.

Przedziwne.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest być wychowywanym przez kogoś, kto uczy cię, że świat leży u twoich stóp i możesz z nim zrobić, co tylko zechcesz. Może Nazeera miała rację. Może faktycznie za bardzo się od siebie różnimy. Może nigdy by się między nami nie ułożyło, bez względu na to, jak bardzo chciałbym, żeby dała nam szansę.

Nazeera, Stephan i Haider okrążają nas z daleka, przystają z boku i milczą – nawet nie machają nam na powitanie – ale Warner idzie dalej. Jello spotyka się z nim na środku pomieszczenia, a on przyciąga ją do siebie tak, jakby nie widzieli się od co najmniej kilku dni. Aż mi się zbiera na wymioty. Potem jednak słyszę, jak ona szepcze coś o jego urodzinach, i oblewa mnie fala wyrzutów sumienia.

Nie mogę uwierzyć, że zapomniałem.

Zeszłego wieczoru świętowaliśmy jego urodziny nieco przedwcześnie. Tak naprawdę są dzisiaj. Dzisiaj. W tej chwili. Tego ranka.

Cholera.

Wyciągnąłem J z łóżka o poranku w jego urodziny.

Wow, naprawdę jestem dupkiem.

Kiedy odsuwają się od siebie, Warner wykonuje niespodziewany, niemal niewidoczny ruch głową, na co Nazeera, Stephan i Haider podchodzą do stołu, by usiąść obok Iana, Lily, Brendana i Winstona. Mały batalion jest gotów do wojny. Czasami trudno uwierzyć, że wszyscy jesteśmy bandą dzieciaków. Zdecydowanie na to nie wygląda. Jednak szczególnie tych czworo zwraca na siebie uwagę.

Warner ma na sobie skórzaną kurtkę. Nigdy wcześniej nie widziałem go w skórze i nie wiem dlaczego, bo świetnie w niej wygląda. Kurtka ma interesujący, skomplikowany kołnierz, a czarna skóra odznacza się przy jego złocistych włosach. Jednak im dłużej na niego patrzę, tym mam większe wątpliwości, że ten ciuch należy do niego. Nie mieliśmy nic swojego, kiedy wylądowaliśmy tutaj, więc pewnie Warner pożyczył kurtkę od Haidera. Z kolei Haider ma na sobie swoją charakterystyczną kolczugę, a na niej ciężki wełniany płaszcz. Lecz to nic w porównaniu do Stephana – ubrał się w złotą kurtkę wojskową, która wygląda jak skóra węża.

Obłąd.

Ci kolesie wyglądają tutaj – pośród normalsów, którzy nie wkładają kolczugi do śniadania – prawie jak kosmici. Ale nawet ja potrafię poznać, że Haider z tym całym metalem na piersi wygląda jak wojownik, a złota kurtka naprawdę podkreśla brązowy kolor skóry Stephana. Tylko kto to sprzedaje? To są ubrania

z kosmosu. Nie mam pojęcia, gdzie ci koleś robią zakupy, ale coś czuję, że chadzają do niewłaściwych sklepów. Chociaż w sumie co ja tam wiem, do cholery. Od lat noszę te same porwane spodnie i koszulki. Wszystko, co kiedyś miałem, było albo wypłowiałe, albo kiepsko naprawione, albo trochę zbyt obcisłe, szczerze mówiąc. Uważałem się za szczęściarza z jedną dobrą zimową kurtką i parą porządnych butów. To wszystko.

– Kenji?

Trochę się płoszę, zbyt późno zdając sobie sprawę, że znowu się zamyśliłem. Ktoś do mnie mówi. Ktoś zwrócił się do mnie po imieniu. Prawda? Spoglądam na ich twarze, próbując namierzyć tę osobę, lecz na próżno.

Zerkam na J, licząc na pomoc, a ona się uśmiecha.

– Nazeera właśnie zadała ci pytanie – wyjaśnia.

Cholera.

Ignorowałem Nazeerę. Celowo. Myślałem, że to oczywiste. Wydawało mi się, że doszliśmy do porozumienia – że zawarliśmy niewypowiedzianą umowę, według której ignorujemy siebie nawzajem na zawsze, nigdy nie rozmawiamy o mojej wczorajszej głupocie i udajemy, że nie czuję, jak krew napływa mi do niewłaściwych miejsc w ciele za każdym razem, kiedy ona mnie dotyka.

Nie?

No dobra.

Cholera.

Niechętnie odwracam się w jej stronę. Nazeera znowu ma na sobie ten skórzany kaptur, co oznacza, że widzę tylko jej usta, a to wydaje się bardzo, bardzo niesprawiedliwe. Ona ma prześliczne usta. Pełne. Słodkie. Ja pierdolę, nie chcę się gapić na jej usta. To znaczy, oczywiście, że chcę. Ale jednocześnie zdecydowanie nie. Tak czy inaczej, normalnie trudno mi się powstrzymać, a teraz, gdy kaptur zasłania jej oczy, właściwie nie mam pojęcia, co sobie myśli i czy nadal jest na mnie zła za to, co wczoraj powiedziałem.

I wtedy...

– Zapytałam, czy coś podejrzewałeś – odzywa się Nazeera. – W sprawie Jamesa. I Adama.

Jak mogłem tego nie usłyszeć? Jak długo gapiłem się w przestrzeń, myśląc o tym, gdzie Haider robi zakupy?

Chryste.

Co jest ze mną nie tak, do cholery?

Potrząsam lekko głową, mając nadzieję ją nieco przewietrzyć.

– No, trochę spanikowałem, kiedy pojawiliśmy się tutaj i nie widziałem nigdzie Adama i Jamesa. Wszystkim o tym powiedziałem – mówię, zerkając spode łba na bezużytecznych przyjaciół – tylko że nikt nie chciał mnie słuchać. Wzięli mnie za wariata.

Nazeera odsuwa kaptur i pierwszy raz tego poranka widzę jej twarz. Spoglądam jej w oczy, lecz nic w nich nie dostrzegam. Jej ton czy postawa nie zdradzają myśli.

Nic.

A potem mruży oczy, tylko troszeczkę.

– Powiedziałeś wszystkim.

– To znaczy... – mrugam, waham się – większości ludzi.

– Ale żadnemu z nas. – Wskazuje na swoją małą grupę zabójców. – Nie powiedziałeś ani Elli, ani Warnerowi. Ani reszcie.

– Castle kazał wam nie mówić – odpowiadam, zerkając na J i Warnera. – Chciał, żebyście spędzili przyjemny wieczór we dwoje.

Widać, że J chce się odezwać, ale Nazeera wchodzi jej w słowo.

– Tak, rozumiem to, ale czy kazał ci też nie wspominać o tym Haiderowi i Stephanowi? Albo mnie? Castle nie powiedział, żebyś ukrywał swoje podejrzenia przed resztą z nas, zgadza się?

W jej głosie nie ma żadnej szczególnej intonacji. Nie wyczuwam żadnego gniewu, nawet odrobiny irytacji – jednak wszyscy nagle odwracają się w jej stronę. Haider uniósł brwi. Nawet Warner wydaje się zaciekawiony.

Najwyraźniej Nazeera dziwnie się zachowuje.

Ale znowu uderza we mnie fala zmęczenia.

Chyba wiem, jak to się skończy. Skończyły mi się życia w tej grze. Nie mam bonusów. Nie będzie więcej wybuchów wściekłości czy przyływów adrenaliny, żeby przetrwać kolejną minutę. Próbuję się odezwać, lecz ktoś odłączył mi zwoje w mózgu.

Moje usta się otwierają. Zamykają.

Cisza.

Tym razem zmęczenie wbija się we mnie z taką siłą, że czuję, jakby mi pękały kości, jakby moje oczy się topiły, jakbym patrzył na świat przez celofan. Wszystko wydaje się mieć delikatny metaliczny blask, szklisty i zamazany. A potem pierwszy raz dociera do mnie...

To zmęczenie nie jest normalne.

Niestety już za późno. O wiele zbyt późno zdaję sobie sprawę, że może mi dolegać coś poważniejszego.

Cholera, ja chyba umieram.

Stephan coś mówi. Nie słyszę go.

Nazeera coś mówi. Jej też nie słyszę.

Jakaś wciąż funkcjonująca część mojego mózgu podpowiada, żebym wrócił do pokoju i odszedł z tego świata w ciszy, ale kiedy próbuję zrobić krok do przodu, zataczam się.

Dziwne.

Próbuję znowu i tym razem jest jeszcze gorzej. Nogi mi się płaczą i się potykam, w ostatniej chwili unikając upadku.

Wszystko wydaje się nie takie, jak powinno.

Dźwięki w mojej głowie stają się jakby głośniejsze. Nie mogę do końca otworzyć oczu. Powietrze dokoła sprawia wrażenie gęstego – pod ciśnieniem – i kiedy chcę powiedzieć, że dziwnie się czuję, wszystko na nic. Wiem tylko tyle, że nagle mi zimno. Czuję lodowaty żar.

Zaraz. Tak się nie da.

Marszczę brwi.

– Kenji?

Imię dociera do mnie jakby z daleka. Spod powierzchni wody. Moje powieki są teraz opuszczone i mam wrażenie, jakby już nigdy miały się nie podnieść. A potem – wszystko pachnie inaczej. Jakby piachem, wilgocią, zimnem. Dziwne. Coś łaskocze moją twarz. Trawa? Od kiedy mam trawę na twarzy?

– Kenji!

Och. Aha. Niefajnie. Ktoś mną potrząsa, mocno, mózg mi się obija o czaszkę i coś, jakiś pradawny instynkt, oddziałuje na zardzewiałe zawiasy powiek, lecz gdy próbuję się skupić, nie mogę. Wszystko jest takie miękkie. Papkowate.

Ktoś krzyczy. Kilka ktosiów. Zaraz, to się chyba inaczej odmienia? Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek słyszał aż tyle głosów w tym samym czasie wypowiadających moje imię. Kenji kenji kenji kenjikenjikenji

Próbuję się zaśmiać.

I wtedy ją widzę. Jest tutaj. Rany, to naprawdę przyjemny sen. Ale oto jest. Dotyka mojej twarzy. Obracam trochę głowę, przytulam policzek do gładkiej, miękkiej dłoni. Niesamowite uczucie.

Nazeera.

Zajebicie piękna, myślę sobie.

I nagle znikam.

Nieważki.

OSIEM

Kiedy otwieram oczy, widzę pająki.

Oczy i ręce, oczy i ręce, wszędzie oczy i ręce. Powiększone. Blisko. Tysiąc oczu, okrągłych i błyszczących. Setki par rąk wyciągniętych w moją stronę, ze wszystkich stron.

Znowu opuszczam powieki.

Dobrze, że nie boję się pajaków, inaczej chyba bym zaczął wrzeszczeć. Lecz nauczyłem się z nimi żyć. Towarzyszyły mi w sierocińcu, nocami na ulicy i pod ziemią w Omega Point. Chowają się w moich butach, pod łóżkiem, łapią muchy w kątach mojego pokoju. Zazwyczaj wyprowadzam je na zewnątrz, ale nigdy nie zabijam. Mamy takie porozumienie. Trzymam sztamę z pajakami.

Za to nigdy wcześniej ich nie słyszałem.

A te pająki są wyjątkowo głośne. Otacza mnie kakofonia dźwięków, jakieś szумы, wibrujący nonsens, w którym nie potrafię się odnaleźć. Jednak powoli zaczynają się rozdzielać. Przybierać kształty.

Wtedy dociera do mnie, że to głosy ludzi.

– Masz rację, że to nietypowe – odzywa się ktoś. – Zdecydowanie dziwne, by efekty utrzymywały się tak długo, ale to się już zdarzało.

– Ta teoria nie ma najmniejszego sensu...

– Nazeera. – To chyba mówi Haider. – Masz do czynienia z medykami. Z pewnością wiedzą, co...

– Nie obchodzi mnie to – rzuca Nazeera ostro. – Tak się składa, że moim zdaniem nie mają racji.

Kenjiemu nic nie było przez kilka ostatnich dni, inaczej bym zauważyła. Przecież z nim byłam. Ich diagnoza jest absurdalna. To nieodpowiedzialne twierdzić, że wpływają na niego środki sprzed kilku dni, skoro ewidentnie przyczyna leży gdzie indziej.

Na dłuższą chwilę zapada cisza.

Wreszcie ktoś wzdycha.

– Może będzie ci trudno w to uwierzyć, ale my tutaj nie odprawiamy czarów. Opieramy się na prawdziwej nauce. Możemy w pewnym zakresie wyleczyć jakąś dolegliwość albo chorobę u człowieka. Możemy odtworzyć uszkodzone tkanki czy kości, uzupełnić utraconą krew, lecz niewiele zdziałamy w przypadku... choćby zatrucia pokarmowego. Albo kaca. Albo chronicznego zmęczenia. Wciąż nie jesteśmy w stanie leczyć wszystkiego. – To musi być Sara. Albo Sonya. Albo jedna i druga. Nie zawsze umiem odróżnić ich głosy.

– A w tej chwili – odzywa się któraś z nich – mimo najszczerzych chęci nie mamy wpływu na to, że organizm Kenjiego nie pozbył się tych środków. Trzeba czekać.

– Ale... Musi być coś...

– Kenji przez ostatnie trzydzieści sześć godzin funkcjonował wyłącznie dzięki adrenalinie – mówi jedna z bliźniaczek. – Te przyływy i odpływy odcisnęły swoje piętno na jego ciele, a brak snu czyni go jeszcze podatniejszym na działanie tamtych substancji.

– Wyjdzie z tego? – pyta Nazeera.

– Nie, jeśli nie będzie spał.

– Co to znaczy? – To J. Jella. Jello. Słyszę jej głos. Wydaje się przerażona. – Do jak poważnych szkód doszło? Ile czasu będzie potrzebował na dojście do siebie?

Kiedy moje zmysły powoli się wyostrzają, zdaję sobie sprawę, że bliźniaczki mówią jednocześnie, dokańczając za siebie nawzajem zdania w taki sposób, jakby były jedną osobą. To ma więcej sensu.

– Nie możemy mieć pewności – zaczyna Sara.

– Może kilka godzin, może kilka dni – kończy Sonya.

– Kilka dni? – odzywa się znowu Nazeera.

– Albo nie. Naprawdę wszystko zależy od tego, jak silny ma układ odpornościowy. Jest młody i poza tym bardzo zdrowy, więc ma wszelkie szanse na wyjście z tego. Niestety jest poważnie odwodniony – zaczyna Sara.

– I potrzebuje snu. Nie wywołanej podaniem środków utraty świadomości, ale prawdziwego, regenerującego snu. Najlepsze, co w tej chwili możemy dla niego zrobić, to ulżyć mu w bólu i dać mu spokój – kończy Sonya.

– Dlaczego mu to zrobiłaś? – To Castle. Castle jest tutaj. Lecz w jego głosie słyhać ostry ton. I trochę strachu. – Czy to było rzeczywiście konieczne?

Cisza.

– Nazeera – mówi z naciskiem Stephan.

– Wydawało mi się konieczne – odpowiada cicho Nazeera. – W tamtym momencie.

– Mogłaś mu przecież po prostu o wszystkim powiedzieć. – To znowu J. Wydaje się wkurzona. – Nie musiałaś go niczym szprycować. Poradziłby sobie wtedy w samolocie, gdybyś tylko go uprzedziła, co się wydarzy.

– Nie było cię tam, Ella. Nie masz o niczym pojęcia. Nie mogłam ryzykować. Gdyby Anderson miał choć cień podejrzenia, że Kenji był na pokładzie tamtego samolotu, gdyby Kenji wydał chociaż jeden dźwięk, wszyscy byśmy teraz nie żyli. Musiałam mieć pewność, że przez osiem godzin będzie całkowicie nieruchomy i zachowa nieludzką ciszę, okej? To był jedyny sposób.

– Ale gdybyś naprawdę go znała – odzywa się J i słyhać, że jej gniew się zmienia, pobrzmiwa w nim rozpacz – gdybyś miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak to jest walczyć z Kenjim u boku, nigdy byś w niego nie zwątpiła.

Niemal się uśmiecham.

J zawsze staje na wysokości zadania. Zawsze jest po mojej stronie.

– Kenji – ciągnie – nie zrobiliby nic, co mogłoby zaszkodzić misji. Byłby dla ciebie przydatny. Mógł ci pomóc bardziej, niż zdajesz sobie sprawę. Kenji...

Ktoś głośno chrząka i jestem rozczarowany. Naprawdę podobała mi się ta przemowa.

– Nie wydaje mi się... – zaczyna znowu jedna z bliźniaczek. – Nie wydaje mi się, żeby szukanie winnego było pomocne. Nie w tej chwili. I szczególnie nie w tym przypadku.

– Właściwie – odzywa się Sonya i wzdycha – uważamy, że to wieści na temat Jamesa przelały czarę.

– Słucham? – dziwi się Nazeera. – Jak to?

– Kenji uwielbia Jamesa. Kocha go bardziej, niż ludziom się wydaje. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak bardzo są sobie bliscy... – odpowiada Sara.

– ...ale my widziałyśmy to na co dzień – kończy za nią Sonya. – Razem z Sarą pracowałyśmy przez jakiś czas z Jamesem, uczyłyśmy go, jak korzystać ze zdolności uzdrawiania.

– Kenji zawsze przy tym był – tłumaczy Sara. – Zawsze wpadał, żeby sprawdzić jego postępy. Wytworzyła się między nimi szczególna więź.

– A kiedy jest się aż tak zmartwionym – ciągnie Sonya – kiedy odczuwa się aż tak silny strach i doświadcza ekstremalnego stresu, można poważnie zaszkodzić swojej odporności.

Ha. To chyba oznacza, że już na zawsze spieprzyłem sobie odporność.

Mimo to mam wrażenie, że czuję się lepiej. Nie tylko jestem w stanie odróżnić ich głosy, ale teraz zdaję sobie jeszcze sprawę, że ktoś mi wkłuł igłę w rękę i to cholernie boli.

Chyba podają mi płyny.

Nie umiem właściwie utrzymać otwartych oczu, ale mogę zmusić się, by coś powiedzieć. Niestety zaschło mi w gardle. Bardzo. Jest jak papier ścierny. Mam wrażenie, jakby pełne zdania były dla mnie nieosiągalne, ale po minucie udaje mi się wychrypieć dwa słowa:

– Już dobrze.

– Kenji. – Czuję, jak Castle rzuca się do przodu, chwyta mnie za rękę. – Dzięki Bogu. Tak się martwiliśmy.

– Okej – mówię, ale mój głos wydaje się obcy, nawet dla mnie samego. – Jak pająki.

W pokoju zapada cisza.

– O co chodzi? – szepcze ktoś.

– Chyba powinniśmy pozwolić mu odpocząć.

Tak. Odpocząć.

Jestem taki zmęczony.

Nie mogę się już ruszyć. Nie mogę wyartykułować więcej słów. Mam wrażenie, jakbym zapadał się w materac.

Głosy cichną, powoli rozplývają się w masę nierozróżnialnych dźwięków, które wzbierają w ryk, boleśnie raniący mi uszy i nagle...

Cisza.
Spokój.
Ciemność.

DZIEWIĘĆ

Ile czasu minęło?

Powietrze wydaje się chłodniejsze, cięższe. Próbuję przełknąć ślinę i tym razem gardło nie boli. Udaje mi się nieco unieść powieki – przypominam sobie coś o pająkach – i odkrywam, że jestem zupełnie sam.

Otwieram oczy trochę szerzej.

Myślałem, że obudziłem się w namiocie medycznym czy coś, ale otoczenie mnie zaskakuje – i wywołuje ulgę – bo okazuje się, że leżę we własnym pokoju. Wszędzie spokój. Cisza. Nie licząc jednej rzeczy: kiedy nasłuchuję, gdzieś z oddali dobiega niespodziewane cykanie świerszczy. Chyba nie słyszałem żadnego od dekady.

Dziwne.

Tak czy inaczej, czuję się tysiąc razy lepiej niż... wczoraj? Nie wiem. Nieważne, liczy się, że szczerze mogę powiedzieć, że jest mi lepiej, że jestem bardziej sobą. Poznają po tym, że dopada mnie wilczy głód. Nie mogę uwierzyć, że nie zjadłem tamtego kawałka tortu, kiedy miałem go pod nosem. Chyba do reszty mi odbiło.

Unoszę się i opieram na łokciach.

Trochę dziwnie jest obudzić się w innym miejscu, niż się zasypiało, lecz po kilku minutach pokój zaczyna być znajomy. Zasłony są niemal całkowicie zaciągnięte, jednak przez wąską szparę do środka wpada blask księżycy, malując cienie. Nie spędziłem w tym namiocie dość dużo czasu, zanim wszystko się posypało, więc wciąż wewnątrz jest zupełnie zwyczajne, niezmienione. Oczywiście nie pomaga też fakt, że nie mam ze sobą żadnych rzeczy osobistych. Wszystko wydaje się takie zimne. Obce. Każdy przedmiot jest pożyczony, nawet szczoteczka do zębów. Jednak kiedy rozglądam się po pokoju, kiedy patrzę na zgaszony monitor niedaleko łóżka, na pustą kroplówkę, na świeży bandaż przyklejony do skaleczenia na przedramieniu, zdaję sobie sprawę, że ktoś uznał mój stan za stabilny. Za rokujący.

Zalewa mnie fala ulgi.

Tylko co z jedzeniem?

W zależności od pory dnia może być albo zbyt późno, albo zbyt wcześnie, żeby coś zjeść. Wątpię, żeby stołówka była otwarta całą noc. Mój żołądek od razu buntuje się przeciwko tej myśli. Nie tyle burczy, co po prostu boli. To uczucie jest znajome, rozpoznaję je z łatwością. Ostre, zapierające dech w piersi uderzenia głodu są zawsze takie same.

Towarzyszą mi niemal całe życie.

Ból znowu wraca, niespodziewanie i z siłą, jakiej nie jestem w stanie ignorować. Zdaję sobie sprawę, że nie mam innego wyjścia, jak poszukać czegoś do jedzenia. Czegokolwiek. Nawet kawałka suchego chleba. Jak się tak zastanowię, to w sumie nie pamiętam, kiedy ostatni raz spożyłem porządny posiłek. Może w samolocie, krótko przed tym, jak się rozbiliśmy. Chciałem zjeść obiad pierwszego wieczoru tutaj, kiedy pojawiliśmy się w Sanktuarium, ale miałem tak napięte nerwy, że mój żołądek praktycznie się zasuszył i zmarł. Od tamtej pory chyba umieram z głodu.

Zaraz to naprawię.

Podnoszę się do końca. Potrzebna mi rekaliibracja. Ostatnio traciłem perspektywę, a nie mogę sobie na to pozwolić. Jest zbyt wiele rzeczy do zrobienia. Zbyt wielu ludzi na mnie polega.

Jestem potrzebny Jamesowi.

Poza tym jest mnóstwo powodów do wdzięczności. Zdaję sobie z tego sprawę. Muszę tylko o tym pamiętać. Dlatego biorę głęboki wdech na uspokojenie w tym ciemnym, cichym pokoju i zmuszam się do skupienia. Do tego, by pamiętać.

Do tego, by powiedzieć na głos: *Jestem wdzięczny.*

Za ubrania na tyłku, za bezpieczeństwo tej przestrzeni. Za przyjaciół, nową rodzinę i te resztki zdrowia psychicznego i fizycznego.

Opuszczam twarz w dłonie i mówię to. Stawiam stopy na podłodze i mówię to. A kiedy wreszcie udaje mi się stanąć o własnych siłach, zziąjany i spocony, opieram się o ścianę i szepczę:

– Jestem wdzięczny.

Znajdę Jamesa. Znajdę jego, Adama i całą resztę. Wszystko naprawię. Muszę, choćby kosztowało mnie to życie.

Unoszę głowę i odsuwam się od ściany, ostrożnie sprawdzając swój ciężar na zimnej podłodze. Kiedy wiem już, że mam dość sił, by nie potrzebować oparcia, wypuszczam z ulgą powietrze. Najpierw najważniejsze: muszę wziąć prysznic.

Chwytam rąbek koszulki i podciągam ją, zdejmuję przez głowę, ale w chwili, gdy kołnierzyk zahacza o mój nos i na moment mnie oślepia – moja ręka o coś uderza.

O kogoś.

Ktoś wciąga gwałtownie powietrze i wiem, że w pokoju jest intruz.

Dopadają mnie jednocześnie strach i gniew, emocje są tak przemożne, że nagle robi mi się słabo.

Ale nie ma na to czasu.

Szarpięciem zdejmuję koszulkę do końca i rzucam ją na podłogę, po czym odwracam się i czuję napływ adrenaliny. Chwytam półautomat, który schowałem w nogawce spodni, przypięty do wewnętrznej strony łydki, i wciągam buty z nieludzką szybkością. Kiedy udaje mi się złapać mocno broń, moje ręce fruną do góry. Wydają się pewniejsze i spokojniejsze ode mnie.

Pokój jest zbyt ciemny, można w nim znaleźć zbyt wiele kryjówek.

– Pokaż się! – krzyczę. – Natychmiast.

Nie wiem, co dokładnie się potem wydarza. Nie do końca to widzę, za to wyczuwam. Jednym płynnym ruchem dopada do mnie jakiś podmuch wiatru i w jakiś niemożliwy sposób wytrąca mi broń z ręki. Pistolet spada na podłogę i zaraz leci na drugą stronę pokoju. Wpatruję się w swoje otwarte, puste dłonie. Jestem zdumiony.

Nie mam zbyt wiele czasu na podjęcie decyzji.

Podnoszę stojące w pobliżu krzesło i uderzam nim mocno o ścianę. Jedna z drewnianych nóg z łatwością odpada i trzymam ją niczym kij bejsbolowy.

– Czego chcesz? – pytam, zaciskając palce na prowizorycznej broni. – Kto cię wy...

Ktoś kopie mnie w plecy.

Ciężki but trafia mnie między łopatki i popycha do przodu z taką siłą, że tracę równowagę i oddech. Łąduję na czworakach, w głowie mi się kręci. Wciąż jestem osłabiony. Brakuje mi szybkości. Wiem o tym.

Jednak kiedy słyszę, że otwierają się drzwi, coś silniejszego zmusza mnie do podniesienia się – coś na kształt lojalności, poczucia odpowiedzialności za ludzi, których kocham i których trzeba chronić. W plamie światła księżyca, który wpada do środka przez uchylone drzwi, widzę swoją broń, wciąż leżącą na podłodze, i chwytam ją w sekundę, jakimś cudem czasu wystarcza na dotarcie do drzwi, zanim zdążą się zamknąć.

I kiedy coś błyska w ciemności, nie waham się.

Strzelam.

Wiem, że spudłowałem, kiedy rozlega się głucho, odległe dudnienie kroków. Mój napastnik ucieka i nie poruszałyby się z taką prędkością, gdyby udało mi się go zranić. Wciąż jest zbyt ciemno, żebym zobaczył coś więcej niż własne stopy – lampy zgasły, blask księżyca jest słaby – za to jest wystarczająco cicho, żebym rozpoznał ostrożne kroki w oddali. Im bliżej nich się znajduję, tym dokładniej mogę śledzić ruchy przeciwnika, ale prawda jest taka, że coraz trudniej mi cokolwiek usłyszeć przez własny ciężki oddech. Nie mam pojęcia, jak się teraz poruszam. Nie ma czasu, żeby się nad tym zastanowić. W mojej głowie jest tylko jedna myśl:

Złapać intruza.

Niemal boję się zastanowić, kto by to mógł być. Istnieje bardzo niewielka szansa, że to przypadkowe włamanie, że może jakiś cywil zawędrował do naszego obozu. Sądząc po tym, co Nouria i Sam mówiły o tym miejscu, to powinno być niemal niemożliwe.

Nie, wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, że ten ktoś przybył tu na polecenie Andersona. Nie ma innej możliwości. Pewnie został tu wysłany, żeby porwać resztę dzieci przywódców – może chodzi od namiotu do namiotu, żeby sprawdzić, kto jest w środku. Z pewnością nie spodziewał się, że nie śpię.

Nagle nachodzi mnie przerażająca myśl i prawie tracę równowagę. *Co, jeśli wcześniej był u J?*

Nie pozwolę na to.

Nie mam pojęcia, jak ktokolwiek – nawet najemnik Andersona – był w stanie dotrzeć do

Sanktuarium, ale skoro tak się stało, to kwestia życia i śmierci. Nie mam pojęcia, co się działo, kiedy leżałem półżywy w swoim pokoju, jednak pod moją nieobecność sytuacja musiała eskalować. Muszę złapać tego sukinsyna, bo stanowi śmiertelne zagrożenie dla wszystkich. A jeśli Anderson dostanie dzisiaj to, czego chce, nie będzie miał powodu, żeby nie zabijać Jamesa i Adama. O ile w ogóle jeszcze żyją.

Muszę to załatwić. Nieważne, jak bardzo jestem osłabiony. Nie mam innego wyjścia.

Zbieram resztki sił i cisnę do przodu, czując, jak palą mnie płuca i mięśnie nóg. Napastnik jest doskonale wyszkolony. Trudno się przyznaje do własnych niedostatków, lecz nie mogę zaprzeczyć, że dotarłem tak daleko wyłącznie dlatego, że jest tak późno – panuje tak upiorna cisza, że nawet ciche dźwięki wydają się głośne. A ten koleś umie szybko biegać, najwyraźniej bez końca, nie wydając przy tym żadnych odgłosów. Gdybyśmy byli gdziekolwiek indziej, o jakiejkolwiek innej porze dnia, z pewnością nie byłbym w stanie go śledzić.

Za to na moją korzyść działają gniew i oburzenie.

Kiedy docieramy do gęstego, dusznego fragmentu lasu, stwierdzam, że naprawdę, naprawdę nie znoszę tego gościa. Blask księżyca nie jest w stanie przedrzeć się przez korony drzew, co sprawia, że facet jest niemal niewidoczny, nawet z bliska. Mimo to wiem, że skracam dzielący nas dystans, kiedy nasze oddechy i kroki zdają się wyrównywać rytm. On chyba też to wyczuwa, bo zapiera się w sobie i przyśpiesza z taką sprawnością, że aż trudno mi w to uwierzyć. Ja tutaj walczę, a koleś najwyraźniej dobrze się bawi. To dla niego sesyjka joggingu.

Chryste.

Nie mam innego wyjścia, muszę sięgnąć po brzydkie zagrywki.

Nie jestem dość dobry, żeby strzelać w czasie biegu i do poruszającego się celu, którego nawet nie widzę – nie jestem Warnerem, na Boga – więc mój dziecinny plan awaryjny będzie musiał wystarczyć.

Rzucam pistoletem. Mocno. Z całej pary.

Wychodzi mi to całkiem nieźle. Wystarczyłoby, gdyby napastnik się zachwiał. Jeden chwiejny krok, nieskończenie krótkie wahanie. Cokolwiek, co dałoby mi punkt oparcia.

I wtedy to słyszę – krótki, gwałtowny wdech...

Rzucam się do przodu z krzykiem i powalam koleś na ziemię.

DZIESIĘĆ

– Co, do cholery?

Chyba mam halucynacje. Lepiej, żeby to faktycznie były halucynacje.

– Przepraszam, przepraszam, Boże, tak strasznie cię przepraszam...

Próbuję się podnieść, ale zużyłem na skok resztki sił i prawie straciłem przytomność z wysiłku. Ledwo mogę się utrzymać na nogach. Mimo to jakoś udaje mi się przesunąć trochę w bok, kiedy czuję mokrą trawę na skórze, i przypominam sobie, że nie mam na sobie koszulki.

Klnę głośno.

Ta noc nie mogłaby być gorsza.

Wtedy jednak, w ciągu pół sekundy, mój umysł dogania ciało i siła zrozumienia jest tak potężna, że prawie mnie oślepia. Gniew, rozgrzany i dziki, przesywa mnie i to wystarcza, żebym się podniósł i odsunął od dziewczyny. Zataczam się do tyłu i upadam, uderzając głową o drzewo.

– Ty pier... – Urywam, żeby wrzasnąć.

Nazeera ucieka do tyłu.

Wciąż jest na ziemi, patrzy z obłędem w oczach, ma rozczochrane włosy, które wydostały się z gumki. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby była taka przerażona. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby była taka sparaliżowana. I coś w jej zbolałym spojrzeniu sprawia, że mój gniew nieco stygnie.

Tylko troszeczkę.

– Czy ciebie już do reszty pojebało?! – krzyczę. – Co ty wyprawiasz?

– O mój Boże, przepraszam – powtarza i opuszcza twarz w dłonie.

– Przepraszasz?! – Nadal krzyczę. – I pewnie jest ci przykro? Przecież ja cię mogłem zabić!

I nawet wtedy, nawet w tym potwornym, niewiarygodnym momencie, ona ma czelność spojrzeć mi prosto w oczy i powiedzieć:

– Jakoś wątpię.

Przysięgam, że oczy robią mi się tak wielkie z wściekłości, że zaraz mi chyba wyjdą z orbit. Nie mam pojęcia, co począć z tą kobietą.

Najmniejszego pierdolonego pojęcia.

– Wiesz co... ja już naprawdę... – bąkam, szukając właściwych słów. – Jest tak wiele powodów, dla których powinnaś w tym momencie, wiesz co, zostać wysłana na księżyc z biletem w jedną stronę, że nawet nie wiem, od czego zacząć. – Wczepiam palce we włosy, zaciskam. – Coś ty sobie myślała? Dlaczego... dlaczego... – I wtedy, zupełnie niespodziewanie, coś do mnie dociera. Zimne, nieprzyjemne uczucie wzbiera w mojej piersi i opuszczam dłonie. Patrzę na dziewczynę.

– Nazeera – mówię cicho. – Dlaczego byłaś w moim pokoju?

Ona przyciąga nogi do piersi. Zamyka oczy. I dopiero kiedy nie widzę już dłużej jej twarzy – kiedy przyciska czoło do kolan – w końcu mówi:

– To chyba najbardziej zenująca chwila mojego życia, naprawdę.

Cały wiotczeję. Patrzę na nią zdumiony, stropiony, wściekły tak, jak od lat mi się nie zdarzyło.

– Nie rozumiem.

Nazeera potrząsa głową. Po prostu lekko potrząsa głową.

– Myślałam, że się nie obudzisz – tłumaczy. – Spodziewałam się, że prześpisz noc. Chciałam po prostu zobaczyć, czy wszystko w porządku, bo to w końcu moja wina i czułam się... czułam się tak strasznie...

Otwieram usta. Nie wydostają się z nich żadne słowa.

– ...ale potem się obudziłeś i nie wiedziałam, co zrobić – ciągnie, w końcu unosząc głowę. – Nie wiedziałam... Nie...

– Gówno prawda – rzucam, przerywając jej. – Gówno prawda, że nie wiedziałas, co zrobić. Gdybyś rzeczywiście przyszła do mojego pokoju, bo martwiłaś się o moje zdrowie, mogłabyś się po prostu przywitać, jak normalny człowiek. Powiedziałabyś coś w stylu: „O, hej, Kenji, to ja, Nazeera! Wpadłam, żeby sprawdzić, czy na pewno jeszcze żyjesz!”. A ja bym wtedy rzucił: „O jeny, dzięki, Nazeera, to naprawdę miło z twojej strony!”, a potem ty...

– To nie jest takie proste – odzywa się Nazeera, znowu kręcąc głową. – To... Wiesz, to nie było takie...

– Nie – wtrącam znowu. – Masz rację. To nie jest takie proste. – Wstaję i otrzępuję ręce. – Chcesz wiedzieć dlaczego? Chcesz wiedzieć, dlaczego to nie jest takie proste? Bo twoja historyjka się nie klei. Mówisz, że weszłaś do pokoju, żeby sprawdzić, jak się czuję, bo podobno tak się martwiłaś o moje zdrowie, ale potem przy pierwszej lepszej okazji kopnęłaś mnie między łopatki, kopnęłaś chorego człowieka w plecy, powaliłaś go na podłogę i na koniec jeszcze wyciągnęłaś go w pogoń do lasu, i to bez koszulki. Nie – powtarzam, czując wzbierający gniew. – Nie ma takiej opcji. W dupie masz mój stan. Ty – wskazuję na nią palcem – coś knujesz. Najpierw mnie naszprycowałaś w samolocie, a teraz to. Ty mnie próbujesz zabić, Nazeera, i nie rozumiem dlaczego. Co się stało? Nie dokończyłaś roboty za pierwszym razem? Wróciłaś, żeby mieć pewność, że nie żyję? O to chodziło?

Nazeera powoli się podnosi, ale nie patrzy mi w oczy.

Jej milczenie doprowadza mnie do szaleństwa.

– Żądam wyjaśnień – oznajmiam, trzęsąc się z wściekłości. – Natychmiast. Chcę wiedzieć, co ty, do cholery, wyprawiasz. Chcę wiedzieć, dlaczego tutaj jesteś. Chcę wiedzieć, dla kogo właściwie pracujesz. – A potem, praktycznie krzykiem, dodaję: – I chcę jeszcze wiedzieć, dlaczego byłaś w nocy w moim pierdolonym pokoju!

– Kenji – mówi cicho Nazeera. – Przepraszam. Nie jestem w tym dobra. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Przepraszam.

Jestem tak oburzony jej tupetem, że aż mnie trzęsie.

– Naprawdę mi przykro – ciągnie, wycofując się. Powoli, ale odsuwa się ode mnie, a widziałem, jak biegnie. – Pozwól, że umrę z zażenowania gdzieś indziej, dobra? Bardzo przepraszam.

– Stój!

Ona nagle zamiera.

Próbuję uspokoić oddech. Nie mogę. Moja klatka piersiowa nadal intensywnie pracuje, kiedy mówię:

– Po prostu powiedz mi prawdę.

– Przecież już powiedziałam prawdę – rzuca z gniewnym błyskiem w oku. – Nie jestem w tym dobra, Kenji. Nie jestem.

– Ale o czym mówisz? Oczywiście, że jesteś w tym dobra. Mordowanie ludzi to w sumie twój życiowy cel.

Śmieje się, lecz jakby histerycznie.

– Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że to nie ma sensu? – pyta, wykonując ten znajomy gest; wskazuje nas. – Pamiętasz tamten dzień?

Coś nieuświadomionego, coś pierwotnego, nad czym nie mam kontroli, przeszywa mnie ostrym ukłuciem gorąca. Nawet po takim czasie.

– Tak, pamiętam.

– No to właśnie o czymś takim mówiłam – odpowiada, machając rękami.

Ściągam brwi. Czuję, że nie nadażam za tą rozmową.

– Nie rozumiem... – Znowu się chmurzę. – O co właściwie chodzi?

– O to – powtarza z gniewem w głosie. – To. Właśnie to. Nie rozumiesz. A ja nie wiem, jak... Ja po prostu nie robię takich rzeczy, okej? Nigdy. Próbowałam ci wytłumaczyć tamtego dnia, że... Ale teraz... – Urywa, potrząsając gwałtownie głową. Odwraca się. – Proszę, nie każ mi tego mówić.

– Czego?

– Że jesteś... – Milknie. – Że to jest...

Czekam i czekam, lecz ona nadal nie kończy.

– Że jestem? Że to jest?

Wreszcie wzdycha. Spogląda mi w oczy.

– Nigdy wcześniej się z nikim nie całowałam.

JEDENAŚCIE

Mogłem latami zastanawiać się, co zamierzała mi powiedzieć, a nigdy bym nie zgadł.

Nigdy.

Czuję coś silniejszego niż zdumienie. Jestem kompletnie zbity z tropu.

Jedyne, co mogę z siebie wydusić, to:

– Kłamiesz.

Ona potrząsa głową.

– Ale...

Nie przestaje potrząsać.

– Nie rozumiem.

– Podobasz mi się – przyznaje cicho. – Bardzo.

Coś się we mnie rozpała, coś przerażającego. Jakaś emocja. Jakaś iskra. Radość. A potem zaprzeczenie, dużo silnego zaprzeczenia.

– Gównu prawda.

– Właśnie, że prawda – szepcze.

– Ale próbowałaś mnie zabić.

– Nie. – Zwiesza głowę. – Próbowałam ci pokazać, że mi zależy.

Oniemiałem i mogę tylko na nią patrzeć ze zdumieniem.

– Dałam ci trochę większą dawkę tamtego środka, ponieważ tak bardzo się bałam, że obudzisz się na pokładzie samolotu i zostaniesz zamordowany – tłumaczy. – A dzisiaj przyszedłam do ciebie w nocy, bo chciałam się upewnić, że wszystko w porządku, ale obudziłeś się, ja się zdenerwowałam i zniknęłam. Wtedy ty zacząłeś mówić takie piękne rzeczy, że po prostu... – Potrząsa głową. – Sama nie wiem. Prawda jest taka, że nie mam wymówki. Zostałam, bo chciałam zostać. Zostałam i obserwowałam cię jak psycholka, a kiedy mnie przyłapałeś, byłam tak zażenowana, że prawie cię przez to zabiłam. – Zakrywa twarz dłońmi. – Nie mam pojęcia, co robię – mówi tak cicho, że muszę się przysunąć, żeby ją usłyszeć. – Zostałam przygotowana na dosłownie każdą inną bardzo stresującą sytuację, jaka mogłaby mi się przydarzyć, ale nie mam bladego pojęcia, jak we właściwy sposób odwzajemnić pozytywne uczucia. Nikt nigdy mi tego nie pokazał. Nikt mnie tego nie nauczył. I przez to po prostu całkiem ich unikałam.

W końcu się doczekałam i Nazeera spogląda mi w oczy.

– Zawsze unikałam robienia rzeczy, w których jestem kiepska – tłumaczy. – A te... związki? Bliskość fizyczna? To... nigdy się nie wydarzyło. Z nikim. Za dużo problemów. Za dużo niepewności. Jest za dużo niedopowiedzeń, za dużo doszukiwania się między wierszami i kodów do złamania. Poza tym większość ludzi, których poznaję, to dupki albo tchórze, albo jedno i drugie jednocześnie. Rzadko spotykam kogoś szczerego. Kogoś, kto mówi to, co myśli. Wszyscy kłamią mi w żywe oczy. – Wzdycha. – Oczywiście oprócz ciebie.

– Nazeera...

– Proszę – mówi cicho. – To takie upokarzające. I jeśli nie masz nic przeciwko, naprawdę nie chciałabym ciągnąć tej rozmowy dłużej niż to absolutnie konieczne. Ale przysięgam, że od teraz już się do ciebie nie zbliżę. Zachowam dystans. Przepraszam, że zrobiłam ci krzywdę. Nie chciałam aż tak mocno cię kopnąć.

I odchodzi.

Odwraca się na pięcie i odchodzi, a mnie coś dopada, jakieś uczucie bardzo podobne do paniki, kiedy wołam:

– Zaczekaj!

Nazeera zamiera.

Biegnę za nią, chwytam ją w pasie i odwracam, a ona patrzy zaskoczona i niepewna.

– Dlaczego ja? – pytam.

Nieruchomieje.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że... Tamtego dnia, kiedy mnie pocałowałaś, wybrałaś mnie wtedy, prawda? Na

swój pierwszy pocałunek.

Nazeera po chwili potakuje.

– Dlaczego? – dopytuję. – Dlaczego akurat mnie?

Nagle jej spojrzenie łagodnieje. Napięcie w jej barkach znika.

– Ponieważ – zaczyna cicho – wydaje mi się, że możesz być najlepszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam.

– Och.

Biorę głęboki, nierówny oddech, ale nie przynosi mi wystarczająco dużo tlenu. Zalewa mnie jakieś uczucie, tak szybko i takie gorące, że nie pamiętam już o zimnie.

Chyba śnię.

Boże, mam nadzieję, że jednak nie.

– Kenji?

Powiedz coś, kretynie.

Nic z tego.

Nazeera wzdycha, mącąc ciszę. A potem spuszcza wzrok na ziemię między nami.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że cię tak mocno kopnęłam. Dobrze się czujesz?

Wzruszam ramionami, a potem się krzywię.

– Rano pewnie nie będę mógł chodzić.

Znowu na mnie patrzy i tym razem w jej oczach dostrzegam coś na kształt rozbawienia.

– To nie jest śmieszne – protestuję, ale czuję, jak rozciągają mi się usta. – To było okropne. No i...

Chryste – rzucam, bo nagle mi niedobrze. – Próbowałam cię za to zastrzelić.

Nazeera zaczyna się śmiać.

Śmieje się, jakbym właśnie opowiedział dobry dowcip.

Jej uśmiech znika, kiedy zdaje sobie sprawę, że jestem poważny. A potem patrzy na mnie, naprawdę na mnie patrzy.

– To niemożliwe.

Przewracam oczami, ale nie mogę się powstrzymać i drży mi kącik ust, bo bawi mnie jej pewność siebie.

– Wiesz co – mówi cicho – chyba gdzieś w głębi ducha miałam nadzieję, że jednak mnie złapiesz.

– Czyżby?

– Tak – szepcze. – Inaczej dlaczego po prostu nie odleciałam?

Milknę na moment, przetrawiając tę informację.

A potem...

Cholera.

Ona ma rację. Od początku nie miałem z nią szans.

– Hej – rzucam.

– Tak?

– Jesteś kompletnie szalona, wiesz o tym?

– No – przyznaje i wzdycha.

I chociaż to zupełnie niemożliwe...

Uśmiecham się.

Ostrożnie wyciągam rękę i opuszkami palców głaszczę jej policzek. Ona drży pod wpływem mojego dotyku. Zamyka oczy.

Moje serce przestaje bić.

– Nazeera...

Nagle powstrzymuje nas dziki, przesywający, mrozący krew w żyłach wrzask.

DWANAŚCIE

Patrzemy na siebie przez ułamek sekundy, po czym znowu rzucamy się do biegu. Podążam za nią przez las, w kierunku, z którego dochodził krzyk, ale tak jak niespodziewanie się pojawił, tak niespodziewanie cichnie. Zatrzymujemy się w pół kroku, prawie tracąc przy tym równowagę. Nazeera odwraca się i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, ale właściwie to mnie nie widzi.

Czeka. Nasłuchuje.

Nagle się prostuje. Nie wiem, co usłyszała, bo do mnie nic nie dotarło. Ale zdążyłem już zauważyć, że ta dziewczyna jest z innej ligi. Nie mam pojęcia, jakimi jeszcze zdolnościami dysponuje. Nie mam pojęcia, co jeszcze potrafi. Za to wiem, że nie ma sensu w nią wątpić. Nie w takiej sytuacji.

Dlatego kiedy ponownie rzuca się do biegu, jestem krok za nią.

Dociera do mnie, że kierujemy się w stronę, gdzie wszystko się zaczęło, do wejścia do obozu Nourii, kiedy trzy kolejne krzyki przeszywają nocne powietrze. I wtedy nagle...

Przynajmniej sto innych.

Wtedy rozumiem już, o co chodzi Nazeerze. Ona ucieka. Ucieka z Sanktuarium na niechroniony łąd, gdzie też można nas łatwo namierzyć, porwać i zabić. Waham się, dawne wątpliwości znowu sugerują, że chyba oszalałem, ufając jej...

– Znikamy, Kenji... Już...

I uruchamia niewidzialność. Biorę głęboki wdech i robię to samo.

Nie mija wiele czasu i już wszystko jasne.

Za granicami strefy ochronnej Sanktuarium wrzaski przybierają na sile, rozbrzmiewają liczniej i głośniej. Tylko że tutaj nie jest ciemno. Nie do końca. Niebo jest przedzielone, ciemność i światło stapiają się ze sobą, chmury odpływają na boki, drzewa się wyginają i migoczą, wyginają i migoczą. Ziemia pod naszymi stopami zaczyna się wybrzuszać i pękać, w powietrzu pojawiają się kawałki darni, przebijając wszystko i nic. A potem...

Horyzont się porusza.

Nagle słońce jest pod nami, przeszywające i oślepiające toczy się po trawie, łamiąc światło niczym piorun.

I równie szybko widnokrąg wraca na swoje miejsce.

Oglądamy coś kompletnie surrealistycznego.

Nie rozumiem tego. Nie pojmuję. Ludzie próbują uciekać, lecz nie mogą. Teraz wydaje się jasne, że niewidzialność nie ma sensu. Nie tutaj. Nie w tej sytuacji.

A kiedy Nazeera odwraca się nagle i zaczyna biec, już wiem, że wraca do obozu.

Musimy powiedzieć pozostałym.

Tylko że oni już o wszystkim wiedzą.

Dostrzegam ją, jeszcze zanim zdążę dotrzeć na miejsce. Stoi zaraz za wejściem, na tle całego tego chaosu.

Juliette.

Padła na kolana, przyciska pięści do skroni. Na jej twarzy maluje się bezbrzeżne cierpienie, a Warner kuca obok niej, blady i przerażony, trzyma ją za ramiona i krzyczy coś, czego nie słyszę.

I wtedy...

Ona wrzeszczy.

Tylko nie to, myślę sobie. Proszę, Boże, tylko nie znowu to.

Jednak tym razem jest inaczej. Tym razem ten wrzask jest skierowany do środka; to wyraz bólu i strachu.

I tym razem w tym wrzasku rozróżniam jedno zdanie:

– Emmaline, błagam, nie rób tego...